

GÓRA NIE JEST ICH JEDYNYM PRZĘCIWNIKIEM



PRZEPAŚĆ



MICHELLE PAVER

PRZEPAŚĆ

MICHELLE PAVER

PRZEPAŚĆ

Przekład
MACIEJ MIŁKOWSKI



Czy popełniliśmy błąd, próbując zdobyć Kanczendzongę? Niektórzy powiedzieliby, że tak, że to grzech oblegać najwyższe góry na Ziemi. Co więcej, spośród trzech najwyższych szczytów – Mount Everestu, K2 i Kanczendzongi – doświadczeni himalaiści właśnie tę ostatnią uważają za najbardziej zabójczą. Wznosi się nieco z boku, jej lawiny są legendarne, a rozrzedzone powietrze przyprawia o rozstrój nerwowy – można wręcz rzec, że przeraża. Wszystko to wystawia na ciężką próbę siłę charakteru najdzielniejszych ludzi.

Mimo to trwam w przekonaniu, że zdobycie jej byłoby najczystszy wyrazem samego ducha Imperium: podbojem nieznanego, triumfem Człowieka nad Naturą. Tak, nasz atak na Kanczendzongę się nie powiódł. Tak, nasza Ekspedycja zakończyła się tragicznie. Sądzę jednakże, że ci z nas, którzy przetrwali, mają prawo kroczyć z podniesioną głową, jako że, mimo straszliwych warunków, zdołaliśmy wyrwać ciała naszych poległych towarzyszy z lodowego uścisku góry i pochować ich w sposób godny Anglików, z oddaniem należnych honorów, za które zapłacili tak wysoką cenę.

*generał sir Edmund Lyell,
Skrwawieni, lecz niezłomni: atak na Kanczendzongę, 1907*

Edmund Lyell to pompatyczny gaduła i trzeciorzędny himalaista, który zlekceważył Kanczendzongę, co okazało się zabójcze i pogrążyło naszą ekspedycję. Zręcznie przydał samemu sobie rozgłosu i stał się bohaterem narodowym, spisawszy „bestsellerową” kronikę naszej tragedii. Jego książka w dużej mierze pomija jednak to, co mnie samego nadal prześladuje kilka dziesięcioleci później, a mianowicie fakt, że chociaż góra zabiła pięciu naszych ludzi, to złożyć na wieczny odpoczynek zdołaliśmy jedynie czterech.

prywatne pamiętniki kapitana Charlesa Tennanta,
nieopublikowane

1.



DARDŻYLING, BENGAL ZACHODNI,
kwiecień 1935

– ACH, WIĘC TUTAJ PAN JEST, doktorze Pearce! – Córka Charlesa Tennanta sunie ku mnie przez trawnik z dwoma angielskimi springer spanielami u stóp. – Ta okropna mgła, nie zobaczy pan teraz góry, jaka szkoda!

– Możliwe, że później się przejaśni – odpowiadam, pochylając się, by pogłaskać psy.

– Nie ma mowy, niebo jest całkiem zaciągnięte. Lepiej niech pan wróci do środka. Nie chcemy, by lekarz ekspedycji złapał przeziębienie jeszcze przed wyruszeniem w drogę!

– Dziękuję, tak właśnie zrobię, gdy tylko dokończę papierosa.

– Słusznie – odpowiada z wymuszonym, niewyraźnym uśmiechem.

Millicent Tennant ma około czterdziestki i robi wrażenie w swoim tweedowym ubraniu. Lata zaciskania warg sprawiły, że od ust do podbródka wyryły się jej dwie bruzdy, jak u lalki brzuchomówcy. Najwyraźniej bardzo lubi wchodzić ludziom

w drogę i w ogóle nie pochwała mojego wymknienia się z jej herbatki; być może podejrzewa, że będę chciał ukradkiem zbliżyć się do jej ojca. Strzeże Charlesa Tennanta jak smok skarbu. Z wyraźną satysfakcją oznajmiła nam, że starszy pan miał „atak” tuż przed naszym przybyciem i nie będzie mógł zobaczyć ani nas, ani nikogo innego co najmniej przez tydzień.

– A wtedy już wszyscy będziecie na wyprawie, jaka szkoda.

Pozostali byli srodze zawiedzeni, ale mnie to nie obchodzi, ja jestem zachwycony, że w ogóle mogę tu być. Wprost trudno mi uwierzyć, że po wielu tygodniach podróży naprawdę stoję u podnóża Himalajów, ponad dwa tysiące metrów nad poziomem morza, w ogrodzie różanym Charlesa Tennanta – tego Charlesa Tennanta, ostatniego żyjącego uczestnika wyprawy Lyella.

Może to z braku snu, ale wszystko wokół mnie wydaje się jakoś nienaturalnie intensywne: zapach wilgotnych róż, śpiew tamtego ptaka; a gdzieś zza mgły dobiega mnie zew góry, na którą zamierzamy się wspiąć.

– Uwaga na krawędź, doktorze Pearce – ostrzega mnie Millicent Tennant. – Urwisko jest dość paskudne.

Wychyłam się ponad niskim kamiennym murkiem i wstrzymuję oddech.

– Dobry Boże, faktycznie.

W mroku ledwie dostrzegam czerwonawy zarys wioski widoczny daleko w dole. Szczyty drzew pode mną są ponuro nieruchome. Niemal na wyciągnięcie ręki na gałęzi kręci się jakiś ciemny kształt. Pewnie to jeden z tych makaków, przed którymi mnie ostrzegano.

Faktycznie żałuję, że nie widać góry. Dotarłem późno do Dardżyling i w Klubie Plantatorów znalazłem entuzjastyczny liścik od Kitsa, w którym zapraszał mnie na herbatkę z Charlesem Tennantem! *Kto wie, może ja będę tym, któremu*

uda się skłonić go do przerwania jego słynnego milczenia! Kiedy dotarłem do domku starszego pana, po przejażdżce telepiącą się dwukółką, zwaną tutaj tongą, przez zamglone plantacje herbaty, pozostali zapewniali mnie, że jeszcze godzinę temu cieszyli się „zdumiewającymi widokami”. Zanim jednak zdołałem wyrwać się z salonu i znaleźć drogę do ogrodu, nadciągnęły chmury i przesłoniły górę.

Chmury unoszą się wokół mnie. Ich wilgotna, cicha inwazja przedwcześnie okryła popołudnie mrokiem.

– Czy wspominałam już, że znam rodzinę pańskiej narzeczonej? – mówi Millicent Tennant, spoglądając pogardliwie na moją papierośnicę z kolejnym wymuszonym uśmiechem. – Pańskiej byłej narzeczonej, powinnam była powiedzieć.

– Doprawdy? – odpowiadam mrukliwie. – Nie miałem pojęcia.

– O tak, biedna, kochana Clare to moja ulubienica. Zachowuje się teraz bez zarzutu. Złego słowa o panu nie powie.

– Obserwuje moją twarz, a jej wąskie oczy aż lśnią ciekawością. Biedna Clare, faktycznie. Nie zamierzam jednak przeproszać teraz Millicent Tennant. Dość się już naprzeproszałem w Londynie. – To było tak strasznie niespodziewane – zauważa. – Niewiele ponad tydzień przed wielkim dniem.

– To prawda, niespodziewane. Ale Clare zgadza się ze mną, że tak było najlepiej.

I nie, prędzej szlag mnie trafi, niż opowiem ci, dlaczego zerwałem zaręczyny, abyś mogła rozpowiedzieć to całemu Dardżyling. Co zresztą miałbym powiedzieć? Że nagle zorientowałem się, że nie wiedzieć kiedy zacząłem zmieniać się w swojego brata?

Cisza się przedłuża. Moja gospodyni unosi ostro zarysowane brwi.

– No cóż – mówi kwaśno. – Inni będą się zastanawiać, gdzie pan zniknął. Pański brat, biedaczysko, jest raczej nie w sosie.

Uśmiecham się, słysząc ten eufemizm. Kits zrobił, co mógł, by oczarować panią Tennant i móc zobaczyć się z Charlesem, a kiedy mu się to nie udało, wpadł w posępny nastrój.

– Kits jest nieco przygnębiony – wyjaśniam. – Już jako chłopiec podziwiał członków wyprawy Lyella. Zna na pamięć długie fragmenty *Skrwawionych, lecz niezłomnych*. Bardzo liczył na spotkanie z kapitanem Tennantem.

– Och, jaka szkoda – mówi, strącając liść ze spódnicy. – Cóż, muszę wracać do moich gości. Niech pan pamięta, że jesteśmy w tropikach. Ciemność zapada tu szybciej, niż jest pan przyzwyczajony.

– Dziękuję, wezmę to pod uwagę.

Gdy wreszcie znika, zapalam kolejnego papierosa i pozwalam, by mgła i zapach wilgotnych róż wymiotły ją z mojej pamięci.

Wychylam się przez murek. Trudno uwierzyć, że tam w dole jest parna, malaryczna dżungla. Według Kitsa nasza góra znajduje się niecałe osiemdziesiąt kilometrów od nas, ale żeby do niej dotrzeć, potrzeba będzie trzech tygodni forsownego marszu.

Żołądek kurczy mi się z podniecenia. Udało ci się, Stephen, naprawdę ci się udało. Koniec z Londynem, koniec z Clare, koniec z przepraszaniem. Nic prócz śniegu, lodu i skał. Miliony kilometrów od bezładnej płataniny ludzkich uczuć.

To dziwne, ale odkąd mój statek wypłynął z Southampton, niemal nie dopuszczałem do siebie myśli o samej górze. Może bałem się, że to przyniesie pecha. Wyobrażałem sobie zwyczajny biały szczyt, przypominający Szklaną Górę z książeczek dla dzieci.

Ale teraz wszystko to nagle stało się realne. Nieważne, że nie mogę jej teraz zobaczyć. To ona wysłała te chmury. Przez te chmury jej obecność jest niemal wyczuwalna. Czuję na skórze jej chłodny, oślizgły oddech.

Wyruszamy za trzy dni. Nie mogę się doczekać.



MIAŁA RACJĘ: noc zapadła tak szybko, jak trzaska się drzwiami.

Kiedy wlokę się z powrotem przez trawnik, ciemność zdaje się sunąć krok za mną. Nad murkiem pojawia się jakaś głowa, a po chwili do środka wdziera się ciemna sylwetka. Makaki przejmują ogród.

Idę w stronę światła wylewających się z francuskich okien werandy. U stóp schodów uderzam piszczelem w stertę kamieni i klnę.

– Kto tam jest?! – woła jakiś męski głos: ostry, szlachetny, stary.

O Boże, to nie są drzwi do salonu, pomyliłem drogę.

– Bardzo przepraszam, ja...

– Nie stój tam jak idiota, tylko wejdź i zamknij za sobą te przeklęte drzwi!

Znalazłem się w dużym obskurnym gabinecie, w którym unosi się smród gęstego dymu papierosowego. Drewno trzeszczy w kominku, na podłodze leży liniejąca tygrysia skóra, lampa z kloszem z frędzlami ledwie rozprasza panujący w pokoju mrok. Wszędzie widać przybory palacza: ozdobne zapalniczki, kasetki na cygara, mosiężne stojące popielniczki. Na biurku z drzewa sandałowego leżą sterty papierów przytrzymywanych hinduskimi bibelotami: zabójczym zakrzywionym sztyletem, przerażającą drewnianą maską z wyłupiastymi oczami. Na mahoniowym pudle leży jakiś miejscowy rodzaj trąbki rzeźbionej w kości, która wyraźnie była kiedyś ludzką kością udową.

Właściciel głosu siedzi przygarbiony w głębokim fotelu w rogu,

z dala od światła. Nogi przykryte ma kraciastym pledem. Jest stary, ale wygląda na silnego: ma szerokie ramiona, burzę srebrzystych włosów, wąskie nieruchome oczy, którymi mnie teraz lustruje. Jego koścista twarz usiana jest popękkanymi naczynkami i uderzająco odmienna od tej ze słynnej fotografii, na której stoi, szczerząc się do obiektywu u boku Edmunda Lyella. Wystająca szczeka i skośne brwi są jednak nie do pomylenia.

Na moment znów jestem małym chłopcem, który z podziwem wpatruje się w swojego bohatera.

– Pan to Charles Tennant – mamroczę bezmyślnie.

– Wielkie brawa – chrypi w odpowiedzi.

– Ogromnie pana przepraszam, próbowałem znaleźć drogę do salonu...

– Nie histeryzuj, nie znoszę histeryzowania! Skoro już tu jesteś, to możesz zostać!

Mój Boże, to naprawdę on. Podchodzę do niego i wyciągam rękę, powstrzymując niezbyt szlachetny przyływ podniecenia: biedny Kits, zzielenieje z zazdrości.

– Nazywam się Stephen Pearce, proszę pana. Miło mi pana poznać.

– Nie wyglądasz na wystarczająco dorosłego, aby być lekarzem – mamrocze, ignorując moją wyciągniętą dłoń.

– Mam trzydzieści cztery lata – mówię, pozwalając sobie na lekki uśmiech.

– Były jakieś problemy z lekarzem, jak się zdaje?

– Zastąpiłem poprzedniego w ostatniej chwili. Złamał nogę w wypadku motocyklowym trzy dni przed wypłynięciem... – Głos załamuje mi się z zażenowania. Tennant nie siedzi w zwykłym głębokim fotelu, to jest fotel inwalidzki, taki, którym można jeździć samemu, z drewnianymi uchwytami przy obręczach kół. Charles Tennant stracił stopy z powodu

odmrożeń.

Uśmiechając się ponuro na widok mojego zażenowania, domaga się odpowiedzi, dlaczego kląłem na jego werandzie. Wspominam coś o kamieniach, a on odpowiada ponurym warkotem.

– To jest grób, nie zauważyłeś? Foksteriera mojego wnuka. Głupi mały urwis wpadł pod koła tongi. Pies, nie chłopak.

Zaciskam usta i kiwam głową. Wtedy wpada mi w oko duża oprawiona fotografia wisząca na ścianie za biurkiem i natychmiast zapominam o wszystkim innym.

Ten widok działa na mnie jak muzyka – przeszywająca na wskroś głęboka, wyrazista nuta. To coś zupełnie innego niż Everest, Annapurna czy K2. To nie jest samotny trójkątny szczyt, ale raczej szeroki muskularny masyw o kilku chaotycznie ułożonych wierzchołkach z jednym postrzępionym, górującym nieznacznie nad pozostałymi. Kanczendzonga.

Nie ma powszechnej zgody, co właściwie znaczy ta nazwa. Większość opowiada się za „Pięć skarbów pod wielkim śniegiem”. Do czego jednak miałyby się to odnosić? Do szczytów? Do pięciu gigantycznych lodowców spływających ze zboczy?

Wzruszenie chwyta mnie za serce, czuję to dziwaczne ukłucie zapału i grozy, jakie zawsze towarzyszy mi przed wspinaczką. Zdobędziemy tę górę. Będziemy pierwszymi ludźmi na świecie, którzy staną na szczycie.

Tennant patrzy na fotografię ze zmrużonymi oczami, jakby sam widok sprawiał mu ból. Po chwili z jakimś dziwnym nerwowym skurczem odwraca się od zdjęcia.

– Lepczowie nazywają ją Kong Chen – mamrocze. – To znaczy „Wielki kamień”. Nie powstrzymuje to tych przeklętych głupców od oddawania jej czci.

– Czy widać ją stąd, proszę pana? Wydaje mi się, że te

francuskie okna wychodzą na północ, chociaż teraz oczywiście jest ciemno...

– Zdjęcie zrobiono stamtąd, gdzie teraz stoisz – mówi Tennant z niepokojącą goryczą w głosie. – Nigdy nie wiadomo, kiedy się pojawi.

Kurczowo ściska rękami kolana. Jego dłonie są duże i silne, pokryte siatką niebieskich żył, knykcie zbieleły od zaciskania dłoni.

Zastanawiam się, jak może znieść to, że ma górę zawsze przed sobą: nieustanne przypomnienie o towarzyszach, którzy nie zdołali wrócić. Zastanawiam się, co naprawdę widzi, kiedy wpatruje się w to zdjęcie.

Zaczynam żałować, że nie ma tu ze mną pozostałych, bo czuję się teraz jak nieprzygotowany uczeń. Planowałem poczytać o wyprawie Lyella w czasie rejsu, ale bagażowi zgubili moją torbę z książkami w Southampton, mam więc teraz jedynie mgliste pojęcie o tym, co się wtedy zdarzyło: zamieć śnieżna, lawina, pięciu martwych.

Starszy człowiek siedzi skulony na swoim fotelu inwalidzkim. Jest zupełnie inny, niż się spodziewałem. W *Skrwawionych, lecz niezłomnych* Charles Tennant jest taki zabawny: niezwykle sympatyczny facet, którego każdy chciałby mieć za przyjaciela. W jaki sposób zmienił się w ten zgorzkniały, nerwowy wrak człowieka?

Pewnie to, przez co przeszedł, złamałoby niejednego – chociaż wedle wszelkich świadectw nie zdołało to zmienić samego Edmunda Lyella. Stracił nogę i dłoń, ale osiągnął życiowy sukces: książka, objazdy z wykładami, tytuł szlachecki...

Tennantowi nic nie umyka.

– Rozwiąłem twoje iluzje, co? Nie jesteś chyba kolejnym przeklętym idiotą, który podziwia nas od czasów przedszkola?

– Nie – odpowiadam spokojnie. – Podziwiałem, póki nie

skończyłem dziewięciu lat. Wtedy starszy brat przechwycił mój egzemplarz *Skrwawionych, lecz niezłomnych*. Pije teraz herbatkę w pańskim salonie. Dałby wszystko, aby być tutaj, móc z panem porozmawiać.

– Czy to ten idiota, który zdecydował, że pójdziecie naszą drogą przez południowo-zachodnią ścianę?

– Nie wiedziałem, że tamtędy idziemy – mówię zaskoczony.

– Co, nie wiesz nawet, którądy idziecie?

Niech to szlag, Kits, mogłeś mi powiedzieć.

– Jak już panu mówiłem, zastąpiłem poprzedniego lekarza w ostatniej chwili. Sądzę... że wybrali tę drogę, bo jest najlepsza.

– Jest, ale i tak wam się nie uda.

– Dlaczego nie? Wam prawie się udało.

Przez moment waha się i przybiera powściągliwy wyraz twarzy.

– Udałoby nam się, gdyby nie Lyell. Nie wierz w te jego tandetne opowieści. Był marnym alpinistą, fatalnym dowódcą i próżnym człowiekiem. Tak zwani bohaterowie często tacy są.

Mówi z tak zajadłą nienawiścią, że nagle przypominam sobie, że ma już ponad sześćdziesiąt lat i, jeśli wierzyć jego córce, nie jest z nim najlepiej.

– Ta południowo-zachodnia ściana – próbuję. – Jest z nią jakiś problem?

– Problem... – odpowiada mrukliwie. Rzuca okiem na fotografię i nagle wzdraga się, jakby przeszedł go dreszcz. Na jego twarzy na moment pojawia się coś, co bardzo przypomina strach. Po chwili to mija i Tennant odzyskuje panowanie nad sobą. – Jaki mógłby być problem – chrypi – na najbardziej niebezpiecznej górze na świecie? Znasz Himalaje, co? Wspinałeś się już tutaj?

– Nie, proszę pana. Jestem pierwszy raz w Indiach.

– Dobry Boże w niebiosach... – mówi, rzucając mi współczujące spojrzenie, od którego się rumienię.

Postanawiam zlekceważyć ostrożność i zadać mu pytanie, które ciśnie mi się na usta:

– A dlaczego pan nie napisał własnej relacji z tamtej wyprawy?

– A kto, u diabła, daje ci prawo, aby mnie o to pytać? – Jego ton jest wojowniczy, ale jego spojrzenie kieruje się w stronę biurka, a ja wstrzymuję oddech. Czy to możliwe, że jednak coś na ten temat napisał?

– Przepraszam za impertynencję – mówię ostrożnie – ale na pewno pan rozumie, dlaczego jesteśmy tak bardzo ciekawi. Minęło niemal trzydzieści lat, a pan nie powiedział ani nie napisał o tym słowa...

– Brat będzie się wspinał z bratem? – rzuca. – Dobrze się z nim dogadujesz?

Zmienia temat tak bezceremonialnie, że to niemal zniewaga. W ten sposób zatrzaskuje furtkę do jakichkolwiek dalszych pytań.

– Wspinamy się razem od lat – odpowiadam chłodno.

– A co z pozostałymi? – pyta, prychnąwszy z niedowierzaniem.

– Poznałem ich dopiero dzisiaj. Dotarliśmy tu innymi drogami...

– To po co chcesz się tam wspinać?

– Proszę?

– Słyszałeś. Po co?

– Czy trzeba mieć jakiś powód?

Zaskakuje mnie to, ale moja odpowiedź najwyraźniej mu się podoba. Kąciki jego ust unoszą się w ponurym uśmiechu.

– Zdajesz sobie sprawę, że Norton uważa tę górę za trudniejszą od Everestu?

– Tak, czytałem o tym.

W ciszy, która zapada, ma się wrażenie, że w pokoju zjawiają

się duchy nieszczęsnych towarzyszy Nortona – Mallory’ego i Irvine’a.

Cisza trwa. Jest tak, jakby starszy mężczyzna zupełnie o mnie zapomniał. Nadal trzyma się za kolana i zaciska wystającą szczękę.

– Jeśli da radę, to was zabije – cedzi. – O tak. Nie masz nawet pojęcia...

Raz jeszcze rzuca okiem na fotografię i znów przeszywa go ten dziwny, konwulsyjny dreszcz.

Teraz mam pewność. Jest przerażony. Charles Tennant, jeden z najtwardszych alpinistów, jacy chodzili po ziemi, jest przerażony tą górą.

– Podaj mi tamto pudełko z biurka – rzuca tak gwałtownie, że aż podskakuję.

– Eee... Które, proszę pana?

– To, na którym leży kangling.

– Przepraszam, co takiego?

– Trąbka, do jasnej cholery!

Zdejmuję zrobioną z kości udowej trąbkę i podaję mu mahoniowe pudełko. Kładzie je na kolanach, po czym zakrywa dłońmi.

Serce zaczyna mi łomotać. Czy przetrzymał mnie tu nie bez powodu? Oceniał mnie? Dodawał samemu sobie odwagi, aby mi powiedzieć... Co?

A może pozwalam, aby zmęczenie i podniecenie zakłóciły moje zdolności poznawcze?

Cisza staje się nieznośna, a on nie ma najmniejszego zamiaru jej przerywać.

Nadal trzymam w ręku trąbkę z kości udowej. Jej ustnik zrobiony jest ze szerniałego srebra, drugi koniec nabijany jest przybrudzonymi turkusami. Aby w ogóle coś powiedzieć, pytam go, jak to brzmiało.

Odwraca głowę i wpatruje się we mnie z nieskrywanym przerażeniem.

– Co? – pyta łamiącym się głosem. – Jak brzmiało? Co, u diabła, masz na myśli?

Jezu Chryste, co ja takiego powiedziałem? Krew odpływa mu z twarzy, a jego usta szarzeją. Moje błahe pytanie najwyraźniej zupełnie wytrąciło go z równowagi.

Kiwa się w przód i w tył, a jego spojrzenie zdaje się zwracać gdzieś do wewnątrz, jakby wpatrywał się w przeszłość.

– Każdej nocy – szepcze – każdej nocy, rozumiesz to, widzę ich... moich towarzyszy z Kanczendzongi. Widzę, jak wyciągają do mnie ręce... Słyszę, jak wołają o pomoc... Tak... Już zawsze będę ich widział...

Rozglądam się, szukając wody, szkockiej, czegokolwiek. Na półce z książkami stoi karafka: brandy, sądząc po zapachu. Wlewam trochę do szklaneczki i przysuwam do jego ust, ale odpycha mnie z zaskakującą siłą.

– Wynocha! – krzyczy. – Wynoś się i nie wracaj!

2.



KITS KIPI Z GNIEWU, gdy razem wracamy tongą do Dardżyling.

– Coś ty zrobił? Wpakowałeś się do kapitana Tennanta? I dlaczego, do diabła, nie zabrałeś mnie ze sobą?

– Nie pozwoliliby mi – odpowiadam. – Jest dość władczy.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale co ja mogę wiedzieć, skoro go nie poznałem? Nic nie mogę wiedzieć! Chryste Panie, Stephen, co ty mu właściwie powiedziałaś?

– Nic. Wpadł w jakiś dziwny stan, opowiadał o przeszłości. Dlaczego mi nie mówiłeś, że będziemy szli drogą Lyella?

– Sądziłem, że już się zorientowałeś!

Niby jak? – mam ochotę odpowiedzieć. Przed jego wyjazdem do Bombaju widzieliśmy się tylko raz. Miałem wtedy ciężką przeprawę z rodziną Clare, a on miał problem, bo potrzebował lekarza. Kwestia wyboru drogi nigdy się nie pojawiła.

Siedzimy ramię w ramię w tondze, tyłem do kierunku jazdy. Kits sztywno wpatruje się w drogę. Oczy ma zaszklone wściekłością, kąciki ust opadły mu jak u buldoga. Robił taką minę, gdy byliśmy chłopcami i miał zamiar zaraz mi przywalić.

Kusi mnie, aby mu powiedzieć, że stary Tennant uważa go za idiotę z powodu wyboru południowo-zachodniej ściany, ale obiecałem sobie wcześniej, że nie będę się z nim kłócił. Dajmy temu spokój, jesteśmy dorosłymi ludźmi.

Droga jest ciemna, jedziemy przez opadający tunel między zwisającymi cedrami i skrzypiącymi bambusami. Deszcz na razie nas omija, ale jest zimno, a chmury wokół są gęste i bezustannie nadciągają, jak goście z innego świata.

Jestem roztrzęsiony i mam wyrzuty sumienia w związku ze starszym mężczyzną, chociaż naprawdę nie wiem, dlaczego niewinne pytanie o miejscowy, paskudny bibelot miało by kogoś tak wytrącić z równowagi.

Ciągle widzę Millicent Tennant, która sama przepisuje mi „krople” i patrzy na mnie pogardliwym, bazyliżkowym spojrzeniem, uważając moją ewentualną medyczną diagnozę za całkowicie zbędną. Nadal widzę też przerażenie w oczach starszego mężczyzny.

To przerażenie jest dla mnie zdumiewające. Co to za pomysł, żeby biały człowiek – sahib – miał się bać góry?

Oczywiście u każdego alpinisty strach odgrywa pewną rolę. Jest strach, jest pożądanie, podziw, respekt, nawet miłość. Ale nie strach, który wyklucza wszystko inne. A Tennant nie był obłąkany. Tego jestem pewien. Więc dlaczego?

Jest jeszcze coś. Mam dręczące mnie podejrzenie, że Tennant spisał jakiegoś rodzaju relację z wyprawy.

Dobra, sprawa zamknięta. Nie powiem o tym ani słowa Kitsowi. Bóg raczy wiedzieć, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że zmarnowałem szansę wejścia w posiadanie relacji Tennanta.

– No to dlaczego idziemy śladem Lyella? – pytam. – Nie powiem, aby mi się to podobało. Cały czas będzie nam towarzyszyć tamta katastrofa.

– Dlaczego ty musisz zawsze wszystko analizować? Mam

nadzieję, że nie będziesz tego robił w czasie wyprawy. Innym by się to nie spodobało!

– Przyjąłem do wiadomości. To dlaczego idziemy śladem Lyella?

– Bo to najlepsza droga!

– I tylko o to chodzi?

– Co masz na myśli?

– No nie wiem – mówię sucho. – Pójść śladem twojego bohatera, dokończyć to, co on zaczął...

– Dobra, kpij sobie. W tym jesteś najlepszy, co?

Unoszę ręce w obronnym geście.

Ale dobrze znam mojego brata. Kilka lat temu na północno-zachodniej grani Everestu ktoś natknął się na czekan Irvine'a, a Kits rozpaczał przez kilka tygodni. Dlaczego to nie on go znalazł, dlaczego nie jemu przypadł ten szczyt? Tego właśnie teraz szuka: reliktyw ekspedycji Lyella. I oczywiście chce dokończyć to, co zaczął ten wielki wspinacz, chce być pierwszym człowiekiem na świecie, który zdobędzie ośmiotysięcznik – i jeszcze zyska dodatkową chwałę, umieszczając na szczycie brytyjską flagę i ucierając nosa cholernym Niemcom.

Żałuję, że pozwoliłem, aby starszy mężczyzna wytrącił mnie z równowagi. A jednak to też dobra lekcja. Muszę pamiętać, że cokolwiek mu się przydarzyło, stało się to trzydzieści lat temu. Nie mogę pozwolić, by jego strach zbrukał moją górę. Nie mogę dać się nim zarazić.

Tak więc w pewnym sensie zgubienie książek było szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Ani myślę pożyczać jakiegś od Kitsa. Nie zamierzam czytać ani słowa o wyprawie Lyella, nie chcę wiedzieć, co im się przydarzyło. To już historia. I nie ma to z nami nic wspólnego.

Czuję zapach węgla drzewnego i łąjna, z oddali dobiega

ujadanie psów: zbliżamy się do Dardżyling.

– Słyszałem, że jest tu ciekawy bazar – mówię, nie odwracając głowy. – Byłeś tam?

– Typowe miejscowe śmieci – parska Kits. – Kupiłem kilka bibelotów, żeby zabawić Dorothy i chłopców.

– Co u nich?

– Harry tęskni za domem, ale to minie. Ronnie niedługo będzie kapitanem pierwszej jedenastki – mówi, wydymając wargi. – Idzie w moje ślady. Dorothy jest oczywiście bardzo zapracowana. Wiejski festyn i tak dalej. Dużo roboty w posiadłości.

– Tak, oczywiście.

Wrony zrywają się do lotu z łopotem skrzydeł, odlatując od czegoś małego i martwego na poboczu drogi.

– Sądzę, że ojciec Clare mnie pozwie za złamanie przyrzeczenia – mówię do Kitsa.

Rzuca mi pełne irytacji spojrzenie, a później znowu wpatruje się gniewnie w drogę. Zawsze to robi. Albo rozmawiamy o nim, o jego rodzinie, o wspinaczce, albo nie rozmawiamy wcale.

– Czy kapitan Tennant mówił coś jeszcze o tej drodze? – pyta.

– Tylko tyle – mówię z wahaniem – że jego zdaniem nam się nie uda.

– A niby dlaczego? – pyta, odwracając głowę.

– Też go o to spytałem, ale nie odpowiedział.

Pobielone kamienie ułożone wzdłuż drogi są gdzieś tam usiane ciemnoczerwonymi plamami, które wyglądają jak krew. Pytam Kitsa, co to takiego, a on odpowiada, że nazywa się to *paan*. Nic mi to nie mówi, a on robi zdziwioną minę.

– Sok z betelu! Miejscowi go żują, a potem wypływają. Boże święty, Stephen, co ty robiłeś przez wszystkie te tygodnie na statku? Rzuciłem ci linę ratunkową, zabierając cię na tę wyprawę, nie zapominaj o tym! Sądziłem, że możesz zrobić choć

tyle i spróbować zapoznać się nieco z cholernym miejscem, do którego się wybierasz!

- Chciałem, ale bagażowi zgubili moje książki.
- Chryste Panie, jakie to do ciebie podobne!
- Kits – mówię, odwracając się do niego. – *Pax*.

Wpatruje się ponuro przed siebie, po czym trzepie mnie mocno w ucho.

– Czasami, mój drogi młodszy braciszku, jesteś naprawdę do niczego!



ZDUMIEWAJĄCE, ile człowiekowi może dać dobry obiad i kilka szklanek whisky z wodą sodową. Mój niepokój związany z Charlesem Tennantem całkiem zniknął, udało mi się też ułagodzić zjeżonego Kitsa, wypytując go o jego nową salę bilardową i o to, jak doskonale radził sobie młody Ronnie na swoim pierwszym polowaniu.

Rozsiedliśmy się w palarni Klubu Plantatorów i czekamy na naszego kierownika, majora Cotterella, który zwołał tu „naradę wojenną”. Nikt z nas nie ma bladego pojęcia, o co chodzi.

Przysunęliśmy głębokie fotele blisko kominka, a stojące za nami duże palmy w mosiężnych donicach zapewniają miłe uczucie prywatności. Przyglądam się moim towarzyszom, sahibom, poprzez mgłę dymu z cygar i nie czuję się już jak nowy uczeń w szkole.

McLellan to pulchny młody Szkot z rudymi włosami i piegami. Będę musiał uważać na jego ewentualne poparzenia słoneczne. Korzysta z przedłużonego urlopu ze swojego regimentu w Pendźabie. Wygląda mi na typ biurowy, może więc dobrze, że zajmuje się tragarzami i zaopatrzeniem. Płynnie mówi po

nepalsku, a także w języku, który określa jako „bazarowy hinduski”. Jest jedynym spośród nas, który już wcześniej wspinał się w Himalajach. W charakterystyczny sposób przeciąga samogłoski i najwyraźniej bardzo chce dopasować się do pozostałych.

Garrarda znam trochę z Winchester, gdzie był najlepszym przyjacielem Kitsa. Ma się zajmować komunikacją: sprawozdaniami dla prasy, fotografiami i raportami pogodowymi nadawanymi telegraficznie z Dardżyling. To ateista, snob i salonowy socjalista. Jest niepospolicie brzydki ze swymi przerzedzonymi jasnymi włosami, podkrążonymi oczami i olbrzymim krzywym nosem. Chociaż jest bystry i odcytany, zawsze był oddany Kitsowi – to jedna z tych przyjaźni, które nie powinny się udać, a jednak trwają. Przy obiedzie spytałem go, dlaczego zdecydował się wziąć udział w ekspedycji.

– Bo Kits mnie poprosił. I tyle – odpowiedział, rumieniąc się.

W Winchester wszyscy mówili na niego Dziób, z oczywistych powodów, jednak cała nasza trójka zgodziła się, że nie będziemy używać przydomków, aby nie wykluczać pozostałych. Garrard będzie więc Garrardem, a ja nie będę już Partaczem. Bogu dzięki. Nienawidzę tego przydomka, który Kits nadał mi pierwszego dnia w szkole.

Kits oczywiście pozostanie Kitsem. Nikt nie nazwał go Christopherem od jego urodzenia. Jako nasz najlepszy strzelec będzie dostarczał zwierzyny na szlaku w drodze do podnóża góry. A ponieważ jest też najlepszym wspinaczem, jest naszą największą nadzieją na zdobycie samego szczytu.

Major Cotterell wchodzi, a my zrywamy się na nogi. Gestem nakazuje nam usiąść, po czym staje na dywaniku przy kominku.

– To dość delikatna sprawa – mówi, marszcząc czoło i nabijając tytoniem swoją fajkę wrzoścową. – Dostałem list od

kapitana Tennanta, w którym w najmocniejszych możliwych słowach zaklina nas, byśmy nie szli ich drogą wiodącą południowo-zachodnią ścianą.

Zapada niezręczna cisza.

Sam siebie zdumiewam, odzywając się jako pierwszy:

– Zdaję sobie sprawę, że mam mniejszą wiedzę niż pozostali, ale... Gdybyśmy zdecydowali się na podejście od strony północnej, czy to by nie oznaczało zupełnie innej drogi, nawet samego podejścia pod górę?

– Oczywiście, że tak! – rzuca McLellan tonem, od którego aż mrużę oczy. – Musiałbym znaleźć nową grupę kulisów i poganiaczy jaków. To nie wchodzi w grę!

– Ale dlaczego on w ogóle chce, żebyśmy zmienili plany? – pyta Garrard, ciągnąc się za swój wielki dziób w sposób, który pamiętam ze szkoły.

– Nie mówił – odpowiada Cotterell, zwracając się w moją stronę. – Panu coś wspominał, doktorze Pearce?

– Tylko tyle, że jego zdaniem nam się nie uda, sir, ale nie mówił, że w ogóle nie powinniśmy próbować.

– Czy to możliwe, że ma rację? – zastanawia się Garrard. – No cóż, jak dotąd większość wypraw próbowała wejść od północy...

– Jak w ogóle możesz tak mówić?! – wybucha Kits. – Przerabialiśmy to milion razy. Droga Lyella jest najlepsza!

Garrard rzuca mu przepaszające spojrzenie.

– Kits, ja tylko się zastanawiam. Smythe wolał ścianę północną. Są tacy, którzy mówią, że od strony południowo-zachodniej nie da się wspinać.

– Kto tak twierdzi? – rzuca Kits.

– Cóż, na przykład Bauer.

– To Niemiec – prycha Kits. – A my mamy szansę sprawić, by jako pierwszy na szczycie stanął Anglik.

– Dobrze gada – mówi Cotterell. On jeden z nas wszystkich

jest na tyle stary, że mógł walczyć w Wielkiej Wojnie. Wyobrażam sobie, że dla niego pokonanie fryca to sprawa osobista.

– Mówią, że Bauer ma zamiar ponownie spróbować w przyszłym roku – dodaje Kits. – Nie chciałby pan być przy tym, majorze, kiedy się dowie, że pokonaliśmy go o włos?

Cotterell tłumi śmiech.

– A jednak, drogi chłopcze... Być może kapitan Tennant ostrzega nas, bo wie z własnego gorzkiego doświadczenia, że nie da się przejść ścianą południowo-zachodnią.

– Och, sir...

– Albo też – kontynuuje major – i wiem, że to zabrzmiało jak kompletna brednia... być może uważa, że ta droga w jakiś sposób należy do Lyella. Czy nie powinniśmy chociaż przemyśleć przystania na jego prośbę?

Pięgowata twarz McLellana robi się różowa.

– Doprawdy, sir, nie rozumiem, dlaczego w ogóle o tym dyskutujemy. Nie ma na to czasu! Za siedem tygodni monsun zmieni tę górę w śmiertelną pułapkę...

– Masz na myśli: jeszcze bardziej śmiertelną. – Garrard się śmieje.

Szkot go ignoruje.

– Musimy wyruszyć przed końcem maja, sir, nie możemy sobie pozwolić na żadne zmiany w ostatniej chwili!

Nie mam na to odpowiedzi. Ciekawi mnie, jak zadecyduje major Cotterell.

Major stanowi ideał alpinisty w oczach każdego chłopca. Jest wysoki, dobrze zbudowany, ma przystojną, lwią głowę z włosami siwiejącymi na skroniach i szare oczy, których spojrzenie dziennikarze pewnego typu z pewnością nazwaliby „przeszywającym”. Ma dobrze po czterdziestce i jest starszy od nas wszystkich o ładnych parę lat, a jego doświadczenie

wojskowe sprawia, że idealnie nadaje się na kierownika wyprawy. Na czole ma jednak pas luźnej od marszczenia skóry, a ja zaczynam się zastanawiać, czy nie jest to aby typ stale się zamartwiający.

– Cóż – mówi, gładząc wąsy – chciałbym, aby to było przedsięwzięcie demokratyczne, będziemy więc głosować.

Zanim orientuję się, co się dzieje, major i Garrard głosują za zmianą drogi, Kits i McLellan przeciw – i nagle wszyscy patrzą na mnie. Niech to diabli, mój głos będzie decydujący. W palenisku trzeszczą polana, a na zewnątrz jakiś nocny ptak wydaje dziwaczny krzyk. Gdybym wierzył w omeny, powiedziałbym, że to znak, żebyśmy nie szli śladem Lyella. Omen czy nie, mnie się ten pomysł nie podoba. Nie mam ochoty wspinać się po śladach zmarłych.

A jednak... Kits patrzy na mnie spode łba. Jestem doskonale świadom, że za jego dobroduszną buźką, przypominającą bohatera książek z serii *Just William* kryje się pas bezwzględności szeroki na kilometr. „Jesteś tu dzięki mnie, mój mały braciszku, więc lepiej mnie teraz poprzyj, do cholery”.

Chodzi o coś jeszcze. O coś, z czym Kits nie ma nic wspólnego. Charles Tennant sądzi, że nie damy rady. Chciałbym mu udowodnić, że się myli.

– Dawaj, Stephen – cedzi Kits przez zaciśnięte zęby. – Co robimy?

Jest tak cicho, że niemal słyszeć, jak unosi się dym.

Myślę o fotografii w gabinecie Tennanta: Kanczendzonga majestatycznie unosząca się ponad chmurami.

– Nie wydaje mi się, abyśmy mieli jakiś wybór – mówię wreszcie. – Albo idziemy ścianą południowo-zachodnią, albo wszystko się zawali. Trzymajmy się więc naszych planów. Idziemy od strony południowo-zachodniej.

3.



WIEM, ŻE ŚNIE, ale w niczym to nie pomaga. Trzymam w ręku szklaną kulę. Potrząsam nią i śnieżycą zasypuje mały domek i miniaturowego ludzika na werandzie.

Tym ludzikiem jestem ja. Tkwię uwięziony w białej ciszy, a zarazem patrzę na samego siebie z zewnątrz. Śnieg napadał już po uda, jego grube płatki zatykają mi oczy, nos i usta. Teraz moja twarz zaczyna się zmieniać. Powoli przeistaczam się w Kitsa.

Budzę się i gwałtownie podrywam. Po chwili znów z jękiem zakopuję twarz w poduszkach.

Mam już serdecznie dość tego przekłętego snu. Śni mi się co noc od dwóch miesięcy. Naprawdę, moja nieświadomość mogłaby wytworzyć coś nie tak bezwstydnie oczywistego. Szklana kula oznacza uwięzienie w życiu, którego nie chcę. A ta przemiana w Kitsa... Dobrze, rozumiem, może już wystarczy?

Sprawy w Londynie układały się gładko: intratna posada przy Harley Street, córka współdziałowca firmy, Clare, jako moja wybranka. Potem w ciągu tygodnia okazało się, że nagle jestem

z nią zaręczony, a jej tatuś proponuje mi zostanie młodszym udziałowcem. Miałem dręczące mnie nieustannie uczucie, że coś jest nie tak, chociaż nie potrafiłem ustalić, co konkretnie.

Szklana kula miała być prezentem ślubnym.

– Czyż to nie jest urocze? – wykrzykiwała Clare, zakopując ludzika w śniegu.

Tamtej nocy miałem ten sen po raz pierwszy. Od razu wiedziałem, co oznacza. Jeśli poślubię Clare, skończę jak Kits: z jego egzystencją bogacza, z jego doskonale ustosunkowaną żoną, z jego pełnymi energii potomkami. Myślałem kiedyś, że też chcę tego wszystkiego, ale teraz czułem, że jestem uwięziony, że się duszę. Musiałem rozbić od środka tę szklaną kulę, zanim będzie za późno.

Następnego dnia babcia Clare wydawała obiad. Nad zupą powiedziałem o wszystkim mojej biednej narzeczonej. Była nie tyle zraniona, co raczej oburzona, chociaż nie całkiem zaskoczona. Potem powiedziałem jej ojcu. Potem wstałem i powiedziałem wszystkim pozostałym. Całe rodzinne stadko za jednym zamachem. Ciocia Ruth zawsze powtarzała, że mam skłonność do skrajnych zachowań.

Kits nigdy nie spytał mnie, dlaczego to zrobiłem, a jak dotąd Cotterell i McLellan również unikali tematu. Ale ostatniego wieczoru przy obiedzie Garrard poruszył temat, więc musiałem mu odpowiedzieć:

– Czułem, że grozi mi zostanie młodszą wersją Kitsa – wyjaśniłem.

– A to by było takie złe? – zapytał cicho.

– Och, wiesz, co mam na myśli.

Pogładził swój dziób jak zamyślony sęp.

– Ale skoro tak... to dlaczego się z nim wspinasz?

– Cóż, to co innego – odpowiedziałem, mrugając. – Ja chcę wejść na tę górę. Ona nie należy do Kitsa.

– A skoro on potrafi coś zrobić... – zaczął z błyskiem w blisko osadzonych oczach.

– To nie tak! – wybuchnąłem śmiechem. – To życiowa szansa! To jest Kanczendzonga!

Nadal jest ciemno, a miejscowe psy szczekają tak, że mogłyby obudzić umarłego. Teraz już wiem, dlaczego śpią cały dzień: bo szczekają całą noc. Patrząc na fosforyzujące cyfry na moim zegarku na rękę, widzę, że jest czwarta rano. Za dwie godziny wyruszamy.

W żołądku mi się kotłuje. Nigdy nie byłem na takiej wyprawie. Dotychczas wspinałem się głównie w Alpach: na górę i na dół tego samego dnia, a potem powrót na kąpiel w hotelu. Naprawdę mam nadzieję, że stanę na wysokości zadania.

Trzęsąc się, po raz tysięczny sprawdzam swój ekwipunek. Chlebak, śpiwór, moje ukochane szwajcarskie buty do wspinaczki, godny zaufania norweski plecak, lakowana blaszana apteczka; całe szczęście to do niej wrzuciłem swoje papiery lekarskie, nie do worka z książkami.

Wiem, co mnie wytrąciło z równowagi. To wcale nie sen, tylko żałosne przesady kulisów. Przedwczoraj dowiedzieli się, że będziemy szli drogą Lyella i natychmiast wpadli w panikę. Nie mam pojęcia dlaczego, ale doszło do niezłej awantury.

Był pochmurny poranek (nadal nie widać góry), a oni czekali na kawałku płaskiego terenu na obrzeżach miasteczka.

Nie spodziewałem się, że będzie ich aż tylu.

– Powiedziałeś mi, że to skromne przedsięwzięcie – wygarnąłem Kitsowi. – Po co nam sześćdziesięciu tragarzy?

– To niewiele jak na Himalaje. Dyhrenfurth i Smythe mieli ich ponad czterystu.

Z zaskoczeniem ujrzałem pośród nich kilku starszych mężczyzn, a nawet parę kobiet. Wszyscy byli niskimi, drobnymi ludźmi o wyrazistych kościach policzkowych, twarzach

ogorzałych od wiatru i słońca, poplamionych betelem zębach i przerażonym spojrzeniu. Większość miała kolczyki z turkusami albo koralami, a także zaśnieżone srebrne amulety na piersiach. Nieliczni założyli europejskie ubrania (uznałem to za oznakę wysokiej pozycji), większość jednak miała na sobie sięgające łydek kolorowe szaty obnażające ich nagie golenie.

Zmartwiło mnie, że prawie wszyscy są boso, i spytałem o to McLellana. Odpowiedział, że buty będzie wydawał w Nepalu, gdy już wykruszą się wszyscy maruderzy. Sprawiał wrażenie urażonego moim pytaniem. Obawiam się, że może być typem służbisty. Mam nadzieję, że nie wynikną z tego żadne problemy.

Awantura zaczęła się, gdy szedłem w stronę krytej blachą szopy, w której otworzyłem swoją „przychodnię”. Cotterell stał obok sterty wielkich drewnianych skrzyń bagażowych, gawędząc z zastępcą komisarza policji i jakimś gościem z Klubu Himalajskiego. McLellan siedział na rozkładanym stołku pod drzewem. Na rudej głowie miał biały hełm korkowy i najwyraźniej dobrze się bawił, zapisując nazwiska i pobierając odciski palców na rachunkach za wypłaty i dostawy, sporządzonych przez Garrarda i Kitsa.

Nagle Szkot zerwał się na równe nogi i zaczął wydierać w jakimś niezrozumiałym języku na dwóch miejscowych, którzy stali przed nim i z szacunkiem odwracali wzrok.

Okazało się, że to sirdar i jego pomocnik, którzy właśnie odmawiali wyruszenia następnego dnia, jak było planowane, bo tak się złożyło, że to dokładnie ten sam dzień, w którym wyruszył Lyell w roku 1906.

– Tak w każdym razie mówią – wściekał się McLellan, którego twarz pod piegami zrobiła się ciemnofioletowa. – To obrzydliwa sztuczka, żeby wyłudzić więcej racji żywnościowych.

– Czy nie możemy po prostu pozwolić im poczekać jeden

dzień? – spytałem.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę.

– Jeśli raz ustąpi pan kulisowi, doktorze Pearce, to jego sztuczkom nie będzie końca!

– Ale dlaczego w ogóle przeszkadza im ta data? – spytał Kits. – Mnie się raczej podoba pomysł, by wyruszać tego samego dnia co Lyell.

– Plan jest taki, że kulisi ruszą jutro pieszo, a my dogonimy ich następnego dnia samochodem – oznajmił McLellan. – I dokładnie tak zrobimy.

Rozpoczął kolejną tyradę na potrzeby dwóch miejscowych i wyglądało na to, że sprawy nie mają się najlepiej. Po chwili kazanie stało się jakby spokojniejsze. Ostatecznie miejscowi zaczęli się uśmiechać.

– Wysyłam gońca z ich kapeluszami – mruknął. – To niedorzeczne, ale jeśli ich kapelusze wyruszą dzisiaj, będą przekonani, że wyprawa już się zaczęła. „Unikną złej karmy” i całe te brednie.

– Sprytnie – zauważyłem.

Rzucił mi chłodne spojrzenie.

– Znam tych ludzi, doktorze Pearce. Kulis jest pół dzieckiem, pół diabłem. Jest też niestrudzonym kłamcą. Lepiej, aby pan o tym pamiętał.

– A jak ich przekonamy, żeby poszli z nami drogą Lyella? – spytał Garrard, targając jeszcze bardziej jasne włosy.

– Wcale – odparł Szkot. – Zapomną. Łatwo odwrócić ich uwagę.

– Mam nadzieję, że masz rację, bracie – wymamrotał Garrard.

Zostawiłem ich z tym i poszedłem zająć się przyjmowaniem pacjentów.

Moja przychodnia była pełna, unosił się w niej cebulowy zapach niemytych ciał. McLellan przypomniał mi cierpko, abym

„odrobaczył kulisów”, a mój poprzednik, biedny Hewet, zostawił zapasy szczepionek przeciw ospie, durowi brzuszemu i tyfusowi. Wszyscy (i wszystkie) bez wyjątku zgodzili się, bym potraktował ich santoniną i olejem rycynowym, i wszyscy równie uprzejmie nie zgodzili się na szczepienia.

W desperacji podwinąłem rękaw i sam się zaszczepiłem. Nic to nie dało. Już prawie wpadłem w rozpacz, kiedy jeden z nich wystąpił i zdecydował się poświęcić.

Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat – krępy skrzat z pomarszczoną mahoniową twarzą. Wargi i zęby miał purpurowe, poplamione od betelu. Nosił zieloną szatę zawiązaną na piersiach i wełnianą żółtą czapkę ze szkarłatnym pomponem. Na plecy opadał mu czarny warkocz. Za pas zatknął puszczalkę i groźnie wyglądający zakrzywiony sztylet, podobny do tego, który widziałem na biurku Charlesa Tennanta (wszyscy miejscowi je mają). Mówiąc po angielsku z ciężkim akcentem, przedstawił się jako Nima. Potem, rozciągając w uśmiechu fioletowe usta, obnażył umięśnione ramię.

Po tym jak go zaszczepiłem, pozostali szybko ustawili się w kolejce i śmiejąc się i dowcipkując, poddawali się igle. McLellan nazywa ich wszystkich kulisami – nie wiem, czy to jakaś zbiorcza nazwa, czy określenie profesji – widać jednak, że wywodzą się z wielu grup etnicznych. Poprosiłem Nimę, by mi je wskazał. Bothia, Lepczowie, Limbu, Szerpowie. Nima jest Szerpą. Mówił mi z dumą, że Szerpowie wywodzą się z Nepalu i że są najlepszymi wspinaczami. Wygląda na to, że na pozostałych patrzy z góry.

Żałuję, że nie dowiedziałem się o nich więcej. Zastanawiam się, czy opinia McLellana na ich temat jest słuszna. Kiedy już udało się stłumić ich strach w kwestii Lyella, zaczęli sprawiać wrażenie ludzi szczęśliwych, przyjaznych i skłonnych do zabawy.

Gdyby tylko nie byli tak bardzo przesądni. Większość ma na sobie szale przypominające wstęgi, ozdobione czarnymi zawijasami. Kiedy spytałem Nime, co to takiego, odpowiedział mi kolejnym fioletowym uśmiechem.

– Modlitwy, doktor sahib.

– Do kogo?

Jego uśmiech zamiera.

– Trzymają z dala złe rzeczy.

– Złe rzeczy?

– W górach, doktor sahib.

Sam byłem zdumiony natężeniem mojego niepokoju. Zrobiło mi się trochę niedobrze. Dlaczego? Przecież nie wierzę w te banialuki. Jestem lekarzem. I tak jak Garrard, nie wierzę w żadne siły wyższe.

Psy nadal szczekają. Jest czerwony świt pierwszego dnia naszej wyprawy. Dardżyling jest spowite chmurami. Zastanawiam się, czy Nima uznaje to za dobry czy zły znak.

Nasza ekspedycja będzie mała i szybka: dwunastu Szerpów i pięćdziesięciu kulisów z nizin – nie jak te ogromne, rozdmuchane wyprawy na Everest. Major Cotterell zaplanował całe przedsięwzięcie z wojskową precyzją, a poprzedniego wieczoru raz jeszcze omówiliśmy sobie cały szlak. Pójdziemy na północ przez dżunglę i wzgórza Sikkimu, dalej na zachód przez ogromne pasmo Singalila (jakieś cztery tysiące osiemset metrów wysokości), potem w dół do Nepalu i przez lodowiec Yalung aż pod południowo-zachodnią ścianę góry. Przez pierwsze cztery noce będziemy spać w chatkach poczty konnej – zdaje się, że są zorganizowane przez władze – a potem już w namiotach.

Jeśli chodzi o samą górę, to Kits ostrzegł mnie już w Londynie, abym nie miał nadziei, że cała drużyna wejdzie na szczyt. Wczoraj wieczorem powtórzył to samo. Nie bardzo mi się podobało, że mnie tak ustawia na oczach innych, ale nie

zależało mi specjalnie na samym szczycie. Chcę tylko się powspinać. Mam nadzieję, że nie zawiodę pozostałych.

Nadal czuję, że jestem tu trochę na uboczu. Kits, Garrard i Cotterell już wcześniej podróżowali razem, a McLellan zna kraj i miejscowych. Ja mam tylko wiedzę medyczną. Kits nazywa ją „mądrymi sprawkami”. Nie bardzo to pomaga.

Ale podoba mi się samo wspomnienie o tym lodowcu. Marzą mi się lśniące lodowe iglice i głębokie granatowe przepaście. O wiele prostszy świat, tak oddalony od Harley Street i szklanej kuli.

Myślę też, że wiem już, dlaczego tak odrzucają mnie przesady kulisów. Przypominają mi o Charlesie Tennancie. Widzę go teraz, jak garbi się w swoim gabinecie pośród ponurych artefaktów: tej szklistej maski i trąbki z kości udowej. Kulisi boją się góry i Tennant też się boi. Tego właśnie nie mogę znieść. Chcę, by góra była dla mnie czysta i bez skazy.

Sztuczka McLellana z kapeluszami była może i sprytna, ale ostatecznie niemądra. Dostosowując się do przesądów kulisów, przypisał ekspedycji Lyella niepotrzebną wagę – a tego właśnie musimy unikać. Ekspedycja sprzed dwudziestu dziewięciu lat nie może mieć nic wspólnego z naszą. Nie może przecież w żaden sposób na nas wpłynąć, chyba że sami jej na to pozwolimy.



TAK JEST o wiele lepiej. Mam wrażenie, że Dardżyling jest już milion kilometrów za nami.

Wyruszyliśmy po śniadaniu trzema samochodami austin, prowadzonymi przez pełnych werwy młodych angielskich plantatorów, którzy zgodzili się „podwieźć nas do bazaru Singla”

– nas, czyli pięciu sahibów, kucharza, Pasanga (przystojnego pomocnika wodza) i jeszcze dwóch Szerpów, którzy mają zajmować się nami, dopóki nie dogonimy pod wieczór pozostałych kulisów w pierwszej chacie pocztowej.

Gdy jechaliśmy przez wilgotne zielone wzgórza, dobiegał nas dziwaczny śpiew kukułki. Dostrzegałem też kilka tarasowych pól herbacianych, kiedy tylko pozwalała mi na to mgła, a na ogół nie pozwalała.

– Jaka szkoda – rzucił chłopak za kierownicą. – Widoki są niesamowite.

Jestem już dość zmęczony słuchaniem w kółko tego samego tekstu.

Teraz jest południe, samochody odjechały, a my zgarnęliśmy nasze kuce. Mój jest mały, wychudzony i szary, ma oklapnięte futro na głowie. Nie potrafię wymówić jego imienia, więc nazywam go Świst, bo najwyraźniej bardzo lubi strzelać ogonem tuż przed moją twarzą.

Siodło jest okropnie niewygodne, ale mi to nie przeszkadza. Jesteśmy w dżungli. Powietrze aż dudni od moskitów i krzyków niedostrzegalnych ptaków. Wokół czuć kwaśny odór rozkładu i jest naprawdę gorąco. Moja koszula safari jest mokra od potu. Przypomniałem wszystkim, by założyli kapelusze i zażyli chininę.

Przed nami wije się jadeitowozielona rzeka przecięta rozklekotanym, wzniesionym przez miejscowych wiszącym mostem. Zrobiono go z wytartych lin i desek, wyglądających na bardzo śliskie. Gdy przejdziemy na drugą stronę, będziemy w stanie Sikkim i nasza wyprawa zacznie się na dobre.

Most jest przystrojony setkami małych, wyglądających dość wesoło niebieskich, białych, czerwonych, zielonych i żółtych flag.

– Faktycznie – mówi Garrard z wydatnym nosem ciągle

zatopionym w książce. – *Każda flaga ma na sobie wypisane buddyjskie modlitwy, które ma uwalniać każdy powiew wiatru. Leniwe, ale sprytne rozwiązanie, pozwalające uniknąć wysiłku.*

Moje serce zamiera. Książka, którą czyta, to *Skrwawieni, lecz niezłomni*. Zastanawiam się, czy co krok będzie przywoływał odpowiedni ustęp.

Pomiędzy nami a mostem stoi coś, co wygląda jak kamienna urna. Ona też jest święta. Garrard nazywa ją stupą. Kiedy snuję się obok na Świście, podbiega do mnie Szerpa, z szacunkiem chwyta uzdę i próbuje przeprowadzić kuca drugą stroną stupy. To Nima, ten, który na ochotnika pozwolił się pierwszy zaszczepić.

– Zawsze z lewej, doktor sahib – mówi z nieśmiałym uśmiechem. – Z lewej, jak słońce.

Nasza stara niańka też się tak upierała w kwestii okrażania kościołów. Zawsze zgodnie z ruchem wskazówek zegara, nigdy odwrotnie. Ale ja nie mogę pozwolić na tego typu bzdury, więc zwracam się stanowczo do Nimy:

– Dziękuję ci, ale przejadę z prawej, tak jak planowałem.

Kłania się i robi krok w tył, po czym obserwuje, jak przejeżdżam ze „złej” strony. Na jego skrzaciej brązowej twarzy widać swego rodzaju współczucie, jakbym był szczeniakiem, który zaraz spadnie w przepaść.

– Wiedziałeś, że na Kanczendzondze mieszka bóg? – pyta Garrard, cały czas czytając. – A ta rzeka wypływa z jej lodowców.

– Czy to dlatego składają tutaj ofiary? – pyta Kits.

Każdy z kulisów wyrzuca kilka ziaren z materiałowych zawiniątek, w których niosą swoje racje żywnościowe.

– No cóż, mój papieros będzie musiał wystarczyć. – Garrard ziewa, pstryczkiem posyłając niedopałek do rzeki, kiedy przeprowadza kuca przez most.

– Ode mnie nic nie dostanie – mówi McLellan, oddany prezbiterianin.

– Ani ode mnie – mamroczę z emfazą.

Most chwieje się niebezpiecznie, gdy prowadzę przez niego kuca, ale zwierzę nie traci równowagi i wkrótce znajdujemy się po drugiej stronie.

Zirytowany widzę, jak Kits rzuca do rzeki garść monet.

– Dlaczego, u licha, to zrobiłeś?! – wykrzykuję.

– A dlaczego, u licha, nie? Można poświęcić kilka pensów, by uczcić taką okazję! Ostatecznie Lyell przeszedł tędy dokładnie dwadzieścia dziewięć lat temu, co do dnia.

– Ale nie na oczach miejscowych, Kits!

– Doktor Pearce ma rację – wtrąca cicho Cotterell. – Niemądrze jest zniżać się do ich poziomu, Kits, stary druha. Lepiej zachować odpowiedni dystans.

– Przepraszam, sir, to się nie powtórzy – mówi Kits, rumieniąc się.

Kiedy major się odwraca, brat rzuca mi wściekłe spojrzenie.

Najgłupsze jest to, że całkowicie spartaczył tę swoją nieszczęsną ofiarę, bo niektóre z monet nie wpadły do rzeki, tylko wylądowały na moście.

Po pniu drzewa złazi kilka makaków i chyłkiem wbiega na most, by zebrać monety. Ale Kits pojechał już do przodu i nawet tego nie widzi.

4.



CAŁE SZCZĘŚCIE, że Świst stąpa pewnie, bo do rzeki prowadzi śmiertelny stok, a jedziemy cały czas po błocie.

Deszcz zaczął padać zaraz po tym, jak wjechaliśmy do stanu Sikkim. Gorący, tropikalny, grożący burzą deszcz. Jedziemy już od kilku godzin, mozolnie wspinając się na stromą zalesioną grań, po chwili osuwając się po drugiej stronie, potem chwiejąc się przez kolejny rozklekotany most i znowu pod górę, by zacząć wszystko od nowa.

Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie pijawki, małe, wstrętne, czarne robaki zwisające z każdego liścia. Zaatakowały moje kolana, nadgarstki i raz nawet, ku mojemu przerażeniu, szyję. Zabijam te odrażające małe bestie płonącym papierosem. Nasi bosonodzy kulisi wyciągają je, nawet nie wypadając z marszowego rytmu. Mój biedny kucyk cierpi. Co chwilę muszę zeskakiwać z grzbietu, by sprawdzić jego pęciny i uszy. I zupełnie nie pomaga to, że Kits twierdzi, iż Lyell nawet nie zobaczył pijawki na swojej drodze, bo przez cały czas towarzyszyła mu „wspaniała pogoda”.

Kits jedzie przodem z wiernym Garrardem u boku, podczas gdy McLellan – z poczerwieniałą piegowatą twarzą wciśniętą pod topi – trzyma się blisko majora Cotterella. Ja jestem zdany na własne towarzystwo, ale to dobrze, nie mam ochoty na pogawędki.

Mam wrażenie, że dżungla mnie prześladowuje. Ten parny smród rozkładu. Te ptaki, których niemal nigdy nie widać – a kiedy już się jakiegoś dostrzeże, okazuje się, jak są dziwaczne. Wcześniej widziałem przelatującą srokę, z tym że była niebieska z ogonem w żółte pasy, długim na metr.

Drzewa są jeszcze gorsze. Każdy pień, każda poskręcana gałąź, każdy zaplątany korzeń pełne są porostów i mchów. A wszystko to beładnie wybujałe. Wygląda jak las ze snu.

Nawet dobrze znane rośliny tutaj wyglądają obco. Liście pokrzyw pokryte są jaskrawymi zielonymi pęcherzami. I czy to możliwe, że to gigantyczne drzewo, aż tętniące od czerwonych kwiatów, to zwykły rododendron? Cotterell, zapalony biolog amator, zachwyca się magnoliami i woskowobiałymi orchideami. Przed chwilą zawołał mnie, by razem ze mną podziwiać gigantyczny „kwiat” – główkę w kształcie trąbki, zielono-fioletową barwę, pochylenie, za sprawą którego wygląda jak kobra gotowa do skoku. Mówi, że nazywa się drakunkulus. Jak dla mnie jest odrażający.

Deszcz wreszcie przestaje padać. Spotykamy kilku ludzi czekających na nas pod drzewem. Wyglądają, jakby mieli po dziesięć lat. Mają ogolone czaszki i noszą szkarłatne szaty. Najwyraźniej są buddyjskimi mnichami, chcą nas zabrać do swojego klasztoru, byśmy tam dostali błogosławieństwo – albo żeby poprosić górę, by nas nie zabiła. Trudno dokładnie powiedzieć, o co tak naprawdę im chodzi.

Wszyscy chcemy już dotrzeć do nocnej kwatery, ale ku naszemu zaskoczeniu Cotterell uważa, że powinniśmy pójść

z mnichami.

– Miły gest wobec maharadży, takie tam...

Okazuje się, że abyśmy mogli wspinać się na górę, potrzebna nam była zgoda maharadży, a on udzielił jej tylko pod warunkiem, że przysięgniemy nie stawać na samym szczycie, aby nie urazić ducha, boga, czy co tam właściwie ma mieszkać.

Żałuję, że Cotterell się zgodził. Czy te przesady mają nas ścigać nawet w czasie samej wspinaczki? Chyba widzi, że ulegając tym wierzeniom – temu strachowi przed górą – ryzykujemy, że się nimi zarazimy?

Na szczęście klasztor nie stoi zbyt daleko. Jest podupadły; mimo to robi wrażenie: ciemne, zimne przestrzenie, owiane zapachem kadzidła i oświetlone maślanymi lampkami z lśniącego brązu. Nasi kulisi zostawiają bagaże na zewnątrz i zginają się, dotykając czołami podłogi. Ich wiara jest nadzwyczaj głęboka. Chciałbym móc patrzeć na to bez niepokoju.

My, sahibowie, zajmujemy miejsca na stołkach na zabłoconym dziedzińcu i czekamy, aż zacznie się to, cokolwiek ma się tutaj zacząć. Nima mówi mi po cichu, że chodzi o wskazanie nam właściwej ścieżki po śmierci, ale McLellan nazywa to „diabelskim tańcem”. Jako prezbiterianin uważa wszelkie duchy za rzecz całkowicie nie do przyjęcia. Tak czy inaczej, to wszystko nie dodaje nam pewności siebie.

Rozpoczyna się skandowanie: pozbawione melodii i pulsujące jak rzeka. Jakiś mnich uderza w zielony bęben zakrzywionym mosiężnym młotkiem. Inny dmie w niewiarygodnie długi róg, wydobywając z niego głęboki nieziemski pomruk, któremu odpowiada echo z gór.

Teraz wyskakują „diabły”. Mają postrzępione peruki z suchej trawy, powiewają szatami i grzechoczą kostkami, które wyglądają na ludzkie kości śródstopia. Większość „diabłów” ma

na sobie maski wyobrażające białe czaszki z wielkimi, upiornymi, czarnymi oczami. Jeden z nich to najwyraźniej bóg. Jego maska pomalowana jest na wypłowiwały niebieskoszary kolor, ma żółte kły i błyszczące czerwone oczy. W nieprzyjemny sposób przypomina mi maskę w gabinecie Tennanta. Przeklęty Tennant. Dlaczego miałbym teraz o nim myśleć?

Diabły wirują coraz szybciej i szybciej, wystukując bosymi stopami natarczywy rytm, który zdaje się przenikać całe moje ciało.

Nagle „bóg” skacze ku mnie i wciska swoją maskę prosto w moją twarz. Odsuwam się z krzykiem. Przez moment mam wrażenie, że z tych wymalowanych oczodołów swoim twardym spojrzeniem spogląda na mnie Charles Tennant.

Tancerze odchodzą, ale moje serce kołacze jak szalone, a pozostali sahibowie wpatrują się we mnie. McLellan wybucha śmiechem.

– Dobry Boże, doktorze Pearce! Chyba nie dał się pan wystraszyć temu hokus-pokus?

– Oczywiście, że nie – rzucam. Policzki mi płoną. Co oni muszą o mnie myśleć?

Światło dnia gaśnie, kiedy docieramy do naszej pierwszej chaty pocztowej. Znajduje się na wysokości mniej więcej tysiąca pięciuset metrów, na zalesionej grani ponad małą wioską. Tutejszy *chowkidar*, czyli dozorca, to stary nikczemny opiumista o żółtych oczach. Chata jest zarezerwowana dla nas, sahibów. Kulisi zbudowali dla siebie schronienia z gałęzi i bambusów.

Okazuje się, że Nima został moim osobistym służącym; każdy sahib dostał jednego. Nie wiadomo, kiedy zdążył wypakować mój sprzęt i przynieść miednicę z gorącą wodą, po czym wyszedł, by zająć się Świstem. Z trzech łóżek w większym pomieszczeniu Nima zajął dla mnie najlepsze: prosta

uprzejmość, która bardzo mnie uspokaja. Nie żebym potrzebował uspokajania, ale jestem zły na siebie, że pozwoliłem się przestraszyć tą maską.

Obiad jemy na werandzie Składa się z szarego mięsa, duszonej zieleniny, gruszek z puszki i skondensowanego mleka. Gdyby nie szkocka na popitkę, czułbym się jak w szkolnej stołówce. Znowu zaczyna padać. Odgłos deszczu bębniącego o blaszany dach jest ogłuszający, ale to nie przeszkadza pozostałym dokuczać mi z powodu tego, co Kits z lubością nazywa „atakiem omdlenia”. Jest mi to obojętne. Tylko McLellan nie wie, kiedy przestać. Ostatecznie żegnam się i wychodzę.

Ulewa się skończyła, ale noc rozbrzmiewa wodą skapującą z drzew.

Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że moja chata jest w sumie dość ponura. Ściany są wilgotne i pozieleniałe. Wewnątrz utrzymuje się zapach zapleśniałych tkanin. Dżungla wdziera się do środka poprzez połamane okiennice.

Moje łóżko to tutejszy *char poi* – stelaż z plecionką zamiast materaca. Nima rozciągnął nad nim moskitierę, przywiązując ją do czterech bambusowych kołków przymocowanych do nóg. Kiedy wytrzepuję śpiwór, coś z niego wypada i zaczyna uciekać po podłodze. Skorpion. Rozdeptuję go obcasem.

Nagle odechciewa mi się spać, wychodzę więc na ostatniego papierosa.

Czerwone ogniska kulisów lśnią w ciemnościach. Nima siedzi przy jednym z nich, trzymając miskę tsampy, tutejszej mąki jęczmiennej. Ma zamyślane spojrzenie człowieka, który się modli. Zanim zacznie jeść, rzuca w mrok garstkę mąki.

Chryste Panie, co to za życie? Czy musi składać takie ofiary przed każdym posiłkiem? Jak może sobie wyobrażać, że z tego wynika coś dobrego?

Na pobliskim gładzie ktoś położył głowę kozy. To pewnie resztki z naszego obiadu. W ciemności dostrzegam grubą szarą jęzor zwierzęcia, zwisający pomiędzy zębów. Jej półotwarte oczy wpatrują się we mnie chytrze. Obok niej ktoś umieścił drakunkulusa i kilka białych pogrzebowych orchidei. Kolejna cholerna ofiara.

Nagle czuję, że mam dość.

– Nima! – wrzeszczę. – Chodź tu natychmiast i zabierz stąd to obrzydlistwo!

Zrywa się na równe nogi i pospiesznie rusza wypełnić mój rozkaz. Za jego plecami widzę błysk czyjegoś papierosa i po chwili podchodzi do mnie Cotterell.

– Kłopoty, doktorze Pearce?

– Już nie – odpowiadam kwaśno. Z niepokojem stwierdzam, że serce znów mi łomocze. Ręce mi się trzęsą, gdy zapalam kolejnego papierosa.

Cotterell krzywi się, patrząc, jak Nima zabiera głowę i kwiaty.

– Ofiara złożona górze, jak sądzę – mamrocze. – Biedactwa za wszystko winią tę górę: burze, powodzie, trzęsienia ziemi. Przypuszczam, że w przeszłości składali w ofierze nie tylko kozy. Na pewno wszystko z panem w porządku?

– Tak, na pewno.

Gładzi się po wąsach, a po chwili odchrząkuje.

– McLellan nieco przesadził z żartami przy obiedzie, ale niech pan nie zwraca na niego uwagi. Nie jest orłem i zdaje sobie z tego sprawę. Lecz to oddany oficer i dobry człowiek.

Cotterell się myli, ale ja cieszę się, że w ogóle zmienił temat. Pytam go, dlaczego McLellan przyłączył się do wyprawy.

– To nieodrodny syn swojej plebanii – mówi, nachylając do mnie łwią głowę. – Wychował się w jakiejś parafii w Glasgow, gdzie jego ojciec wciąż jest pastorem. Mówił mi, że czyta Biblię każdego wieczoru. Wygląda na to, że wspinając się, zbliża się

do, no... Boga.

– Aha. A pan, sir? Chce pan pokonać fryców i tak dalej?

– Cóż, ktoś ich musi zatrzymać! – odpowiada, tłumiąc śmiech.

– Szukają rewanżu, bo przegrali wojnę. Ale my nie możemy im na to pozwolić, bo w przeciwnym razie po co w ogóle walczyliśmy? Najpierw był Eiger. A teraz ta góra. Podchodzili do niej już trzy razy, więc uważają, że do nich należy!

– Tak jak my z Everestem?

– *Touché*, doktorze Pearce! A pan? Kits mówił mi, że sporo się pan wspinał.

– Wychowywała nas ciotka, która miała słabość do bohaterów skazanych na porażkę. Whymper i Matterhorn, tego typu rzeczy. Sama była dość dobrym wspinaczem, więc każde wakacje spędzaliśmy w Alpach.

– A jednak tylko Kits to po niej przejął.

– Bo ja musiałem pracować na swoje utrzymanie, sir.

– Ach tak, oczywiście. Tak więc, w pewnym sensie, Kits wspinał się za was obu?

Mam ochotę odpowiedzieć, że nie. Kits wspina się dla samego siebie, bo jest najstarszy, więc odziedziczył majątek, a w dodatku bogato się ożenił.

– Wie pan, czytałem o Himalajach przez całe życie – mówi Cotterell. – W okopach miałem egzemplarz Freshfielda. – Przerywa i drapie się po głowie. – Gdy Lyell wyruszył, miałem piętnaście lat. Na ścianie w moim pokoju wisiała mapa. Zaznaczałem na niej szpilkami jego aktualną lokalizację.

– Ja robiłem to samo z kapitanem Scottem.

– No tak, pan był za młody na Lyella.

– Nie miałem nawet pięciu lat – mówię z uśmiechem.

Palimy dalej w milczeniu.

Lubię Cotterella. Robi na mnie wrażenie romantyka, co jest dość dziwne, biorąc pod uwagę jego doświadczenia z okopów.

Wygląda na to, że tamte przeżycia nie zostawiły w nim żadnych śladów. Wyobrażam sobie, że niespecjalnie różni się dziś od tamtego chłopca, który śledził na mapie postępy swojego bohatera.

– Kits powiedział mi, że stracił pan swoje książki – mówi. – Mam Freshfielda, Smythe'a, oczywiście Lyella. Chętnie panu którąś pożyczę, gdyby tylko miał pan ochotę.

Sam jestem zaskoczony stanowczością swojej odpowiedzi. Sam ten pomysł przyprawia mnie o fizyczne obrzydzenie.

– To bardzo uprzejme z pana strony, sir – mówię, usiłując zapanować nad głosem – ale nie uważam tego za zbyt rozsądne. Właściwie, proszę mi wybaczyć, myślę, że to bardzo niezdrowe. Powinniśmy skupić się na zadaniu, które przed nami stoi. Nie możemy pozwolić, by rozpraszały nas katastrofy sprzed lat. W szczególności ta Lyella.

Zaciąga się papierosem, a po chwili kiwa głową.

– Rozsądnie. Bardzo rozsądnie. Dziękuję, doktorze Pearce. To samo powiem pozostałym.

Żegna się ze mną i wraca do środka.

Wkrótce idę w jego ślady. Dokładnie przeszukuję śpiwór z pomocą elektrycznej latarki. Nie ma śladu skorpionów, wślizguję się więc do środka.

Jestem wyczerpany, ale nie mogę usnąć. Dżungla, taniec diabłów, głowa kozy na skale... I Lyell. Nie mogę znieść myśli, że będziemy szli śladem zmarłych. Nie mogę znieść tego, że zaraziłem się nieracjonalnym strachem Charlesa Tennanta.

Dobrze, że rozmawiałem z Cotterellem. Dobrze, że już nie będziemy wracali do Lyella.

5.



SIEDEM DNI w drodze i pogoda zaczyna działać mi na nerwy. Gdzieś za gęstym powietrzem wyczuwam góry, ale nadal ich nie widzę.

Jesteśmy jednak zdani na ich łaskę. Jak dotąd zsyłały na nas deszcz, śnieg, deszcz ze śniegiem i grad, czasem wszystko w ciągu godziny. Zmiany pojawiają się bez ostrzeżenia. Człowiek nie ma pewności, czy go zmysły nie mylą. Nerwy mam od tego napięte do granic wytrzymałości.

Teraz wisi zamarzająca mgła. Dwóch Szerpów poszło przodem, by oznaczyć szlak kopczykami. Nazywają je „kamiennymi ludźmi”. Nikomu z nas nie podoba się widok kamiennych kopczyków mających we mgle. Może dlatego kulisi znowu narzekają, że nie chcą iść śladem Lyella. Całe wieki zajęło, nim udało się ich uspokoić.

Kuce zostawiliśmy w ostatniej wiosce. Maszerując mozolnie w górę, wyszliśmy z dżungli i zaczęliśmy wyrąbywać sobie drogę przez splątaną gęstwinę karłowatych rododendronów, aż wydostaliśmy się na ponurą kamienistą wyżynę. Nie mogę

pozbyć się poczucia nierealności. Baśniowe lasy zostały daleko za nami, a my znaleźliśmy się w dziwnym świecie zaludnionym przez niespotykane gdzie indziej istoty: pantery śnieżne, nahury górskie i wymyślone przez kulisów duchy.

Dla nich w tej głuszy żyje prawdziwy tłum. Każda skała i każdy strumień mają swojego demona. Nie zgadzają się na palenie śmieci ze strachu przed duchami ognia i bardzo rzadko wychodzą gdzieś po zmroku.

Nawet dla nas, ludzi białych, ten bezkres jest trudny do zniesienia. Jak mrówki szukamy swojej drogi wokół gigantycznych kamieni i ponad grzmącymi strumieniami, których huk niesie się po bezludnych dolinach. Wszyscy czujemy, jak bardzo jesteśmy nieistotni. Staramy się trzymać to uczucie na dystans, oddając się codziennej rutynie.

Nima budzi mnie o piątej z herbatą, podczas gdy kulisi krzątają się wokół jak zjawy, zwijając obóz. Maszerujemy przez dwie godziny, potem zatrzymujemy się na śniadanie: bekon, jaja i czapati, tutejszy chleb pieczony bez drożdży, przepyszny z masłem i marmoladą z Oksfordu.

Kondukt tragarzy kroczy za nami jak za średniowiecznym królem. My, sahibowie, niesiemy tylko to, co nam potrzebne danego dnia (choć mój plecak jest cięższy za sprawą apteczki). Kulisi są jednak zdumiewający. Każdy (lub każda) niesie na plecach drewnianą skrzynkę, drewno na opał albo stożkowaty kosz nazywany *doko*. Każdy waży ponad trzydzieści pięć kilogramów. Dźwigają je na paskach przeciągniętych przez czoło. Ściągna na szyjach mają naprężone jak liny. Bóg jeden wie, jak znoszą to ich kręgi szyjne.

Na lunch jemy biszkopty Plasmon, pasztet z puszki i miętowe ciasteczka Kendal. Potem maszerujemy aż do czwartej, kiedy to kulisi rozbijają obóz. Cotterell i McLellan sprawdzają zapasy, podczas gdy Garrard jest zajęty swoimi aparatami

fotograficznymi, a Kits bronią. Wczoraj dla sportu zastrzelił pandkę rudą, ale najczęściej poluje na koziorożce i dzikie kozy.

Męczy mnie przybywanie cały czas z innymi ludźmi, często więc chodzę na spacer z psem. Mój kuc nastąpił mu na łapę w poprzedniej wiosce, a gdy zeskoczyłem z siodła, by się upewnić, że nie złamał mu nogi, pies przesadnie wziął sobie do serca moją troskę i zaczął za mną iść. Jest absurdalnie kudłaty, wygląda jak skrzyżowanie owczarka collie i owcy. Przynosi mi wszystko, co mu rzucę, z wyjątkiem patyka. Nazwałem go Cedric, bo w charakterystyczny sposób zadziera głowę, czym przypomina męża mojej kuzynki.

Obiad jemy o siódmej, siedząc na skrzynkach w namiocie-jadalni. Mięso w puszkach oszczędzamy na wspinaczkę, więc albo zarzynamy jedną z owiec, które prowadzimy, albo jemy to, co udało się ustrzelić Kitsowi. Wszystko i tak smakuje jak węgiel albo papierosy naszego kucharza, cuchnące jak odchody jaka.

Moim zadaniem jest dbanie o dobre trawienie. Nalegam, aby nasze czapati robiono z angielskiej mąki, bo ta miejscowa jest pełna żwiru. Ordynuję wszystkim tabletki na wątrobę jako źródło żelaza i duszony dziki rabarbar dla witaminy C. Wczoraj pojawiły się zaparcia. Rozdawałem tabletki Livingstone'a, jakby to były cukierki.

Noce są zbyt zimne, by się rozebrać. Mycie się ograniczyliśmy do tego, co Garrard ślicznie określa mianem „toalety francuskiej kurwy”: tylko w kroczu i pod pachami. O ósmej już jesteśmy w namiotach i śpimy jak zabici.

W każdym razie pozostali śpią. Ja pół we śnie, pół na jawie nadal prowadzę swoje spory z Clare. Czyste poczucie winy. Biedna dziewczyna nie kochała mnie, ale nie zasłużyła na porzucenie.

Złe sny też nie odpuszczają, chociaż szklana kula ustąpiła

teraz miejsca Charlesowi Tennantowi i jego diabelskiej masce. Za dnia też wkrada się w moje myśli. Nie potrafię zapomnieć przerażenia w jego oczach.

Przekłete koszmary. Myślę, że nie obudziłem nikogo, chociaż raz czy dwa słyszałem, jak w innym namiocie ktoś krzyczy przez sen. Myślę, że to Cotterell. Może przeżycia w okopach dotknęły go mocniej, niż myślałem.

A może, tak jak w moim przypadku, chodzi o tę krainę. O tę nierzeczywistość.



NADAL nie mam pojęcia, dlaczego to się stało.

Wczoraj obozowaliśmy na wysokości czterech tysięcy metrów na wielkiej równinie Dzungri, gdzie McLellan rozliczył się z większością nizinnych kulisów i na ich miejsce zatrudnił poganiaczy jaków.

Cieszyłem się, gdy opuszczaliśmy Dzungri. Mówi się, że ta okolica jest szczególnie często nawiedzana przez duchy. Nie miałem ochoty dłużej przebywać w cieniu kamiennych stup, które zdawały się na nas gapić z każdego wzgórza.

Do jaków przyzwyczałem się natychmiast. Są jak małe, niewiarygodnie włochate byki z ekstrawaganckimi rogami i powiewającymi ogonami, przypominającymi końskie. Zawsze wiadomo, gdzie się znajdują z powodu monotonnego pobrzękiwania ich dzwoneczków. Są równie łagodne jak woły. No, chyba że akurat nie są.

W połowie stromego zbocza jeden z nich wpadł w panikę. Widziałem, jak do tego doszło. Zwierzę dostrzegło coś wyżej na zboczu i zwyczajnie oszalało, wierzgając i przewracając białą obwiedzionymi oczami. Zanim kulisi zdążyli cokolwiek zrobić,

jak zeskokczył ze ścieżki i runął w dół zbocza, gdzie leżał, drgając i stękając, aż jeden z poganiaczy zszedł i poderżnął mu gardło swoim *kukri*.

Skrzynie, które niósł, rozbiły się w drzazgi.

– Chryste, kurwa, ja pierdołę! – wybuchnął Garrard. – Tam jest radiostacja i kamera! Kurwa!

– Dosyc – rzucił Cotterell, który nie znosi wulgarnego języka jak stara panna. – Na szczycie i tak nie urządzalibyśmy przyjęcia. Mogło być gorzej.

Nie dla poganiacza jaka, dla niego nie mogło być gorzej. Poganiacze są tak biedni, że nie mają nawet własnego śpiwora. Śpią zawinięci w koc siodłowy swojego zwierzęcia. Wsunąłem mężczyźnie dwadzieścia rupii – to mniej więcej jego trzytygodniowe zarobki – a on ukłonił się, zaciskając pieniądze w dłoniach. Jego respekt mnie zawstydził.

Jaka zarżnięto tam, gdzie leżał, i wkrótce zostały tylko kości i trochę sinych flaków, których nie jedzą nawet kulisi. Na skałach wokół pozostała wielka, rozbryźnięta, szkarłatna plama.

Kruki zjawiły się nie wiadomo skąd, ich krakanie brzmiało jak zły omen. Musiałem przytrzymać Cedrica, żeby ich nie ścigał.

Nima powiedział mi, że w nepali nazywają się *gorak*.

– Będzie ich więcej, gdy dojdziemy wyżej, doktor sahib.

Nie potrafię stwierdzić, czy jego zdaniem to źle, czy dobrze.

Zastanawiam się, co spłoszyło tego jaka. Na zboczu niczego nie było. Wiem, bo gdy zwierzę wpadło w panikę, akurat patrzyłem w tamtą stronę. Czego się więc przestraszyło? To wszystko stało się tak szybko. Jak żył, a chwilę później był już martwy. To ostrzeżenie: jesteśmy w niebezpiecznej krainie.

Ale to niebezpieczeństwo fizyczne. Takich się nie boję.



NIE MOGĘ się przyzwyczać do ciasnoty w moim namiocie.

Nie lubię tej chwili, gdy światło latarki dźga ciemność, a ja wciskam się do śpiwora, by po chwili usłyszeć nieprzyjemne szelesty i oddechy. Nie cierpię uczucia uwięzienia, kiedy zaciągam sznurki śpiwora wokół twarzy. Zawsze ostatecznie wystawiam głowę i zakładam kominiarkę.

Dziś wieczorem namiot śmierdzi. Moją torbę ze sprzętem niósł tamten jak i mimo wysiłków Nimy nadal ocieka krwią, chociaż ta na szczęście nie przesiąkła do środka.

Być może to właśnie dlatego śpię jeszcze gorzej niż zazwyczaj. W moje sny wdzierają się przyciszone głosy i ledwie słyszalne kroki. Przez cały czas wyobrażam sobie, że ktoś tu jest: stoi w ciszy, niepokojąco blisko. Oczywiście to dlatego że na pół śpię, na pół czuwam, jednak to dziwnie nieprzyjemne. Tego właśnie najbardziej nie lubię w namiotach: nie widzisz, co się zbliża.

Już zasypiam, kiedy nagle na równe nogi zrywają mnie odgłosy tętniących kopyt i dzwoniących dzwonków na szyi jaka.

Walcząc ze snem, nasłuchuję stłumionych krzyków i dudnienia bosych stóp kulisów. Z odgłosów wnoszę, że jedno ze zwierząt biega w amoku po obozowisku. Cóż, jestem zbyt senny, by się wtrącać. Poza tym jestem bezpieczny w moim namiocie.

A może wcale nie? Jeśli jak wlezie na linki naciągów, zostanie zmiażdżony.

Z trudem wydostaję się ze śpiwora, ale zwierzę już gdzieś odeszło. W sąsiednim namiocie Garrard mamrocze coś przez sen. Potem zapada cisza.

Kiedy po raz kolejny odzyskuję przytomność, wciąż jest

ciemno, a obok mojej głowy coś się porusza. Namiot wybrzusza się do środka, zimne, zatechłe płótno dotyka mojej twarzy. Jęcząc, rzucam się do walki i młócę pięściami. Po chwili się budzę – to tylko pies. Nie mógł dostać się do środka, więc wkopał się pod brezent.

– Odpieprz się, Cedric – mruczę, kiedy rytm mojego serca wraca do normy. Pies podnosi się z trudem i ponownie upada u mych stóp.

Lubię gorzką woń palonego rododendrona, lubię słuchać trzaskającego ogniska i szeptów kulisów. Mógłbym pospać jeszcze godzinę, ale i tak wstaję. Dość już mam namiotów.

Dopada mnie to nad ranem, pewnie przez wysokość. Jesteśmy ponad cztery tysiące dwieście metrów nad poziomem morza. Wkrótce wespniemy się na Kang La wśród szczytów Singalili. Później zejdziemy do Nepalu i wejdziemy na lodowiec.

Tam będę lepiej spał.



NA SZLAKU leżą mleczne zwały lodu, a gdy wspinamy się na ostatnie podejście przed przełęczą Kang La, pada miękki śnieg. Przełęcz jest na wysokości ponad czterech tysięcy ośmiuset metrów, czyli niemal tyle, co szczyt Mont Blanc. Trzymam się dość dobrze, chociaż trochę brakuje mi tchu. Cedric, wlokący się obok, też nieźle sobie radzi. Martwią mnie tylko kulisi, bo większość z nich nadal idzie boso.

Moi drodzy sahibowie też nie dokonują zachwycających wyczynów. Cotterell potwornie dyszy, Garrard narzeka na ból głowy, a Kits pędzi przodem, aby ukryć, że brakuje mu tchu. Doganiam go i pytam, czy wszystko u niego w porządku.

– Lepiej niż kiedykolwiek – odpowiada, ale cuchnie mu z ust,

więc podejrzewam, że wymiotował za skałami.

Nie chcę go zmuszać do dalszego wysiłku, więc zostaję z tyłu.

– Pora zrobić przerwę i rozdać buty – mówię do McLellana.

– Dopiero w Nepalu – dyszy.

Patrzę na niego z niedowierzaniem. Tyle są warte jego chrześcijańskie wartości.

– Daj spokój, człowieku. Pada śnieg. Ci ludzie potrzebują...

– Chryste Panie, zostaw to mnie!

Zamienił topi na uszankę z owczej wełny, przez co wygląda jak szalony pilot. Pękło mu naczynko w oku, zalewając gałkę jasnym szkarłatem.

– Boli cię głowa? – pytam ostro. – Masz mdłości?

– To, że się z tobą nie zgadzam, nie znaczy, że jestem chory!

Odwracam się na pięcie i ruszam, by znaleźć Cotterella.

– Proszę zarządzić odpoczynek, majorze. Kulisi potrzebują butów.

– Nie przed przełęczą – dyszy. – Czy to nie może...

– Nie, obawiam się, że, do jasnej cholery, nie może!

McLellan idzie chwiejnym krokiem w naszą stronę, a jego piegowata twarz jest fioletowa z wściekłości.

– Jak śmiesz za moimi plecami!

– Wystarczy – mówi Cotterell. Bez dalszej dyskusji zarządza odpoczynek pod dużym nawisem skalnym i nakazuje, by Szkot wydał buty.

Kulisi są mu w żałosny sposób wdzięczni. Przymusowy odpoczynek sprawił, że McLellanowi nieco poprawia się humor. Przybiera potulny wyraz twarzy. To dobrze, bo będzie mi teraz potrzebny jako tłumacz.

– Sahibowie też powinni tego posłuchać – mówię ostro. Kiedy wszyscy zbierają się pod nawisem, a włochata ściana jaków oddziela nas od żywiołów, proszę ich o uwagę. – Choroba wysokościowa – mówię głośno, robiąc przerwy, żeby McLellan

mógł przetłumaczyć – atakuje przypadkowo. Starych, młodych, sprawnych, bez różnicy. Brakuje ci tchu. Boli cię głowa. Wymiotujesz. Nie możesz spać. Masz koszmary. Ogarnia cię wściekłość. – Łapię wzrokiem spojrzenie McLellana, a ten się czerwieni. – Mogę wam pomóc, ale jeśli sprawy będą się pogarszały, to jedynym lekarstwem jest zejść kilka tysięcy metrów w dół. Jeśli będziecie szli w górę, umrzecie. – Robię przerwę, pozwalając, aby to do nich dotarło. – Jeśli więc czujecie się chorzy, powiedzcie mi! Nie staniecie się od tego mniej mężczy... ani mniej kobiety – dodaję z wahaniem, łapiąc skrzywione spojrzenie pięknej kobiety z ludu Szerpów. – Zrozumiano?

Odpowiada mi ogólny pomruk i szelest stóp.

– Doskonale. Koniec wykładu.



TO POMOGŁO oczyścić atmosferę. Ja też czuję się lepiej. Całe to głędzenie o „niewidzialnych duchach” i „złowieszczych ptakach”... Zaczynałem się bać własnego namiotu! Pozwoliłem, żeby ten kraj wpłynął na moje nerwy. Więcej się to nie powtórzy.

Dałem Garrardowi i McLellanowi fenacetynę na ból głowy, Kitsowi bromek na nudności i ruszyliśmy dalej, aż wreszcie znaleźliśmy się na cholernej Kang La. Widok stamtąd słynie z bycia zachwycającym (oczywiście), ale my ujrzelśmy jedynie wirujący wokół śnieg.

Jaka to ulga schodzić. Po kilkuset metrach robi się cieplej, śnieg występuje już tylko na spłachciach, a gdzieś tam pojawiają się niebieskie gencjany. Cotterell właśnie zarządził postój na płaskim kawałku otoczonym karłowatymi brzożami.

Jestem tak zmęczony, że musi minąć chwila, nim dostrzegam, że wiatr się wzmacnia, a kulisi gorączkowo rozstawiają obóz. Na niebie pojawiają się złowieszcze, butelkowozielone i czarne chmury nadciągające z północy. Kanczendzonga wysyła do nas burzę, jakby chciała przypomnieć nam o swojej obecności.

Nie ma czasu na obiad, słyszę odgłos grzmotu ścigający nas wzdłuż szczytów. My, sahibowie, chwytamy kubki z herbatą, kawałki ciasta z owocami i znikamy w namiotach.

Nagle wiatr zaczyna wyć, a śnieg bębnić o namiot, który podskakuje teraz jak zwierzę. Nie, to nie jest śnieg, to grad. Przez maleńkie celuloidowe okienko w przedniej klapie w błękitnym rozbłysku pioruna dostrzegam, jak brzoza łamie się niczym źdźbło trawy. Jestem zawinięty w śpiwór, zaciskam dłonie na kubku, a Cedric próbuje zakopać się pod moje nogi. Pioruny lśnią, grzmoty wstrząsają ziemią, ale ja się nie boję, ja jestem podniecony. Nie mam powodu, aby się bać. Nic przecież nie mogę zrobić. Jeśli trafi mnie piorun, umrę w mgnieniu oka.

– Hej, Stephen! – woła Kits z sąsiedniego namiotu. – Może zechcesz jednak odstawić ten kubek!

O Boże, kubek jest blaszany. Kits musiał zobaczyć moją sylwetkę w blasku pioruna. Ryczy ze śmiechu i ja robię to samo, kiedy wyrzucam naczynie. Po chwili zdaję sobie sprawę, jakie to nielogiczne wyrzucać blaszany kubek, podczas gdy siedzę w namiocie z metalowym stelażem. Zaczynam śmiać się jeszcze głośniejsze. Kulisi, ściśnięci w swoich namiotach, też się śmieją. Bawi ich ta burza tak samo jak nas. A ja jestem zachwycony również tym, że cholerny Lyell nie napotkał ani jednej burzy na swojej drodze, że miał cały czas „wspaniałą pogodę”, a więc ta nawałnica należy wyłącznie do nas.

Burza nadal szaleje. Musiałem przysnąć, bo Nima budzi mnie teraz z herbatą i czapati z gorącym masłem.

Nadal jest ciemno. Taśmy przy klapach mojego namiotu

zamarzły. Nie przypominam sobie tego, ale jak widać, zabezpieczyłem je węzłem złodziejskim, więc teraz wystarczy jedno właściwe pociągnięcie, by rozwiązać.

Wciągam sztywne zimne buty i wyczołguję się na zewnątrz w obłokach zamarzającego oddechu.

Cały obóz pokrywa lśniący płaszcz śniegu. Niebo jest czyste i pełne gwiazd, które błyszczą tak jasno, że nie potrzebuję latarki.

Niebo jest czyste! Wreszcie widzę granatowe sylwetki gór wszędzie dookoła. Żałuję, że nie wiem, która z nich to Kanczendzonga.

Burza ukoїła moje nerwy skuteczniej niż cokolwiek innego. Czuję się lepiej niż kiedykolwiek w ciągu kilku ostatnich miesięcy. I po raz pierwszy, odkąd opuściłem Anglię, w ogóle nic mi się nie śniło.

6.



KULISI od czasu Kang La ciągle przysparzają problemów.

Pytałem już Nimę, w czym rzecz, ale on za każdym razem udziela innej odpowiedzi. Nie chcą iść śladem Lyella albo kończy im się tsampa („A nie możemy przecież jeść waszego jedzenia, doktor sahib”), albo po prostu „To nie jest dobra droga”. Ale dlaczego? Nie mogę pozbyć się wrażenia, że jest coś, o czym mi nie mówi.

Jutro poganiacze jaków wracają do swojej wioski i pięciu z naszych Szerpów chce iść z nimi. Cotterell i McLellan robią wszystko, co mogą, by ich od tego odwieść. Ja trzymam się z boku. Tylko skomplikowałbym sprawy albo pokłócił się z McLellanem.

Rozbiliśmy obóz kawałek na zachód od lodowca i chociaż go nie widzimy z powodu wysokiego rzędu moren przy brzegu, to jednak czujemy lodowaty wiatr, który do nas wysyła i od którego trzęsą się nasze namioty. Przez ten hałas całą noc nie zmrużyliśmy oka. Pięćdziesiąt metrów stąd, przy brzegu lodowca, widać kamienny kopiec znaczący drogę przez lód.

Przelatujący nieopodal górak jest zaledwie kilka kilometrów od południowo-zachodniej ściany Kanczendzongi.

Jej również nie widzimy. Zastaniają ją okoliczne szczyty. Tego ranka niebo jest czyste po raz pierwszy od czasu wyruszenia z Dardżyling. Widzieliśmy więc je po przebudzeniu wyraźnie tuż przed sobą: górujący strażnicy strzegący dojścia do naszej góry.

Cotterell miał łzy w oczach; marzenie o Himalajach pozwoliło mu wytrwać w okopach. McLellan uchylił topi i stał, gapiąc się, mamrocząc coś bezgłośnie pod nosem. Nie ma wątpliwości, że gdyby był tu sam, padłby na kolana i zaczął się modlić. Co do Garrarda, Kitsa i mnie – zataczaliśmy się jak pijani. Garrard się śmiał, a Kits wykrzykiwał nazwy szczytów:

– Jannu! Bokroh! Patrz, Dziobie, tam jest Kabru i Rathong... I, dobry Boże, jeszcze Koktang!

– Mój Boże, mój Boże! – szeptałem.

W którąkolwiek stronę się obracałem, miałem przed sobą przyprawiające o zawrót głowy masywy żłobione lodem. Oslepiająca biel na tle nieba w kolorze indygo. Cóż za bezkres. To było przytłaczające. Nie mogłem tego znieść. Strach pomyśleć, że każdy z tych szczytów jest o tysiące metrów niższy od naszej góry.

Aż do dziś wszystkie trzymały się w ukryciu. Po burzy na Kang La przez kilka dni towarzyszyły nam deszcz i mgła. Schodziliśmy przez lasy sosnowe spowite chmurami w stronę rzeki Yalung. Lśniła przed nami cicha i ciemna, a płatanina martwych drzew na jej brzegach dawała ponury przedsmak tego, czym staje się w porze monsunowej. Czyli ledwie za kilka tygodni.

Most był zawalony, więc młody Pasang ruszył na drugi brzeg z liną, a my poszliśmy za nim przez lodowatą wodę, zaciskając kurczowo linę, od której zależało nasze życie. Jaki flegmatycznie przebrnęły na drugą stronę, a Nima przeniósł

Cedrica w *doko*, podczas gdy Cotterell, cierpiący na reumatyzm, przejechał na drugą stronę na plecach swojego służącego: mierzący ponad metr osiemdziesiąt Anglik na grzbiecie niskiego, idącego chwiejnym krokiem Szerpy.

Wczoraj minęliśmy zrujnowany klasztor, ostatni ślad cywilizacji na naszej trasie. Od dziesięcioleci stał opuszczony, ale miało się wrażenie, jakby mnisi porzucili go ledwie przed chwilą. Wydawało się, że omszałe rzeźby wciąż szepczą stare modlitwy kierowane do góry: „Prosimy, chroń nasze zbiory przed zarazą; prosimy, chroń naszą wioskę przed powodzią...”. To właśnie sprawia, że kulisi są przerażeni: coraz bardziej zbliżamy się do Kanczendzongi.

Pozostali nadal się z nimi kłóć, więc postanawiam odejść na bok w stronę moren. Nie mogę się oprzeć zewowi lodowca. Po prostu muszę się wspiąć i rzucić okiem.

Idę w stronę wskazującego drogę kopca przez nierówno rozrzucony śnieg, spod którego gdzieniegdzie prześwituje trawa. To ostatnia trawa, jaką dane nam będzie oglądać przez wiele tygodni. Cedric pędzi za mną, od czasu do czasu przypuszczając beznadziejny atak na jakiegoś góraka. Kruki pozwalają mu podbiec na wyciągnięcie pyska, po czym wlatują z pogardliwym krakaniem.

Nie wiem, co zrobię z Cedrikiem. Czuję się za niego odpowiedzialny. Przecież to mój kuc nadepnął na jego łapę. Ale lodowiec to nie jest najlepsze miejsce dla psa.

Po raz pierwszy od wielu dni jest mi gorąco. Czuję, jak słońce opieka moje ramiona przez flanelową koszulę, czuję je też na głowie pomimo płóciennej czapki z daszkiem. Kazałem wszystkim posmarować twarze kremem Penaten, ale jak głupi zostawiłem okulary lodowcowe w namiocie i teraz łzawią mi oczy. Co więcej, nie dotarłem jeszcze nawet do kopczyka, a już zaczynam się pocić. Czy to przez tę wysokość? Ostatecznie od

przekroczenia rzeki cały czas się wspinamy. Jesteśmy już na wysokości czterech i pół tysiąca metrów.

Kanczendzonga ma nieco ponad osiem i pół tysiąca. Gdy o tym myślę, przeszywa mnie głęboki dreszcz: pół ekscytacji, pół przerażenia.

Wiatr niemal całkiem ucichł i docierają do mnie teraz głosy z obozu.

– Tak, mamy zimowy ekwipunek dla wszystkich.

– Ale mówiłem wam, że tsampy jest więcej, niż potrzeba!

Odwracam się do nich plecami i znów stoję samotny wobec szczytów. Jest w nich jakaś dzikość i brutalność, jakiej nigdy nie czułem w Alpach. Są tak niesamowicie dalekie.

To pewnie dlatego że przyszedłem tu z nowoczesnego świata telegrafów, samolotów, poczty docierającej kilka razy dziennie. Trudno mi sobie teraz uświadomić, że gdybym chciał wysłać wiadomość, musiałbym posłać gońca i nie mógłbym liczyć na odpowiedź szybciej niż za miesiąc.

A chociaż to miejsce uderza mnie jako nieziemskie, to w istocie jest odwrotnie, jest do głębi ziemskie. Niepokoi mnie tylko to, że nie ma tu żadnych śladów obecności ludzi. W Alpach zdarzało mi się czuć izolację, ale zawsze wiedziałem, że ludzkie siedziby znajdują się w odległości kilku godzin drogi. Tutaj jest tak, jakbyśmy byli na Księżycu.

Wczoraj próbowałem rozmawiać o tym z pozostałymi.

– Od teraz jesteśmy już tylko my i góra.

Kits otworzył szeroko oczy, a Garrard się zaśmiał.

– Nie licząc kruków, sępów i tych dziwnych dzikich owiec.

– Tak, ale wiecie, o co mi chodzi. Nie ma tu nic ludzkiego.

Morena to zbocze usypane z szarych kamieni, wysokie na trzydzieści metrów, nawiedzane przez gołębie biało brzuche. Gdy pod nią podchodzę, zrywają się do lotu, wszystkie razem robią zwrot w powietrzu, po czym siadają kilka metrów wyżej.

Kopczyk jest większy, niż się zdawało z obozu. Musi mieć ze trzy metry wysokości. U jego stóp kulisi zostawili nieuniknione ofiary w postaci kadzidła i talerzyków z masłem *ghee*. Dawno temu ktoś zatknął z boku bambusową tyczkę z przywiązany rzędem modlitewnych chorągiewek.

Kopczyki zawsze przypominają mi o przyjaciółce ciotki Ruth, nieustraszonej alpinistce z lat 90. XIX wieku, która kiedyś na jednym z niższych himalajskich szczytów rozwinęła transparent, żądając praw wyborczych dla kobiet, a potem umieściła wizytówkę w słoiku po dżemie i kazała swoim kulisom zbudować wokół niego kopiec. Jakież to wiktoriańskie, zostawić swoją wizytówkę na szczycie góry!

Wiatr teraz nie wieje, więc modlitewne chorągiewki zwisają nieruchomo.

Inna sprawa z kopczykami: zawsze czuję barbarzyńskie pragnienie, by je zburzyć i zobaczyć, co jest pod spodem. Teraz bezmyślnie wydaję jeden kamień ze spodu. Jest pokryty porostami, które kruszą się na czarny pył pod moimi palcami. Odkładam go na miejsce, czując, jakbym dopuścił się świętokradztwa.

Na kopcu ląduje z łoskotem górak, sprawiając, że zrywam się na równe nogi. Ptak wpatruje się w mnie rozumnym spojrzeniem. Odganiem go i już chcę zarzucić Cedrikowi, że nie wykonuje swojej roboty, ale psa przy mnie nie ma, musiał wrócić do obozu.

Górak odleciał, tak jak biało brzuche gołębie, zostawiając mnie samego przy kopcu. Bezwiednie idę na jego drugą stronę.

Tego nie przewidziałem. Co za niemiła niespodzianka. Na wysokości oczu znajduje się przymocowana drutem tabliczka z poobijanego aluminium. Kiedyś musiała być talerzem w typie tych, jakich używa się na biwakach. Ktoś, z pomocą pordzewiałych gwoździ, wydrapał na niej napis: *Dr Francis A.*

Yates, 33, zm. 20 V 1906.

Robię szybki krok w tył, wycierając dłoń o udo. Aż do tej chwili Lyell i jego towarzysze – z wyjątkiem starego Tennanta – nie byli dla mnie realni. Nigdy się nie zastanawiałem, gdzie mogą być pochowani. A teraz, tuż przede mną, pod tą kupą kamieni, której już więcej nie dotknę, leżą szczątki jednego z nich. Człowieka, który był niemal w tym samym wieku co ja teraz, kiedy góra go zabiła.

Z całej ich tragedii pamiętam tylko suchy szkielet (*nomen omen*). Byli kilkaset metrów od szczytu, kiedy śnieżycą zmusiła ich do porzucenia planów. Przez wiele dni byli uwięzieni w zasypanym śniegiem wyższym obozie, a kiedy pogoda się poprawiła i zaczęli schodzić, zeszła lawina. Lyell i Tennant stawili czoła wszelkim możliwym niebezpieczeństwom, by wydobyć zmarłych i rannych – dlatego uważa się ich za bohaterów – jednak wszyscy, którzy doznali obrażeń, wkrótce potem zmarli. Biedny doktor Yates musiał być jednym z nich.

Czy zginął tutaj, gdzie obozujemy, czy gdzieś na lodowcu? Jeśli na lodowcu, to być może Lyell wolał przenieść ciało tutaj, zamiast po prostu zagrzebać je w jakiejś lodowej szczelinie. Może chciał, aby jego towarzysz spoczął pod ziemią i trawą, z dala od widoku góry.

Ale cóż to za przerażające i samotne miejsce na grób! Odkąd go pochowali, do tej doliny nie dotarła ani jedna ekspedycja. Jestem pierwszym żywym człowiekiem, który tu stanął od dwudziestu dziewięciu lat.

Ale po namyśle: czy to ma znaczenie? Z pewnością rolą grobu jest usatysfakcjonowanie żywych. Czyż zmarłym nie jest wszystko jedno, gdzie spoczną?

Cokolwiek bym sobie mówił, przeszłość nagle stała się nieprzyjemnie bliska. Ten człowiek był lekarzem, tak jak ja. Przeszedł ten sam szlak z Dardżyling, potem pokonał większą

część drogi na szczyt – a wszystko tylko po to, by skończyć tutaj, na tym odludziu, pod kopcem z kamieni. To mogłem być ja.

Nagle dopada mnie przytłaczające poczucie osamotnienia. Nie samotności, która może być czymś spokojnym. To, co czuję, jest rozdierającą grozą całkowitego porzucenia...

Gwiżdżę głośno, by przywołać Cedrika, ale nie przybiega. Natychmiast żałuję, że gwizdałem. Echo tylko wzmacnia uczucie grozy – które jest oczywiście absurdalne, bo obóz leży ledwie pięćdziesiąt metrów stąd.

Chmury przesłaniają słońce, sprawiając, że światło przybiera niezdrowo szarą barwę. Nie mam już najmniejszej ochoty wspinać się na morenę. Powietrze jest ciężkie i gęste, jakby wrogie. Kiedy zapalam papierosa, słyszę, że ktoś idzie w moją stronę.

– Patrz, co znalazłem – mówię, wydmuchując dym. – Tam jest tabliczka...

Nikogo tu nie ma. Ani żywej duszy w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Z niedowierzaniem obchodzę kopiec. Też nikogo.

Ale przecież ktoś tu był, dobrze słyszałem. Tuż za mną, słyszałem kroki na kamieniach. I wiedziałem, że tam jest. Miałem to niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek uczucie, że nie jestem sam. Nie rozumiem, jak to możliwe, że nikogo tu nie ma.

Raz jeszcze wycieram dłoń o udo, zostawiając na spodniach ciemną smugę. Odchodzę od kopca. Odchrząkuję i wpatruję się w żarzącego się papierosa.

– Stephen! Halo! Stephen!

Widzę Kitsa, który idzie w moją stronę, jest już w połowie drogi na morenę.

To nie mógł być on, jest zbyt daleko.

– Obudź się, Partaczu! Na co się tak gapisz?

Wreszcie udaje mi się odzyskać głos.

– Chodź tutaj – chrypię. – Zobacz to!

Pędzi, wzbijając chmurę kurzu i grzechocząc kamieniami. Oczywiście jest podniecony tą tabliczką, tak jak się spodziewałem: to jego pierwszy namacalny kontakt z jednym z jego bohaterów.

– Yates – mówi z czcią. – Wiedziałem, że jest pochowany gdzieś tutaj, ale nie spodziewałem się...

Podeksytowany krzyczy do Garrarda, żeby tu przyszedł i zrobił zdjęcie, a potem, zachwycony, szuka jakiegoś kamyka, który mógłby zabrać na pamiątkę.

Pierwszy raz w życiu cieszę mnie jego hałaśliwym entuzjazmem. Jest mi też szczerze wstyd za siebie. Wszystkie te ponure myśli na temat doktora Yatesa nie są żadnym usprawiedliwieniem. Wyobrażam sobie, jak bezlitosny byłby Kits, gdyby się dowiedział.

A jednak po chwili namysłu stwierdzam, że to nic dziwnego, że jestem trochę nie w formie. Sama niedostępność tego miejsca... zmusza człowieka do konfrontacji ze swoją znikomością bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Jesteśmy tak daleko od jakiegokolwiek pomocy. Jako lekarz wiem lepiej od pozostałych, jak niewiele mógłbym działać, gdyby ktoś zachorował albo po prostu upadł. Wszystko to uzmysłowiła mi jasno ta bezlitosna kupa kamieni – namacalny znak ludzkiej śmiertelności.

Dziwne byłoby, gdybym nie poczuł się zaniepokojony.



ZANIM zapada ciemność, wracam do kopca i dodaję do niego trzy

kamyczki u podstawy: jeden, by zastąpić pamiątkę Kitsa, a dwa jako dary ode mnie i od niego. Nie powinno się bowiem mijać kopca, nie dodając do niego kamienia. To nie żaden przesąd, to zwykły, od dawna utrwalony zwyczaj przestrzegany przez alpinistów na całym świecie.

Słońce skryło się już za zachodnimi szczytami, temperatura spadła poniżej zera. Wiatr ciska mi pył w oczy, a modlitewne chorągiewki łopoczą jak szalone. Wróciłem tu również po to, by udowodnić sobie, że potrafię: że nie ma tu niczych śladów, że nigdy ich nie było.

Cisza, jeśli nie liczyć świstu wiatru unoszącego pył. Nie mam uczucia, że ktoś za mną stoi. Nie ma żadnych śladów.

Obawiam się, że niewygodna prawda jest taka, że jestem równie dobry w zaprzeczaniu jak wszyscy inni. Wmawiam sobie, że ta wysokość na mnie nie działa, ale oczywiście jest inaczej. Wysokość, skwar, oślepiający blask – wszystko to ma na mnie wpływ.

A echo w tej dolinie brzmi tak strasznie dziwnie.

7.



WIEM, że to kiepski pomysł, by czytać teraz o wypadkach w górach, ale Kits mówi, że przed nami kolejny kopiec, a ja chcę być odporny na te nonsensy.

Co mam na myśli, mówiąc o nonsensach? Nie chodzi o to, że wymyśliłem sobie tamte odgłosy, bo tak nie było. Raczej o to, że gdy brak wiedzy, wkradają się upiory. Jakieś przelotne mignięcie sprawia, że mózg zaczyna tworzyć koszmary – a gdy zapali się światło, tamto mignięcie, a w moim przypadku przesłyszenie, okazuje się zrozumiałe, a umysł może odzyskać spokój.

Tak czy inaczej, pożyczyłem od Cotterella jego kieszonkową historię wypraw w Himalaje. Jest w niej tylko kilka stron na temat Kanczendzongi i właśnie tego mi trzeba: żadnych szczegółów, same suche fakty.

Mój Boże, fakty zresztą są wystarczająco przerażające. Wszystkie góry to mordercy, ale nasza jest o wiele gorsza od przeciętnej. Przez trzydzieści lat, kiedy biali ludzie próbowali ją zdobyć, zamordowała dwudziestu jeden wspinaczy.

Pierwszą próbę podjęła wyprawa pod kierownictwem Szwajcarów w roku 1905. Stracili cztery osoby, chociaż niestety nie było wśród nich nikczemnego Crowleya, który nie wyszedł ze swojego namiotu, by ratować umierających Szerpów. W roku 1929 pewien Amerykanin próbował zdobyć górę w pojedynkę i wszelki śluch o nim zaginął. Nie byłem więc pierwszą osobą przy grobie Yatesa; tamten Jankes musiał tu być sześć lat wcześniej. A potem w roku 1930 Dyhrenfurth i Smythe rozpoczęli swój rozdmuchany popis: atakowali od strony północnej i stracili czterech ludzi. W roku 1931 zespół Bauera również próbował północnej ściany i również stracił czterech ludzi.

Lyell, który wspinał się w 1906, dzierży wątpliwy honor najwyższej śmiertelności za sprawą dziewięciu poległych. Może właśnie dlatego tak mocno wrył się w zbiorową świadomość. A także dlatego że był kilkaset metrów od szczytu, przez co jego historia ma najbardziej dramatyczny zwrot akcji. Co tu kryć, kiedy leżę zawinięty w śpiwór z elektryczną latarką i książeczką Cotterella w ręku, jestem tak samo jak wszyscy przerażająco urzeczony ich historią.

Wspięli się nieco powyżej sześciu tysięcy siedmiuset metrów nad poziomem morza i, jak często zdarza się na takiej wysokości, jeden mały błąd uruchomił katastrofę. Przystanęli właśnie na krótką przerwę, kiedy jeden z nich przypadkowo odkopnął swój plecak jakiś metr poza zasięg ręki. Następnie powiększył swój błąd, próbując samemu odzyskać torbę. Poślizgnął się i runął w przepaść ze skutkiem śmiertelnym. Od tej katastrofy najwyraźniej zaczął ich prześladować pech, bo wkrótce potem śnieżycy zmusiła ich do porzucenia wspinaczki. Musieli wrócić do niższego obozu, gdzie przez trzy dni byli uwięzieni przez śnieg.

Trzy dni na wysokości sześciu tysięcy siedmiuset metrów! A to było w roku 1906, zanim wynaleziono butle tlenowe. Jedyne, co mieli przeciw chorobie wysokościowej, to koniak i ciasteczka z orzeszkami koli.

Kiedy wreszcie pogoda się poprawiła i mogli zacząć schodzenie, uderzyła lawina. Edmund Lyell i Charles Tennant nie doznali uszczerbku. Pozostali zostali przysypani. Lyell zajął honorowe miejsce w dziejach alpinizmu, stanowczo nie zgadzając się na porzucenie towarzyszy. Wraz z Tennantem stawili czoła odmrożeniom, lawinom i buntowi kulisów. Ostatecznie zdołali wyciągnąć dwóch zmarłych i dwóch żywych, chociaż ciężko rannych towarzyszy. Po tym jak pochowali zmarłych u stóp góry, wyruszyli w dalszą drogę wraz z rannymi. Niestety, podczas przejścia przez lodowiec Yalung obaj ranni zmarli.

Zamykam książkę, zapalam papierosa i łyk brandy z mojej butelki. Jesteśmy w domu. To dokładnie ten rodzaj heroicznej porażki, w jakiej my, Brytyjczycy, jesteśmy najlepsi. A jednak mimo całego cynizmu rozumiem, dlaczego Garrard i Kits wielbią Lyella. Wedle wszelkiej miary był to zadziwiający wyczyn.

Niepokojąco łatwo przyszło mi wyobrazić sobie, jak to było. Radość ze znalezienia w śniegu dwóch żywych towarzyszy, stopniowe tracenie nadziei, a wreszcie cios, jakim musiała być śmierć na drodze – najpierw Strattona, a później Yatesa.

Dość tego. Nie wynika z tego dla mnie nic dobrego.

Kits mówi, że kopiec Strattona jest już niedaleko.



CÓŻ, TEGO się nie spodziewałem. Lodowiec jest okropny. Nie ma tu żadnych lśniących lodowych stożków. Wokół tylko rumowisko. Cały cholerny lodowiec Yalung pokryty jest obrzydliwym szarym gruzem, który wygląda jak gigantyczne wysypisko śmieci.

To najwyraźniej typowe dla himalajskich lodowców.

– Wiedziałbyś o tym, gdybyś trochę na ten temat poczytał – przyjaźnie zauważa Kits.

No, nie czytałem, ale dziękuję, że nikt mnie wcześniej nie ostrzegł.

Dwa dni w drodze, a przeszliśmy zaledwie osiem kilometrów. Jak jakiś nienawistny smok, lodowiec ciska pod nasze nogi przeszkody: granie, przepaście, turnie większe niż katedry. Nie pozwala nam nawet rzucić okiem na górę.

Zostaję tam, gdzie jestem najbardziej użyteczny, przy bagażach, z Cedrikiem płaczącym mi się pod nogami. Nie miałem serca odsyłać go wraz z poganiaczami jaków, a on najwyraźniej całkiem nieźle radzi sobie na lodowcu, instynktownie wiedząc, jak omijać szczeliny.

Pozostali sahibowie poszli przodem razem z czwórką Szerpów, wbijając haki i rozciągając liny w trudniejszych miejscach. Drogę oznaczają kopcami. Jeszcze więcej cholernych kopców. Wolałbym, żeby używali flag.

Jak dotąd minęliśmy już całe tuziny lodowych szczelin. Bogu dzięki, McLellan pomyślał o zabranii drabin. Uginają się niepokojąco, gdy przez nie idziemy lub pełzniemy, usiłując zignorować dudniące wiele metrów w dole echo. Jesteśmy oczywiście zabezpieczeni linami, ale wszyscy przyjęli za punkt honoru nie trząść się, a to jest trudne, gdy czekają zwisa na

pętli, a za plecami idzie Nima, niosąc w *doko* Cedrika i mamrocząc modlitwy do *mirgút* – mitycznego Człowieka Śniegu, który czai się w głębinach i wciąga w nie ludzi na zatracenie.

Postanowiłem, że najlepszym sposobem na uporanie się z przesadami Nimy będzie ich tolerowanie. Poza tym jest wart o wiele więcej, niż się zdaje. Myślę, że on i Pasang są spokrewnieni – chociaż patrząc na nich, trudno w to uwierzyć. Młody Pasang jest niezwykle przystojny, ma orle rysy i pięknie ukształtowany nos, który napawałby dumą niejednego arcyksięcia. A jednak ten pomocnik sirdara traktuje starszego mężczyznę z wielkim szacunkiem, tak samo jak pozostali Szerpowie, a ja zaczynam rozumieć dlaczego. Wczoraj szedłem z Nimą, kiedy wspinaliśmy się przez wyjątkowo trudny odcinek. Kiedy tylko zacząłem stawiać stopy tam, gdzie on, wspinaczka stała się o wiele łatwiejsza i znacznie mniej męcząca.

Będę przeszczęśliwy, gdy zostawimy już za sobą ten lodowiec. W nocy temperatura spada do minus dwudziestu, ale za dnia jest tu jak w piekarniku. W ciągu pół godziny przechodzi się od odmrożeń do poparzeń słonecznych.

Robi się ze mnie stara zrzęda. No cóż, muszę trochę zrzędzić, taka moja praca. Przypominam wszystkim, żeby pili, nawet jeśli nie odczuwają pragnienia. Aby uniknąć wychłodzenia, każę im nosić w plecaku zapasową koszulę i zmieniać ją, gdy tylko się zatrzymujemy. Upieram się też przy noszeniu kapeluszy, okularów lodowcowych i stosowaniu kremu ochronnego, szczególnie w wypadku McLellana z tymi jego piegami oraz Garrarda z jego rzednącymi jasnymi włosami i gigantycznym nosem (z którego oczywiście już schodzi skóra). Z białymi twarzami i pustymi ciemnymi oczami my, sahibowie, przypominamy upiory z tamtego diabelskiego tańca – tyle tylko że mamy brody.

Jak dotąd najgorsze jest jednak to, że nie ma wiatru, przez co powietrze jest ciężkie i dziwnie martwe. Czytałem o apatii lodowcowej, zjawisku obserwowanym wyłącznie w Himalajach, nie sądziłem jednak, że może być aż tak nieprzyjemna. Łupie mi w głowie i przez cały czas jestem zmęczony.

Każdego popołudnia rozbijamy obóz w cieniu strażniczych gór, u których stóp rozciągają się wielkie, ciche, bezludne doliny. Od czasu do czasu słyszemy odległy huk, kiedy lawina schodzi ze szczytów. Dlatego staramy się trzymać gdzieś pośrodku między górami.

Noce są hałaśliwe. Jeśli nawet nie schodzi lawina, lód wokół nas trzeszczy i jęczy, jakby coś walczyło, aby się spod niego wydostać. Pewnie by mnie to niepokoiło, gdybym nie był aż tak wyczerpany.

Wściekam się, że czuję to, czego inni nie czują, i robię teraz dokładnie to, przed czym ich przestrzegałem: udaję, że wszystko ze mną dobrze. Rozdaję aspirynę kulisom, których boli głowa. Chlorek amonu daję Garrardowi i McLellanowi, których dopadła lekka apatia, a bromek przepisuję Cotterellowi, z którym jest nieco gorzej. Oczywiście pieprzony Kits ma się „wprost kapitalnie” (zły nastrój to kolejny symptom, a ja naprawdę powinienem przestać przeklinać, ale to mi pomaga, więc raczej nie przestanę).

Jedyną dobrą rzeczą w tym wszystkim jest to, że właśnie minąłem kopiec Strattona i nawet go nie zauważyłem. Zdałem sobie z tego sprawę, dopiero gdy zobaczyłem, jak Garrard i Kits robią zdjęcia. Aby przestrzegać przyjętych reguł, posłałem Nimę, by w moim imieniu dołożył tam kamyczek. Ucieszyłem się, że Cedric minął kopiec, nie odwracając głowy; najwyraźniej więc nie wyczuł niczego niepokojącego.

No pewnie, że nie wyczuł, w końcu to tylko sterta kamieni. Winię naszą starą niańkę za to, że taki nonsens w ogóle

przyszedł mi do głowy. Mawiała, że ludzie zaczęli usypywać kopce, aby uniemożliwić zmarłym powstanie z grobów. Co za brednie. Złości mnie, że w ogóle to pamiętam.



NIE MOGĘ uwierzyć, jak bardzo mi się poprawiło. Ból głowy zniknął. A w nocy padał śnieg; lodowiec jest teraz zupełnie odmieniony. Przez cały dzień szukaliśmy drogi przez moje wytęsknione lodowe stożki. Niektóre są nierealistycznie białe, podczas gdy inne mają dziwny, niebieskawy, wypolerowany wiatrem połysk. Są tu również jeziora pełne wody w najbardziej błękitnym odcieniu błękitu, jaki kiedykolwiek widziałem.

Śnieg sięga do kolan, ale awangarda przeciera nam szlak, więc my, orszak z bagażami, mamy naprawdę lekko.

– Można by tu wtoczyć dziecięcy wózek, a dziecko nie miałoby nawet jednego siniaka na pupie – zauważa McLellan.

Tego popołudnia obozowaliśmy przy wschodniej krawędzi lodowca, tuż za boczną granią moreny, która – jak mieliśmy nadzieję – może uchronić nas przed lawinami. Kabru jest teraz za nami, a po prawie stronie wyrasta Talung, ostatni szczyt przed naszą górą. Kanczendzonga jest tylko kilka kilometrów stąd – chociaż nadal jej nie widzimy.

Popołudnie jest przepiękne, a ja właśnie spędziłem cudowne dwie godziny sam w swoim namiocie, przeglądając wykresy ze sfigmografu. Po kilku tygodniach przymusowego towarzystwa trochę samotności uspokaja mnie i uszczęśliwia jak szklanka krystalicznie czystej wody.

Pozostali nadal piją herbatę w namiocie-jadalni (a Cedric bezwstydnie żebrze o okruchy). Mam zamiar wspiąć się na morenę i zobaczyć, co stamtąd widać. Chodzi mi oczywiście

o górę, ale nie mam śmiałości nazwać jej po imieniu, nawet w myślach. Nie chcę zapeszyć – teraz, kiedy mam szansę wreszcie ją zobaczyć.

Jesteśmy powyżej pięciu tysięcy metrów, ale ja czuję się znakomicie, ponura apatia lodowcowa minęła. Kiedy wspinam się po kamienistej morenie, mój oddech jest mocny i donośny. Z daleka dobiega odgłos przypominający pociąg ekspresowy. To chyba wiatr wyjący wśród szczytów. Słońce praży, ale zimny zachodni podmuch dostatecznie mnie chłodzi: tutaj powietrze chyba nigdy nie jest nieruchome!

Jakieś sześć metrów nade mną stado wronczyków dziobie coś leżącego na skale. Odstraszam je i natykam się na stos zbielałych kości. Wygląda to na szkielet jednej z tych dzikich niebieskich owiec – które wbrew nazwie wcale nie są niebieskie, tylko rozczarowująco szare. Brakuje mi tchu, więc przyklękam przy nich. I wtedy ją widzę. Kanczendzonga.

Fotografie w ogóle nie oddają jej siły. Z mojej grędy na morenie widzę lodowiec prowadzący do niej niczym lśniący trakt królewski – chociaż to porównanie sprowadza do spraw ludzkich coś, w czym nie ma absolutnie nic ludzkiego. Mój wzrok wspina się wyżej i wyżej, mija imponujące ciemnoczerwone przepaście i lśniący biały lód, aż dociera do nieskazitelnych szczytów, z których najwyższy ma wstęgę ze śniegu. Widzę go na tle nieba tak doskonale błękitnego, że góra zdaje się niemal czarna.

Kanczendzonga.

Serce zamiera mi w piersiach i z trudem łapię oddech. Jak mogłem nie zdawać sobie sprawy? Gdy tylko ją ujrzałem, natychmiast zniknął dorosły człowiek i znów stałem się dzieckiem, wpatrzonym z podziwem w Szklaną Górę w książce z baśniami. Nigdy mnie nie opuściła, zawsze tam była, w głębi mnie zawsze czaiła się tęsknota za szczytem. „To jak zobaczyć

muzykę”, powiedział swego czasu pewien alpinista.

Właśnie dlatego tu przyjechałem. Nie po to, żeby uciec przed zamieszanym w domu, ale właśnie z powodu tego widoku. Zawsze chodziło o to i tylko o to.

Ktoś trąca mnie w ramię, a ja odwracam się z krzykiem.

To Garrard i Kits. Z okropnej, wykrzywionej twarzy Garrarda wnioskuję, że na nim zrobiła takie samo wrażenie.

– Mój Boże – bełkocze. – Lyell miał rację... Inne góry to tylko dodatki. A Kanczendzonga to jest po prostu To.

Kits ociera czoło chusteczką i wybucha pełnym zażenowania śmiechem.

– Duża, no nie?

Garrard, wierny przyjaciel, zmusza się do uśmiechu. Ja nie. Ja nie potrafię. Mam ściśnięte gardło. Brak mi słów. Kits rzuca mi niecierpliwe spojrzenie. Nienawidzi, gdy ktoś daje wyraz swoim emocjom; uważa, że to nieeleganckie.

Gdy tak się przyglądamy, dobiega nas daleki huk. Lód odrywa się od ściany góry, wzbijając tumany śniegu, który unosi się w kłębiastych chmurach. Kanczendzonga daje nam pokaz swojej siły.

Garrard i ja wymieniamy zaniepokojone spojrzenia, ale Kits, zapalony wspinacz, już bada ścianę przez lornetkę.

Proszę go, by dał mi spojrzeć, ale on nie odpowiada. Tłumię w sobie złość na to, że znów sprowadził mnie do roli natrętnego młodszego braciszka, który krzyczy: „Kits, proszę, daj mi też popatrzeć!”.

Kiedy wreszcie ustępuje, przeżywam szok, przyglądając się górze w zbliżeniu. To, co nieuzbrojonemu oku wydawało się piękne, w rzeczywistości jest niewiarygodnie przerażające. Najwyższy szczyt ginie wśród burz śniegowych. Niemal słyszę szalejący tam wiatr. Poniżej widać przerażający spadek w stronę gigantycznej warstwy lodowej, poziomo przecinającej

ścianę góry. Jeszcze niżej zionie kilkusetmetrowa przepaść z czerwonego granitu. Na lewo widać, jak lód spływa z półki skalnej niczym wielki, zamrożony wodospad wzdłuż masywnego, trójkątnego filara z czarnej skały, aż na dół, do samego lodowca.

To widoczne okrucieństwo góry sprawia, że tym bardziej chcę ją zdobyć. Nic mnie nie obchodzi, co mówi Kits. Nie ma mowy, żebym nie był częścią grupy, która zaatakuje szczyt. Po to tu przyjechałem.

Tylko po to.

8.



NARESZCIE w bazie!

Jesteśmy tu zaledwie od kilku godzin, a już czuję się jak w domu. Wokół namiotów sahibów i namiotu-jadalni zbudowaliśmy wiatrochron ze skrzynek, a namioty kulisów ustawiliśmy z wiatrem obok kuchni polowej i sterty skrzyń z zaopatrzeniem. Od teraz mamy tutaj prawdziwy sztab generalny, wyspę bezpieczeństwa pośród całego tego bezmiaru.

Cotterell i McLellan zamierzali założyć obóz na skalistym pagórku na lewo od skalnego żebra zwanego Garbem, gdzie rozpoczniemy wspinaczkę. Kits chciał obozować tam również dlatego, że w tym miejscu swoją bazę miał Lyell, ale kulisi stanowczo odmówili ze względu na pozostałe groby członków jego ekspedycji. Dzięki Bogu za to. Kto by chciał, aby płetwa rekina z przeszłości przebijała taflę dzisiejszej wody?

Zamiast tego rozbiliśmy więc obóz niecały kilometr przed Garbem, co oznacza, że nadal jesteśmy na lodowcu, ale przed gruzem przynoszonym przez ewentualne lawiny chroni nas kilka gigantycznych głazów. Za nami i po bokach wznoszą się

niższe szczyty strażnicze, a przed nami przytłaczająca skalna ściana. Na prawo od niej w stronę niższego szczytu Talung opada grań, kształtem przypominająca siodło. To gdzieś tam samotny Jankes zakończył swój żywot.

Obóz jest zimny i pełen hałasów: rumoru lawiny, nieustającego szelestu płótna namiotów, odległego wycia wiatru wśród szczytów.

Tuż przed nami wznosi się masywny czarny klin Garbu, dalej Lodospad niczym chaotyczna klatka schodowa wiodąca do tak zwanej Wielkiej Półki, znajdującej się niewyobrażalnie wysoko. Wierzchołek jest niemal niewidoczny. Szerpowie nazywają go Takste, czyli Szczyt Tygrysi, bo jest pierwszym, który oświetlają pomarańczowe promienie o wschodzie słońca.

Jesteśmy tak blisko południowo-zachodniej ściany, że nie widać jej przez celuloidowe okienko w klapie mojego namiotu. Zamiast tego widzę małe nieruchome jezioro w pobliżu obozu. Nie obchodzi mnie ono, jest zbyt spokojne. Ale teraz to nasza siedziba.

Znajdujemy się na wysokości pięciu i pół tysiąca metrów, więc upieram się, by zrobić trzydniowy odpoczynek „aklimatyzacyjny”. Myślę, że w duchu wszyscy się z tego cieszą. Nawet McLellan, który po raz pierwszy chętnie przystaje na odstępstwo od swojego planu.

Zjedliśmy właśnie znakomity lunch złożony z ozora, makaronu z serem i szpinakiem, ananasów w puszcze, syropu klonowego i herbatników Garibaldi. Wypoczywamy teraz na słońcu przed namiotem-jadalnią. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze w Dardżyling czułem się jak nowy uczeń w klasie. Teraz z nimi wszystkimi jest jak w domu, chociaż muszę jeszcze dowieść swojej wartości jako wspinacz.

Pomaga fakt, że wszyscy jesteśmy nieco zapuszczeni w naszych płóciennych kapeluszach, pilotkach, swetrach do

krykieta, kamizelkach rybackich, szalach uniwersyteckich, bryczesach, spodniach, getrach i owijaczach. Rosnące na naszych twarzach „zarośla” – jak je nazywa Garrard – zdecydowanie potrzebują przyszczyżenia. Broda Garrarda jest jasna i cieniutka, Kitsa gęsta i brązowa, a Cotterella uderzająco srebrzysta (wygląda przez nią starzej, co mu się chyba nie podoba). Mimo obfitych dawek kremu Penaten wszyscy opaliliśmy się na mahoń, z wyjątkiem McLellana, którego łuszcząca się różowa skóra tworzy dziwny kontrast z rudawymi wąsikami.

Pisze właśnie list do swojej narzeczonej misjonarki, podczas gdy Cotterell pali fajkę. Garrard wystukuje sprawozdanie dla „Timesa” na swojej maszynie do pisania, a Kits walczy z przenośnym gramofonem, jak dotąd bez sukcesu, Bogu dzięki. Ja czyszcę sierść Cedrika. Na początku był zaniepokojony – pewnie nigdy w życiu nikt go nie szczotkował – a teraz to uwielbia, mruży oczy i kładzie po sobie uszy.

Nagle rozlega się ogłuszający huk. Patrzę w górę w odpowiedniej chwili i widzę gigantyczny kawał lodu odrywający się od półki i lecący w przepaść. Widzę, jak uderza w skały poniżej i rozbija się na kawałki. A potem nie widzę już nic więcej, bo wraz z innymi nurkuję do namiotu-jadalni.

Kilka sekund później dociera do nas fala uderzeniowa, rycząc i okładając nasze namioty. Nie ma czasu na strach. Wszystko błyskawicznie cichnie. Gapimy się na siebie nawzajem, słuchając, jak milkną odgłosy lawiny.

Obóz jest zakopany w śniegu na kilka centymetrów, ale olbrzymie głazy wykonały swoje zadanie i uchroniły nas przed kamieniami. Kulisi, zadziwiająco niewzruszeni, już zaczęli porządkować.

– *Tchum* – mówi niepotrzebnie sirdar imieniem Lobsang. Lawina.

Nikommu nic się nie stało, nawet Cedric zwyczajnie się otrzepuje. Nie straciliśmy też żadnego sprzętu, nie licząc gramofonu Kitsa. Przez chwilę jednak nikt nic nie mówi. Wszyscy myślimy o grobach na wzgórzu i o tym, co lawina może zrobić z człowiekiem. Góra wysłała nam ostrzeżenie: „To właśnie zrobiłam z waszymi poprzednikami”.

– Biedacy – mówi Garrard cicho.

Cotterell wpatruje się w nasze napięte twarze, a po chwili odchrząkuje.

– Partyjka kart? – pyta rażno.

– I łyk leczniczej brandy – dodaję.

Zachować spokój, to najważniejsze. Nie ma sensu rozpamiętywać przeszłości. Oczywiście żal mi Lyella, wszystkim nam go żal. Ale wtedy było wtedy, a teraz jest teraz.



BÓL GŁOWY powraca z całą zajadłością. Rozgrzane do czerwoności igły wbijają się w moją czaszkę, a najłżejszy hałas przyprawia o cierpienie: Nima grający na swoim przeklętym flecie, Kits pogwizdujący, gdy wspina się i schodzi po tych piętnastometrowych głazach na skraju obozu. Mówi, że robi to, aby „nie wypaść z formy”, ale tak naprawdę po prostu się popisuje.

Mam też biegunkę. Odkładałem, ile się dało, wizytę w latrynie, ale dłużej już nie mogę. Kiedy wlokę się obok głazu, na którym ćwiczy Kits, w dół leci kilka drobnych kamieni.

– W dole! – ryczy ostrzegawczo.

– Chryste, Kits, musisz się tak wydzierać?

– Przepraszam, staruszkule! – krzyczy, po czym spogląda na mnie i wyraz jego twarzy się zmienia. – Kiepsko wyglądasz.

Pomóc ci w czymś?

– Nie, do jasnej cholery, potrafię się jeszcze sam wysrać!

Milknie, wyraźnie zszokowany.

– Przepraszam.

– Ja też – mówię. – Naprawdę. Nie czuję się najlepiej, to wszystko.

– Wyglądasz przerażająco.

– A ty nie, cholerny szczęściarzu, więc zostaw mnie teraz w spokoju.

Jestem tak strasznie osłabiony, że z trudem udaje mi się ściągnąć na czas spodnie. Cedric podbiega, merdając ogonem, ale go odgania, więc odchodzi z urażoną miną.

Jakoś udaje mi się wrócić do namiotu i wpełznąć do śpiwora. Nigdy w życiu nie czułem się tak podle. Dlaczego Nima nie przyjdzie i czegoś nie zrobi?

Kłapa namiotu unosi się, ale to nie Nima, tylko McLellan. Wygląda zdrowo, jeśli nie liczyć nieco zaczerwienionych oczu, czego więc może ode mnie chcieć?

– Czego ci trzeba? – mruczę.

– Niczego. Słyszałem, jak wołasz. Pomyślałem, że może napijesz się herbaty – mówi, stawiając kubek w zasięgu mojej ręki.

Wzruszony bełkoczę jakieś podziękowania. Drapie się po rudej brodzie i pyta nieśmiało, czy wziąłem leki przeciwbólowe. Głowa boli mnie tak bardzo, że nawet nie mam siły nią pokręcić. Ograniczam się więc do ściągnięcia brwi.

– To może powinienes? Lekarzu, lecz się sam... I tak dalej – milknie na moment. – Przypuszczam, że już to parę razy słyszałeś.

Udaje mi się niemrawo uśmiechnąć.

– Kilka razy. Przez te wszystkie lata...

– No, dobrze. Zostawię cię w spokoju.

Kiedy już go nie ma, zaczynam sączyć cudownie mocną herbatę, wylewając przy tym większość na siebie. Naprawdę jestem żaloszny. Ale nie mam pojęcia, jak przetrwam tę noc. Tęsknię za Cedrikiem. Przyzwyczaiałem się do tego wybrzuszenia pod tropikiem, a odkąd go odgoniłem, już się nie pokazał. Co gorsza, obawiam się, że nie wyzdrowieję, będę uwięziony w bazie i nigdy nie zdołam postawić stopy na górze.

Mam wrażenie, że nie jestem już w swoim namiocie. Leżę na lodzie otoczony kudłatymi białymi jakami, które ocierają się o siebie i trącają wielkimi wilgotnymi pyskami. Boję się, że mnie stratują, ale kiedy próbuję je odpędzić, całkowicie mnie ignorują.

Teraz jaki zniknęły, a ja jestem w środku szklanej kuli. Klęczę i tłukę pięściami w niewzruszoną szklaną ścianę, podczas gdy bezcielesny głos Clare mruczy:

– Czyż to nie jest urocze?

Znów jestem w swoim namiocie, zbyt roztrzęsiony, by móc otworzyć oczy. Przez chwilę ból wydaje się trochę mniej przerażający. Gdybym tylko zdołał leżeć całkowicie nieruchomo, to może...

– W dole!

Krzyk przyprawia mnie o agonię: jakby wokół mojej czaszki zaciskały się obręcze z rozgrzanego drutu. Chryste Panie, czy on musi tak krzyczeć?

Ktokolwiek to był, już przestał. Leżę, wpatrując się w ciemność, wsłuchując w ciszę. Jest w niej coś dziwnego. Jest zbyt gęsta, zbyt wszechogarniająca. W półmroku dostrzegam, jak wiatr wygina ściany namiotu – do środka i na zewnątrz – ale tego nie słyszę. Czy wciąż śpię?

Nie mogę spać. Jestem w pełni świadomy tego, że leżę zwinięty na boku, że jakaś gruda lodu wbija mi się boleśnie w biodro, że złożony sweter, którego używam jako poduszki,

drapie mój policzek. Czuję też zimno, mimo ubrania na cebulkę i podwójnego puchowego śpiwora. Dreszcze przechodzą mi po czubku głowy, aż włosy stają dęba.

Nikt nie może wspinać się w ciemności, a tym bardziej wykrzykiwać ostrzeżeń, a mimo to zaczynam krzyczeć:

– Co się stało? Czy ktoś jest ranny?

W moim głosie słychać szorstkość i wahanie. Nie ma żadnej odpowiedzi. A ja nagle odzyskuję słuch. Łopot namiotu, wiatr napinający linki naciągów.

– Kto krzyczał? – wołam.

Wreszcie w wejściu pojawia się głowa Nimy.

– Doktor sahib?

– Kto krzyczał?

Jego żółta wełniana czapka jest przekrzywiona, a w blasku świecy spojrzenie jego ciemnych oczu napotyka moje. Wpatruje się we mnie z mieszaniną respektu i ciekawości.

– Nikt nie krzyczy, doktor sahib. Wszyscy śpią.

No pewnie, że śpią, jest druga w nocy. To tylko jeden z tych snów, które śnią się przed samym przebudzeniem i które sprawiają wrażenie niesamowicie realistycznych. Czuję się głupio i mówię Nimie, że może już iść. Leżę i patrzę, jak niesione przez niego światło przygasa, a wokół mnie znów zamyka się ciemność. Jestem całkowicie przytomny, a moje uszy łowią każdy najłżejszy szmer.

Żałuję, że odesłałem Nimę. Żałuję, że nie ma ze mną Cedrika. Żałuję, że nie mam światła. Próbuję wymacać latarkę, a potem przyciskam ją do piersi. Z jakiegoś powodu nie mam jednak ochoty jej zapalać.

Ktoś krzyczał. To nie był sen. Dobrze słyszałem.



BIEDNY STARY McLellan, co za cholerny pech.

Spałem do dziesiątej i obudziłem się, czując się, na szczęście, o wiele lepiej. Jadłem właśnie czapati z masłem i dżemem agrestowym, popijając je trzema kubkami herbaty tak mocnej, że myszy mogłyby po niej kłusować, jak mawiał Cook.

Wbijałem właśnie zęby w ostatnie czapati, kiedy nadbiegł Pasang.

– Szybko, doktor sahib, był upadek!

McLellan wracał z latryny i się potknął. Z nogą wszystko w porządku, ale podpierając się przy upadku, złamał rękę w nadgarstku. Jego szanse przepadły, zanim w ogóle zaczęliśmy się wspinać.

Złamanie jest dość paskudne, dałem mu więc sporą dawkę weramonu. Próbował zachować zimną krew i nawet trochę żartował:

– Lepiej, chłopaki, uważajcie na górze, ja będę wszystkim zarządzał z naszej bazy!

Później jednak zastałem go czytającego Biblię z jakąś nieustępliwą koncentracją. Kiedy mnie zobaczył, zdobył się na niemrawy uśmiech.

– Obawiam się, że teraz nawet moja dobra księga nie potrafi mi pomóc.

– Co za cholerny pech. Leki przeciwbólowe działają?

– O tak, wspaniale – skłamał.

Kiedyś lekko podchodziłem do złamań, ale potem sam złamałem nogę w kostce w Dolomitach. Ból był niewyobrażalny.

– Przypuszczam, że tak będzie lepiej – powiedział McLellan cicho. – Nigdy do was nie pasowałem.

– Mój drogi przyjacielu...

– Ale taka jest prawda, czyż nie? – Zmusił się do uśmiechu. – Kiepska szkoła państwowa, praca biurowa w administracji

wojskowej. Nic specjalnego, jak to mówią.

– Mylisz się najzupełniej! Jesteś jednym z nas, a my całkowicie od ciebie zależymy!

Chyba przesadziłem z ekspresją, ale on spojrzał na mnie z taką nadzieją. Naprawdę chciał mi uwierzyć. Miałem wyrzuty sumienia, że nie zdołałem go wcześniej bardziej polubić.

Na szczęście dotarł do nas pierwszy goniec z pocztą, co ogromnie nas rozweseliło. Pojawił się jako mała plama na lodowcu, a później dotarł do nas z zieloną płócienną torbą zapieczętowaną czerwonym woskiem i wypełnioną nowinami z domu. Pozostali dostali listy od żon i narzeczonych. Dotarły też trzy od narzeczonej misjonarki McLellana, co nieco podniosło go na duchu. Ja otrzymałem uroczą kwaśną notkę od kuzynki Philippy, ale na szczęście nie dotarł żaden nakaz sądowy od ojca Clare. Bogu dzięki.

Całą przyjemność psuł Kits. Starał się, jak mógł, nie wspominać przy mnie o Dorothy i chłopcach, ale to tylko przykuwało uwagę wszystkich do faktu, że jestem jedynym pośród sahibów, o którego nikt nie dba. Oczywiście zrobił to celowo, bo był zły: przed lunchem poprosiłem Cotterella, by wziął mnie pod uwagę, dobierając grupę do ataku szczytowego. Był zachwycony, ale Kits się wściekł. Wygląda na to, że uważa szczyt za swoją własność. Nie chce, żeby wpychał mu się tam młodszy braciszek.

Herbata się skończyła, a ja grzeję się we wspaniałym słońcu przed swoim namiotem z Cedrikiem u mych stóp. Najwyraźniej wybaczył mi, że go wczoraj wieczorem odgoniłem. Porządkuję ostatnią porcję wykresów sfigmografu. Biorąc pod uwagę wysokość, puls nas wszystkich jest zadziwiająco normalny, nawet w przypadku biednego, starego McLellana. Pamiętając jednak, jak fatalnie się czułem ostatniej nocy, zacząłem uczyć Nimę i Pasanga podstaw pierwszej pomocy. Z dumą noszą

opaski z czerwonym krzyżem, a Pasang już bandażuje lepiej ode mnie.

Słońce grzeje niemiłosiernie, ale wieje również chłodny zefir, któremu towarzyszy dość denerwujący łopot płótna namiotów oraz świst wiatru wokół szczytu, brzmiący jak pociąg ekspresowy, który nawet na chwilę nie ustaje. Od czasu do czasu słyszę odległy huk lawiny. Najczęściej na Talungu albo na Siodle, ale parę razy kilka zeszło również z Wielkiej Półki i musieliśmy dobrze się trzymać, żeby przeciwstawić się sile podmuchu.

Ściana góry ma w sobie coś hipnotyzującego. Zeszłej nocy obserwowałem, jak ciemność zalewa ją niczym mroczny przyływ. A naszego pierwszego ranka tutaj widziałem, jak Tygrysi Szczyt lśni szkarłatem. Przez chwilę wydawało się, że Wielka Półka i pobliskie szczeliny są skąpane we krwi. Zastona śnieżnej mgły spelzła ze szczytu wzdłuż ściany niczym żywe stworzenie.

Kiedy patrzę teraz na ścianę, doświadczam tego samego przerażenia i pożądania, które czułem, gdy jako chłopiec wpatrywałem się w ilustrację w książce. Nie pamiętam samej historii, tylko tamten obrazek. Trzej rycerze wjeżdżający po zboczu Szklanej Góry w poszukiwaniu skarbu. Jeden z nich prawie dotarł na szczyt, podkowy jego konia krzeszą iskry. Drugi przewrócił się i spada ku swej zagładzie. Trzeci leży martwy na dole.

To dziwne, że zdaje się nam, iż góra ma twarz^[1], chociaż w istocie to tylko sterta skał i lodu. Wygląda na to, że nawet my, Europejczycy, nie możemy oprzeć się pokusie antropomorfizacji. Czy jesteśmy przez to tacy sami jak Szerpowie z ich śnieżnymi demonami? Czy to tylko sposób, aby uczynić rzeczy mniej przerażającymi? Jeśli góra ma twarz, to również powinna mieć rozum, więc jeśli będziemy traktować ją

z szacunkiem, to nas nie pozabija. Alternatywa – prawdziwa, jak sądzę – jest taka, że o wszystkim decyduje przypadek; rzucamy kośćmi w grze, w której stawką jest nasze życie.

Szerpowie mówią, że szczyt jest siedzibą mściwego śnieżnego boga, Kang-my. Aby go udobruchać, wymalowali modlitwę na wielkim głazie koło jeziora i ozdobili go szeregiem flag, powiewających na cztery strony świata.

Garrard przygląda się temu wszystkiemu z bezstronnym zaciekawieniem i jakąś gorzką fascynacją. Cotterell, prawdziwy dobry dowódca, przymyka oko, bo dzięki temu Szerpowie czują się pewniej. Kits odrzuca te dziecinne brednie i tak samo bez wątpienia myślałby McLellan, gdyby tylko nie czuł się tak źle. Jeśli o mnie chodzi, to ich wierzenia już mnie tak nie odrzucają jak na początku. Może dlatego że nie jestem w stanie z nimi walczyć.

Jutro idziemy na „wzgórze cmentarne”, by obejrzeć naszą drogę (naprawdę chciałbym, aby wszyscy przestali nazywać je w ten sposób; to po prostu wzgórze i tak się składa, że są tam groby, ale przecież to nie one definiują miejsce). Co dziwne, Szerpów najwyraźniej bardziej martwi jezioro. Nie chcą czerpać z niego wody, by nie urazić duchów, a kiedy Nima prał moje ubrania, upierał się, by iść kilometr dalej do innego zbiornika, którego z jakiegoś powodu nie uważa za nawiedzany przez duchy.

Jak to jest, kiedy się wierzy, że wszystko dookoła ci się przygląda? Gdy zanim przesuniesz kamień, musisz najpierw przebłagać demona, którego spokój naruszasz?

Dla nich nawet góraki są podejrzane. Jeden z nich przysiadł właśnie na moim namiocie i Nima zaraz go odpędza.

Żal mi Nimy i jego pobratymców. To musi być straszne, gdy człowiek żyje w strachu przed wszystkim, co go otacza.

Chociaż przypuszczam, że sam nie jestem całkiem odporny na

te przesady. Tamten krzyk w nocy. Niedługo po tym, gdy go usłyszałem, McLellan złamał rękę. To tak, jakby ktoś wysłał nam ostrzeżenie.

[1] Angielskie *face* oznacza zarówno ścianę skalną, jak i twarz (przyp. red.).

9.



TERAZ, gdy znalazłem się na „wzgórzu cmentarnym”, tym bardziej się cieszę, że tu nie obozujemy.

Oczywiście pod wieloma względami byłoby to idealne miejsce na bazę. Jest tu skała, a nie lód, przez co jest cieplej i o wiele wygodniej, skoro właśnie stąd rozpoczniemy wspinaczkę. Ale ma się tu wrażenie, że Lyell ledwo co wyruszył.

Z jakiegoś powodu są tutaj dwa groby: mniejszy, podłużny kopiec z koślawym drewnianym krzyżem, oraz większy, z dwoma zardzewiałymi czekanami leżącymi bezładnie na dole. Garrard mówi mi, że ten mniejszy kryje niejakiego Pache (w jego wymowie słowo ma dwie sylaby, a „ch” brzmi jak „k”), podczas gdy w większym spoczywają Freemantle i Knight. Ma zamiar opowiedzieć jeszcze więcej, ale mu przerywam:

- Dobra, dzięki, dość się już nasłuchałem.
- Nie jesteś taki jak Kits, co? – odpowiada ze śmiechem.

Kręcę przecząco głową i też się śmieję.

Z Cedrikiem przy boku oddalam się, zostawiając pozostałych, zajętych fotografowaniem grobów. Nawet Cotterell bierze udział.

Jestem zdumiony, to ostatnia rzecz, jaką powinni zajmować się w przededniu wspinaczki.

Yates, Stratton, Pache, Freemantle i Knight. Żałuję, że znam ich nazwiska, przez to stają się nieprzyjemnie realni. A jednak cieszę się, że mamy już odliczoną całą piątkę. Żadnych przykrych odkryć więcej. Od teraz będziemy mogli skupić się na górze.

Wyruszyliśmy przed świtem, aby zminimalizować ryzyko lawiny. Nadal jest wcześnie, a my pozostajemy w mroźnym cieniu Garbu, wystawieni na siekący zachodni wiatr. Szczyt wzgórza jest niemal płaski, wielkości kilku boisk do krykieta. Moje buty skrzypią, gdy szukam drogi pośród czarnych, pokrytych porostami kamieni.

Wreszcie wkraczam na samą górę, chociaż na razie jestem dopiero u jej stóp. Jest tak wielka, że nie mogę się z tym oswoić. Nie widzę Wielkiej Półki, bo Garb zasłania widok, ale stąd, gdzie stoję, w górę ciągnie się szerokie, pomarszczone, zaśnieżone zbocze, mija Garb od zachodu, by spotkać się z górnymi partiami Lodospadu spływającego po przeciwnej stronie. Stok nie wygląda na bardzo stromy, ale kiedy przyglądam mu się przez lornetkę, widzę, jak wznosi się bez końca; musi mieć z tysiąc metrów. Czuję, jak ogarnia mnie panika: prawdziwy paniczny lęk w obliczu niezbadanego.

Odwracam się od góry i szukam naszej bazy, niecały kilometr stąd na lodowcu. Namioty sahibów tworzą zgrabny rząd jasnoczerwonych plam, większe zielone namioty tragarzy otaczają kuchnię polową. Wyglądają tak mizernie. Jak drobiny gruzu.

Nie obchodzi mnie to wzgórze. Wszędzie wokół można znaleźć ślady Lyella. Tam są resztki starego wiatrochronu, a prostokątne plamy znaczą miejsca, gdzie były rozbite ich namioty. Nadal leżą tam pordzewiałe puszki po nafcie i kawałki

skrzynek bagażowych. Jest stary słój po czatni, na etykiecie można jeszcze przeczytać markę: Crosse & Blackwell. Niemal widzę tutaj Lyella i jego towarzyszy: palą, czytają listy z domu, z napięciem badają górę, która już wkrótce ich zabije.

Nagle dopada mnie to samo poczucie osamotnienia, które czułem przy grobie Yatesa. Jest tak, jakbym został porzucony przez towarzyszy, sam na tym odludziu, bez żadnej nadziei na znalezienie drogi powrotnej. Uczucie jest całkowicie irracjonalne. To mnie niepokoi najbardziej. Bo wcale nie jestem tu sam. Jest Cedric, obwąchujący słój po sosie – a tam dalej pozostali, krzątający się wokół grobów.

– Chodź tutaj i pomóż nam wyznaczyć szlak! – krzyczy do mnie Cotterell.

Uczucie znika równie nagle, jak się zjawilo. Zanim do nich docieram, jestem znów sobą.

Wkrótce cała nasza czwórka spogląda przez lornetki. Raz jeszcze śledzę zaśnieżone zbocze aż do szczytu Garbu i jeszcze dalej, tam, gdzie zaczyna się bezładny kubistyczny lodowy chaos. To wyższa część Lodospadu, który prowadzi na Wielką Półkę.

Moje pragnienie dostania się tam powraca z całą mocą. Za kilka dni tam będę. Kolejnych kilka dni później stanę na szczycie.

– Nie ma wątpliwości, jeśli chodzi o początek – mówi Cotterell.

– Pójdziemy śladem Lyella przez to śnieżne zbocze i rozbijemy obóz pierwszy tam, gdzie on. Myślę o tamtej półce z boku Garbu, na wysokości... Ilu? Kits? Sześciu tysięcy metrów?

– Sześciu tysięcy dwudziestu.

Cotterell rzuca mu zadowolone spojrzenie. *Mój chłopak.*

– Następny kawałek wygląda problematycznie – mówi Garrard. – Nad Garbem będziemy musieli przeciąć Górny Lodospad i pójść w stronę wschodniej krawędzi.

Dla nieuzbrojonego oka Lodospad wygląda na pomarszczony, ale gdy patrzy się przez lornetkę, widać, że każda zmarszczka to wielka lodowa iglica.

– W miarę poziomy kawałek może być pod tamtą ostrą skałą – rzucam.

– Gdzie? – pytają Garrard i Cotterell równocześnie.

– Tuż obok tamtej zygzakowatej szczeliny. Widzicie to spiętrzenie ciemnego lodu? Coś jak ogon wieloryba? Pod tym.

Zapada cisza, która trwa przez moment.

– Myślisz, żeby tam założyć obóz drugi? – pyta Garrard.

– Warto spróbować – mówię, wzruszając ramionami.

– Nie – mówi Kits.

Spoglądam na niego.

– Dlaczego nie?

Przez cały ranek niemal się do mnie nie odzywał, a teraz to. Niemożliwe, że nadal się dąsa, bo chcę spróbować wejść na szczyt.

– Dlatego, że to zły pomysł – odpowiada, nadal patrząc przez lornetkę na ścianę.

– Nie zgadzam się – mówię spokojnie. – Tamta skała zapewni osłonę przed lawinami.

– Jesteś lekarzem, Stephen – prycha Kits. – Może się tego trzymaj.

Już mam się odciąć, kiedy wkracza Cotterell:

– Zostawmy to na razie, dobrze, panowie? Najważniejsza rzecz to założyć obóz pierwszy. Stamtąd będziemy mieli lepszy widok.

– Nie powinno to zająć zbyt wiele czasu – wtrąca delikatnie Garrard. – Możemy wyrąbać stopnie na większej części tego śnieżnego stoku i umocować tam liny dla Szerpów. Trzeba będzie kilku dni, aby zorganizować transport zaopatrzenia do obozu pierwszego. Nawet lepiej, że biedny stary McLellan będzie wszystkim zarządzać z bazy.

– Dobrze powiedziane – potakuje Cotterell. – Chciałbym w ciągu tygodnia założyć obóz podszczytowy na Wielkiej Półce. Gdy już uda się go odpowiednio zaopatrzyć, będziemy mogli zaatakować wierzchołek.

W jego ustach brzmi to jak wojskowe ćwiczenia na równinie Salisbury. Garrard i ja wymieniamy niemrawe uśmiechy. Kits, nadal nieporuszony, bada zбочe. Dobrze, niech sobie bada. Musi to przepracować.

Na moment słońce rozpala ścianę ponad nami i zapominam o Kitsie. To, co widzę, sprawia, że tym bardziej chcę zdobyć tę górę. Jeśli będziemy posuwać się zgodnie z planem, a pora monsunowa nie nadejdzie wcześniej, może nam się udać.



PROBLEM Z KITSEM polega na tym, że wszystko w życiu przychodziło mu zbyt łatwo. Starosta roku i kapitan pierwszej jedenastki w Winchester, gwiazda klubu wysokogórskiego w Cambridge. Nie musiał pracować z powodu funduszu powierniczego, a na dokładkę dostał piękną Dorothy, która obdarowała go podporą w postaci chłopców i która nie spojrzałaby na innego mężczyznę, nawet gdyby na jej drodze stanął jakiś milioner – chociaż to nie najlepszy przykład, skoro sama jest córką milionera.

Tak, życie rozwijało się przed Kitsem jak miękki kobierzec. Musi to więc być straszny szok, kiedy jedna z mniej istotnych nitek w tym kobiercu, czyli jego młodszy brat, nie zachowuje się, jak należy.

W bazie wziąłem go na bok, by spytać, co go ugryzło.

– Boże drogi, Kits, to nie są zawody! Wiem, że jesteś lepszym wspinaczem niż ja, ale niby dlaczego ja również nie miałbym

spróbować zaatakować szczytu?

- Bo nie jesteś dość dobry – odpowiedział beznamiętnie.
- Co?!
- Nie jesteś dość dobry.
- O tym zdecyduje Cotterell, nie ty.
- Daj spokój, Partaczu. Nie zabrałbym cię tutaj, gdybyś nie był niezłym wspinaczem. Ale to jest Kanczendzonga! Nie idziesz na szczyt!

Zawsze to robi. Gdy tylko zbliżam się do jego poziomu, natychmiast musi mnie strącić z powrotem – chociaż oczywiście zawsze ma po temu jakiś dobry powód.

- Wiesz równie dobrze jak ja – ciągnął, wywijając wargi jak buldog – że podczas wspinaczki trzeba móc polegać na swoich towarzyszach w stu procentach...

- A co to ma, do diabła, znaczyć?
- Że nie jesteś do tego przygotowany.
- Co?! Trenowałem przez kilka tygodni na statku. Jestem równie sprawny co ty...

- Nie to mam na myśli. Chodzi o to, że nawet nie chciało ci się przestudiować drogi Lyella. To nie z powodu uwielbienia dla mojego bohatera czytałem jego wspomnienia, aż znałem je na pamięć. To ze zdrowego rozsądku! Kiedy dyskutowaliśmy o obozie drugim, ty nawet nie miałeś pojęcia, że dokładnie w miejscu, które zaproponowałeś, Lyella przysypało! Nie najlepsze miejsce na obóz, co? Garrard i Cotterell o tym wiedzieli. Byli zażenowani.

Przez chwilę gapiłem się na niego.

- I nie pomyślałeś o tym, żeby mi wtedy powiedzieć?
- A co mnie obchodzi, czy zrobisz z siebie głupka, czy nie? – prychnął.

Otworzyłem usta, żeby mu odpowiedzieć, ale zaraz je zamknąłem. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie chłodno, jak

obcy ludzie, a to, co zwykle kryje się tuż pod powierzchnią, niemal wydostało się na zewnątrz. Jedno moje słowo wywołałoby kłótnię, a to mogło być tragiczne w skutkach. Odwróciłem się więc na pięcie i odszedłem.

Znalazłem się tutaj, nad jeziorem, kipiąc z gniewu, chodząc tam i z powrotem. Słyszę Kitsa na drugim krańcu obozu, jak uczy Szerpów zasad asekuracji. On i młody człowiek imieniem Tenrit są związani liną. Kits ustawił Tenrita przed kamieniem, wokół którego owinał linę.

– Więc teraz – tłumaczy śpiewnym tonem, jakby przemawiał do dzieci – jeśli zejdziesz niżej niż Tenrit i jeśli się potknę, a on nie będzie mnie mógł utrzymać, pętla wokół skały utrzyma go, co znaczy, że nie ściągnę nas obu w przepaść!

Uczniowie grzecznie uśmiechają się do sahiba, Wspaniałego Nauczyciela, a on jak zwykle – proszę zauważyć, panie Cotterell – zachowuje pogodę ducha, pomimo nieuzasadnionej prowokacji ze strony swojego paskudnego młodszego brata.

Jest południe, słońce wściekle grzeje. Wiatr ucichł i flagi modlitewne na głazie zwisają nieruchomo. Jezioro jest całkowicie gładkie.

Przez te wszystkie lata wypracowaliśmy sposób współżycia, który przez większą część czasu jakoś działał – pod warunkiem że ja ignorowałem na pół prześmiewcze, na pół gniewne przytyki Kitsa pod adresem medyków i każdej sfery intelektualnej, jaką mogłem się przez chwilę zainteresować. Drugim warunkiem było ograniczenie rozmów do tematu wspinaczki, cioci Ruth, Dorothy i ich dwojga tłustych, odrażających potomków lub dowolnego innego śmiertelnie nudnego elementu jego śmiertelnie nudnego życia. Tylko w nielicznych chwilach przestawaliśmy się pilnować i wówczas na powierzchnię mogła wyleźć ta nieprzyjemna prawda, że gdybyśmy nie byli spokrewnieni, żaden z nas nie poświęciłby

drugiemu ani pięciu minut.

Ale przecież wiedziałem o tym wszystkim, decydując się na przyjazd tutaj, więc co się nagle zmieniło?

Chyba nie zdawałem sobie sprawy, jaką Kits widzi dla mnie rolę w tej ekspedycji. Jemu się zdaje, że ciągle jesteśmy w Winchester. Myśli, że nadal jestem młodszym Pearce'em, bystrym, choć nieco dziwacznym młodszym braciszkiem, radzącym sobie jedynie z takimi rzeczami jak łacina czy greka, którymi żaden gość na poziomie w ogóle nie zawraca sobie głowy. Uważa, że powinienem potulnie siedzieć w bazie – albo w najlepszym razie w niższych dalszych obozach – podczas gdy prawdziwi panowie wspinacze wezmą się do roboty.

Lekcja asekuracji się skończyła i Szerpowie wrócili w okolice kuchni polowej. Nic nie zakłóca spokoju. Żadnych lawin, żadnych spadających kawałów lodu. Nawet pojedynczego góraka.

Połowa jeziora pokryta jest cienką warstwą szarozielonego lodu, na którym wiatr powycinał siatkę dziwnych wzorków. Druga połowa to odkryta woda, nieruchoma jak szkło soczewki. Góry odbijają się w niej z fotograficzną przejrzystością. Widzę Wielką Półkę odcinającą się od ściany, a na jej końcu Lodospad opadający ku prawej flance Garbu. Po drugiej stronie widać śnieżny stok. W wyższych partiach Lodospadu mogę niemal dostrzec zygzakowatą rysę i ciemną skałę w kształcie ogona wieloryba; skałę, od której zaczęła się kłótnia.

Cała ta awantura wydaje się teraz – gdy stoję przy brzegu wody – zawstydzająco dziecinna. Braterska sprzeczka, której pozwoliliśmy wymknąć się spod kontroli.

Woda jest niezwykle czysta. Odwracam wzrok od odbicia gór i kieruję go głębiej: w stronę gładkich szarych kamyków i zielonozłotego piasku. Nabieram wody w dłoń i upijam łyk. Ma mineralny posmak i jest tak zimna, że aż bolą dziąsła.

Poniewczasie przypominam sobie, że Nima zabraniał picia wody z jeziora. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Biedny stary Nima. Jest zbyt grzeczny, by pozwolić sobie na gderanie, ale gdyby dowiedział się, co właśnie zrobiłem, zaraz rzuciłby mi swoje zmartwione spojrzenie. Kolejny raz powierzony jego opiece szczeniak zrobił coś głupiego.

Słońce znika za chmurą i nagle robi mi się zimno. Coś jest nie tak. W powietrzu czuć napięcie. Wciągam głęboko powietrze, ale ciągle brakuje mi tchu: jakby jakiś kłujący, niezdrowy ciężar przysiadł na mojej piersi. Czuję, jakbym miał zaraz zemdleć.

Nie słyszę już Szerpów przy kuchni ani odległego wycia wiatru wokół szczytu. Cisza jest gęsta i wroga. Ponownie przenoszę wzrok z dna jeziora na odbicie góry w jego tafli.

Zapiera mi dech. Ktoś tam jest. Tam, na górze. Widzę go, jego ciemną głowę przyglądającą się zza urwiska.

Ale przecież nie może być nikogo tak wysoko. W ogóle nikogo nie może tam być.

Zrywam się, by spojrzeć na samą górę – i oczywiście nikogo tam nie ma, bo też i nigdy nie było. A jednak jakiś impuls każe mi zakrzyknąć:

– Heeej! Ty, na górze! Czego chcesz?

Mój głos niesie się echem, a Szerpowie przy kuchni polowej unoszą głowy i zaczynają się na mnie gapić.

Spoglądam znów na odbicie góry w jeziorze, śledzę wzrokiem czarny klin Garbu aż do jego wierzchołka i dalej poprzez Lodospad aż do urwiska.

Nadal tam jest. Na górze. Widzę, jak uważnie patrzy w dół. A potem powoli się wycofuje. I znika mi z oczu.

10.



To NIE MÓGŁ być ptak; był znacznie większy. Ani koziorożec, ani owca. Spytałem McLellana, czy na górze są jakieś zwierzęta, a on powiedział, że nie, nie ma tam żadnego życia.

Oczywiście nie mógł to być człowiek. A nawet gdyby był – nawet gdyby, choć to niemożliwe – to nie mógłbym go dostrzec z takiej odległości; mój wzrok nie jest wystarczająco dobry, jak zresztą żadnego innego człowieka. Musiał więc to być cień albo skała, albo dziwaczna formacja lodowa.

Jest trzecia czterdzieści pięć nad ranem, Nima właśnie przyniósł mi herbatę i czapati. Nie musiał mnie budzić, nie spałem. Myślę, że drzemałem kilka godzin, ale przez większość czasu leżałem w półświadomym pomieszaniu, które jest znacznie bardziej wyczerpujące od jawy.

Yates, Stratton, Pache, Freemantle i Knight. Nazwiska pojawiały się w moich myślach wraz z dojmującym uczuciem, że coś mi umyka. Ale przecież los ich wszystkich jest dobrze znany. Wszyscy są bezpieczni w swoich kopcach. To właśnie powtarzał mi mój mózg zanurzony w osobliwej, półsennej

logice. Jakby tylko ta sterta kamieni powstrzymała zmarłych przed wstaniem.

Jest dziesiąty maja, pierwszy dzień wspinaczki. Naprawdę nie chcę wiedzieć, czy to ten sam dzień, kiedy wspinaczkę rozpoczął Lyell – chociaż bez wątpienia Kits by mi powiedział, gdyby tak było.

W moim namiocie jest ciemno i lodowato. Tropik pokryty jest szronem. Moja broda i śpiwór też są od niego sztywne. Od teraz każdy dzień będziemy zaczynać dobrze przed świtem, aby uniknąć tego, co Cotterell nazywa „nieprzyjacielskim ogniem”, czyli skalnych obrywów i lawin.

Mnie to nie przeszkadza, im wcześniej, tym lepiej. Chcę mieć tyle jawy, ile wlezie, nawet jeśli oznacza to budzenie się w ciemnościach i mozolne wciskanie opuchniętych stóp w zamrożone buty. Nie mogę też uspokoić swoich dłoni, ale to nic – zawsze mi się trzęsą przed wspinaczką.

Cedric wsadza pysk do środka. Wpuszczam go i daję mu ostatnie czapati. Jego oczy są koloru ciepłej brązowej czekolady, a kiedy zanurzam twarz w kudłach na karku, czuję psi zapach, niebywale dodający pewności siebie.

Pozostali są już na zewnątrz, stąpają ciężko w obłokach marznących oddechów. Jest dojmująco zimno, a blade żółtawe światło naszych czołówek zdaje się jedynie wzmagać ciemność.

Nad nami widać gwiazdy, które na tle ciemnego nieba wyglądają jak śnieżna zamieć. Pozbawieni raportów telegraficznych z Dardżyling, opieramy się wyłącznie na pogodowej wiedzy Szerpów, która okazuje się zaskakująco trafna. Mówią, że dobra pogoda będzie panować przez co najmniej kilka najbliższych dni.

Kits bez końca tłumaczy Garrardowi coś, co ma związek z jego rakami. Wierny przyjaciel udaje zainteresowanie. Wygląda na zdenerwowanego. Cienie pod jego blisko osadzonymi oczami są

wyraźniejsze, jakby nie spał w nocy.

Cotterell i McLellan poganiają kulisów, którzy nadal stoją przy głazie koło jeziora, rozrzucając wokół tsampę i śpiewając swoje pozbawione melodii modlitwy. Wygląda na to, że tym razem McLellanowi to nie przeszkadza. Może i on się modli.

Wszystkich dwunastu Szerpów będzie się wspinać razem z nami. Stanowią zgrany zespół i wygląda na to, że większość z nich jest spokrewniona. Nima jest wujkiem, bratem, kuzynem albo zięciem, teściem czy szwagrem każdego z nich. Pozostali kulisi pod wodzą McLellana będą nosić zapasy między niższymi obozami a bazą.

Wyruszamy. Do pagórka czeka nas dwugodzinna wspinaczka. Cedric idzie z nami, tak jak się spodziewałem.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, doktorze Pearce – mówi Cotterell. – Będzie dodatkowym ciężarem. – Odwraca się w stronę McLellana, który idzie aż na pagórek, aby nas odprowadzić. – Gdy będziesz wracał do bazy, stary druhu, będziesz go musiał zabrać ze sobą.

– Oczywiście, sir – mówi Szkot, ale za plecami majora mruga do mnie porozumiewawczo. Pewnie zgadł już, że Cedric nie pozwoli się ode mnie oddzielić.

I dlaczego właściwie zwierzę nie miałyby iść z nami, jeśli samo tego chce? Na północnej ścianie Bauer zabrał psa na wysokość siedmiu tysięcy trzystu metrów. Poza tym będę miał okazję porównać, jak na tej wysokości zachowuje się organizm człowieka i psa. Poza tym zwierzak dobrze wpływa na morale. Szczególnie moje.

Bo prawda jest taka, że potrzebuję Cedrika. To, co wczoraj widziałem, oddziela mnie jakoś od pozostałych. Co dziwne, McLellan najwyraźniej to rozumie, chociaż nie wie do końca dlaczego.

Żałuję, że nie powiedziałem mu wczorajszej nocy, kiedy była

dobra okazja. Przy obiedzie byłem zbyt zszokowany i zmieszany, by się odezwać do kogokolwiek. Ale później, gdy zajrzałem do namiotu McLellana, by go zbadać, ten zapytał, co się dzieje.

– Co masz na myśli? – odparłem z ożywieniem.

Wyglądał na zawstydzonego.

– No, sam nie wiem. Przy obiedzie w ogóle się nie odzywałeś. Wyglądasz, jakbyś... zobaczył ducha.

– Ducha – powtórzyłem bezwiednie.

Ze smętnym uśmiechem uniósł unieruchomioną rękę.

– To nie jest żaden omen, no nie? W sensie, przed wspinaczką. To tylko mój głupi błąd.

Przyszło mi nawet do głowy, że oto pojawia się okazja, by mu powiedzieć. Mógłbym to zrobić w lekkim tonie: „Przedziwna rzecz przydarzyła mi się przy jeziorze. Czy to nie zdumiewające, co mózg człowieka potrafi wyczarować w przededniu wspinaczki?”. A potem obaj byśmy się pośmiali i miałbym to już za sobą.

Zamiast tego poklepałem go po ramieniu i zmusiłem się do uśmiechu.

– Wcale nie głupi, staruszkule, po prostu pechowy. A o mnie się nie martw, ja nie wierzę w znaki.

To prawda, nie wierzę. Ale teraz żałuję, że przegapiłem swoją szansę, by mu o wszystkim powiedzieć. Przecież na tamtej skale coś widziałem, więc dlaczego teraz wolę siedzieć cicho?

Otóż głównie dlatego że nie chcę, aby ktoś sobie pomyślał, że ta wysokość zaczyna działać na moje nerwy. Szczególnie Kits. Uczepiłby się tego, a wtedy gdzie bym się znalazł? Uwięziony w bazie, oto gdzie.

Gdyby tylko tamto się nie poruszyło... Widzę w wyobraźni, jak usuwa się z pola widzenia. Zbyt wolno, by było to spadanie, raczej świadome ukrycie. I sam sposób, w jaki się ruszało... To nie było normalne.

Próbuję przestać o tym myśleć, ale cały czas wraca. Przesadą byłoby powiedzieć, że się boję. Może jestem trochę zalękniony. Nie mogę pozbyć się uczucia, że tam na górze jest coś, co na nas czeka.

Ale wiem też, że to niemożliwe; to po prostu niedobór tlenu wpływa na moje postrzeganie – podobnie jak dziwaczne wierzenia Szerpów, którymi mój umysł jest wciąż dręczony. Tak samo jak widokiem tamtych piekielnych grobów wyprawy Lyella.

Właśnie dotarliśmy na wzniesienie. Nima zapalił kadzidełko przed każdym kopczykiem, ściągnął swoją wełnianą czapkę i się pokłonił. Wiedziony impulsem podszedłem i dołożyłem po kamyczku do każdego z kopców – szybko, nie odczytując nazwisk. Na szczęście.

Uradowało to Kitsa. Myślę, że uznał to za gest dobrej woli: mój sposób oddania hołdu Lyellowi. Raz jeszcze sprawy między nami zostały przyklepane. Zakopaliśmy topór wojenny, a może raczej czekan. To dobrze, bo od teraz będziemy razem walczyć przeciwko górze. Garrard, Kits, Cotterell i ja.

Naprawdę żał mi McLellana. Gdybym to ja był tym pechowcem zostawionym w bazie, byłbym zrozpaczony. I ta myśl, co dziwne, dodaje mi sił, bo oznacza, że wcale nie jestem tak strasznie roztrzęsiony po tym, co zobaczyłem wczoraj. Nadal bardzo chcę wspiąć się na tę górę.

Nawet jeśli nasza droga ma prowadzić prosto przez tamto urwisko.



NIE MA TO jak wspinaczka, by pozbyć się demonów.

Pogoda jest idealna: słoneczna, ale jest też wystarczająco dużo

chmur i wiatru, by upał nie stał się nieznośny. Mamy zamiar wyrąbać stopnie w śnieżnym zboczu i założyć obóz pierwszy tam, gdzie to zrobił Lyell – na około dwóch trzecich wysokości zachodniej strony Garbu.

Garrard, Kits i ja tworzymy awangardę. Wraz z nami idą najlepsi spośród Szerpów: Nima, Dorjit, Cherma, Tenrit, Angdawa i młody Pasang. Oprócz wyrąbywania stopni rozstawiamy też liny i flagi orientacyjne, aby stworzyć coś, co nazwalismy „szlakiem tragarzy”. To pozwoli grupie z zaopatrzeniem pójść naszym śladem.

Cotterellowi nie podoba się wbijanie haków, mówi, że w ten sposób szpecimy górę „kowalskim żelastwem”. Ale Nimie to najwyraźniej nie przeszkadza. Mówi mi, że liczy się tylko to, by nie okazać gorze braku szacunku.

– Nigdy nie mów jej złego słowa, doktor sahib. Nigdy jej nie kop w złości.

Stok jest bardziej stromy, niż się wydawało z dołu, a chociaż nie ma szczególnych trudności technicznych, to okazuje się, że w większości leży tu lód, a nie śnieg. A ten lód jest twardy, o wiele twardszy niż w Alpach, więc wyrąbanie każdego stopnia to ciężka praca. Moje serce łomocze, w gardle mi zaschło od nieustannej zadyszki, a mimo grubej warstwy Penatenu moja twarz wygląda jak spękana ziemia. Ale to dobrze. Tego właśnie chciałem.

Robię przerwę, by zaczerpnąć tchu, i zdejmuję okulary lodowcowe. Od blasku słońca odbitego od śniegu oczy zaczynają mi łzawić, ale choć przez chwilę chcę zobaczyć otoczenie takim, jakie jest naprawdę. Wokół widać fantazyjnie wyrzeźbione masywy lodowe, lśniące jak białe diamenty, poprzątkane gdzieś urzekającymi szafirami. Powietrze jest dojmująco czyste. Mam wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć szczytów strażniczych.

– Z czego się tak cieszysz? – dyszy Garrard pode mną.
– Wspinamy się na Szklaną Górę – mamroczę spękanymi ustami.

– Na co?

Nad nami Kits zaczyna się śmiać.

– Nie przejmuj się nim, Dziobie! On jest szalony!

Odpowiadam śmiechem, z trudem łapiąc oddech. Widzę, że Kits wie, o czym mówię. Kochał tę opowieść tak jak ja, chociaż dzisiaj nigdy by się do tego nie przyznał.

Jakiś czas później zatrzymujemy się w plamie błękitnego cienia, by zjeść szybki lunch złożony z ciasta miętowego i pierniczków, popijanych herbatą z termosu. Po posiłku zostaję z tyłu z grupą wspierającą, czyli z Cotterellem, Lobsangiem i pozostałymi pięcioma Szerpami.

Cotterellowi wyraźnie brakuje tchu, trzeba go będzie obserwować. Zastanawiam się, czy do głosu nie dochodzi już jego wiek. Ale Szerpowie są niesamowici. Nie potrafię pojąć, jak ci niscy i drobni ludzie mogą wspinać się z tak wielkim obciążeniem. Myślę, że oficer medyczny Bauera, doktor Hautmann, może mieć rację, że jest coś takiego w ich krwi, co pozwala im lepiej znosić niedobory tlenu.

Ja z pewnością nie dałbym rady dźwigać jednej z tych skrzyń ani *doko* wypełnionego drewnem na opał. Mój plecak z pewnością waży mniej niż dziesięć kilogramów, ale czuję, jakbym niósł przynajmniej tonę. Każdy krok stanowi wysiłek, chociaż tak naprawdę wcale się jeszcze nie wspinamy, a jedynie mozolnie wlecemy pod górę stromym zboczem. Wbijając raki w lód i opierając się na głowicy czekana jak na lasce, udaje mi się podciągać. I znowu. I znowu. Ale wdzięczny jestem za ten prawdziwy, pozbawiający tchu znój. Dzięki niemu znikają wszystkie myśli o... cóż, o czymkolwiek innym.

Cedric jest niezwykle pomocny. Kiedy skończyliśmy lunch,

zobaczyłem go, jak wspina się do nas na górę, tak jak miałem nadzieję. Merda kosmatym ogonem i jest bardzo zadowolony, że udało mu się nas znaleźć.

Szerpowie wspierali się na czekanach, śmiejąc się od ucha do ucha, a Cotterell usiłował przybrać surowy wyraz twarzy.

– Teraz nie możemy go odesłać – powiedziałem. – Gdyby coś mu się stało, wszystkich by to przybiło!

Cotterell się uśmiechnął.

– Więc taki jest pana argument, doktorze? Maskotka, która zwiększa morale oddziału?

– Zdecydowanie! Sam będzie wiedział, kiedy już nie da rady, a wtedy Szerpowie będą mogli znieść go do bazy.

Cedric zerkał to na mnie, to na Cotterella.

– Ale pan za niego odpowiada, doktorze Pearce.

Tak więc wszystko ustalone. Zrobiłem dla Cedrica uprząż z liny, skrzyżowałem ją na jego grzbiecie i wokół przednich łap. Jeśli wpadnie w tarapaty, będziemy mogli go wygodnie holować. I miałem rację, faktycznie poprawił nasze nastroje. Stąpa zadziwiająco pewnie i cały czas kursuje między jednym zespołem a drugim, najwyraźniej przekonany, że jego obowiązkiem jest dbać, by nikt z nas się nie zgubił.



Po LUNCHU wspinaczka nie była już taka prosta. Musieliśmy pokonać kilka podstępnych trawersów przecinających wypełnione śniegiem szczeliny i gigantyczne odpęknięte głazy. Nagle Pemba dostał w udo spadającym kawałkiem lodu. Na szczęście skończyło się na dużym siniaku, ale kiedy go obejrzałem, zerknąłem w tył i daleko w dole dostrzegłem kogoś idącego za nami „szlakiem tragarzy”.

Wy tłumaczyłem sobie, że najwyraźniej McLellan wysłał gońca z bazy; ale gdy wspinaliśmy się wyżej co i rusz spoglądałem przez ramię na tę sylwetkę i cały czas ją tam widziałem. Szła za nami.

Wreszcie spojrzełem przez lornetkę – i okazało się, że to bryła lodu. Zszokowało mnie, jak wielką ulgę poczułem. A co innego miałoby to być?

Zanim przedarliśmy się przez ostatni odcinek drogi, pierwszy zespół zdążył już rozbić namioty i zaczął topić na gazowych prymusach całe rondle lodu na herbatę.

Twarz Kitsa jaśniała z radości, jaką dawała mu wspinaczka. Zaczął się z nami droczyć, że dotarliśmy tak późno.

– Tacy jak wy zrobią wszystko, żeby wymigać się od roboty!

Obóz pierwszy rozbity jest na szerokim tarasie po zachodniej stronie Garbu. Jest zimny, głośny i nieosłonięty. Płótna namiotów powiewają na wietrze ryczącym ponad Siodłem. Jest jednak sporo miejsca, przed namiotami rozciąga się kilka metrów płaskiego śniegu, a od lawin chroni nas przewieszony fragment Garbu.

Szerpowie z zespołu pomocniczego ruszyli jakiś czas temu w dół szlaku, aby dotrzeć do bazy przed zmierzchem. Jutro z samego rana zaczną wędrówkę ponownie, z kolejną porcją ładunków. Cotterell chce, by krążyli między bazą i obozem pierwszym, póki nie uda się zgromadzić tu wystarczającej ilości zaopatrzenia, byśmy mogli założyć wyższe obozy.

Od teraz śpimy w namiotach po dwóch – Kits z Garrardem, a ja z Cotterellem. Zostawiłem go w naszym namiocie, gdzie uzupełnia swój dziennik, i wyszedłem, by skorzystać z ostatnich promieni słońca i pobyć chwilę w samotności.

Kiedy tylko opuszczam osłonę namiotów, czuję, że wiatr tnie jak nóż. Rozbryzgi śniegu atakują mnie z sykiem, usztywniając moją wiatrówkę, kiedy próbuję dojść do miejsca, z którego będę

mógł ocenić, jak wysoko doszliśmy. Powinienem był założyć moją kominiarkę. W ciągu kilku sekund wiatr wrywa resztki ciepła z mojej twarzy i czuję, że mróz rozsadza mi czaszkę. Otulam głowę grubym szalikiem i zakładam kaptur.

Stoję przodem do namiotów i zadzieram głowę, by widzieć oszałamiającą ścianę ze skały i lodu wznoszącą się przez jakieś dwa tysiące metrów aż do Kanczendzongi Zachodniej, jednego z niższych wierzchołków. Po mojej prawej stronie obserwuję lśniący chaos Górnego Lodospadu skąpany w ostatnich promieniach słońca. Gdzieś wyżej jest tamta wystająca skała. Tam będziemy kierować się jutro. Na szczęście jest zasłonięta przez Garb i stąd jej nie widać.

Odwracam się plecami do namiotów i mozolnie sunę do krawędzi tarasu. Dotarliśmy wyżej, niż przypuszczałem. Od patrzenia w dół śnieżnego zbocza dostaję zawrotów głowy. Daleko w dole z trudem dostrzegam czarny zarys „wzgórza cmentarnego” z grobami członków wyprawy Lyella.

Dalej już chyba nie podejść. Jestem prawie pewien, że pod mną znajduje się solidny lód, ale dzisiaj zobaczyłem już sporo nawisów ze śniegu nawiewanego falami w rozrzedzonym powietrzu. Jeden krok za daleko i lód może się załamać, a człowiek zwali się w ciemność przepaści. Kiedy patrzę w dół, czuję, jak ta myśl zaczyna we mnie narastać z jakąś chorobliwą fascynacją. Gdybym tak spadł...

Kiedy Kits i ja byliśmy chłopcami, nieustannie dręczyliśmy ciotkę Ruth, by nam opowiedziała o tragedii na Matterhornie. Nigdy nie mieliśmy jej dość, a że byliśmy żądni krwi jak dzikie bestie, zawsze domagaliśmy się szczegółów. Czterech towarzyszy Whympera związanych było jedną liną, kiedy spadli tysiąc dwieście metrów w dół: uderzając o klify, lecąc dalej i uderzając znowu. Siła upadku pozbawiła ich ubrań i porwała ciała na strzępy. Jednego z nich rozpoznano wyłącznie po

bucie, drugiego po różańcu wbitym w szczękę.

Słońce niknie za zachodnimi szczytami i w mgnieniu oka na śniegu zapada ciemność. Kiedy stałem odwrócony, nadciągnęły chmury i nie widzę teraz namiotów. Ostrożnie, Stephen. Jeśli pójdziesz w niewłaściwym kierunku, znajdziesz się w tarapatach.

Z pełną świadomością próbuję się obrócić dokładnie o sto osiemdziesiąt stopni i ruszam w stronę, gdzie, jak sądzę, są namioty.

Czuję ulgę, kiedy ich zarysy wyłaniają się z mgły. Teraz mogę spojrzeć na wczorajszą historię z właściwej perspektywy. Na dole, nad jeziorem, sam siebie głupio nastraszyłem. Teraz bardzo się tego wstydzę. Zobaczyłem skałę, która kształtem przypominała głowę człowieka. Dlaczego pozwoliłem, aby wytrąciło mnie to z równowagi?

Dzisiaj naga rzeczywistość góry pozwoliła mi się otrząsnąć z tych nonsensów. Charles Tennant miał rację, przytaczając nazwę, jaką nadali jej Lepczowie: „Wielki kamień”. Tylko tym jest Kanczendzonga. Ale nie miał racji, że się jej bał. Góra może mieć pozory życia za sprawą wiatru, szelestu namiotów i dalekiego rumoru lawiny na Siodle – ale te odgłosy są tylko pozorami. „Nie ma tam żadnego życia”. Ani żadnej grozy. Szerpowie się mylą. Góra nie ma swojego ducha, nie ma zmysłów, nie ma myśli. Nie próbuje nas zabić. Ona po prostu jest.

Może właśnie to nas przeraża. Będąc na górze, konfrontujemy się z tą rozległą, bezmyślną rzeczywistością, która zawsze jest obecna gdzieś tuż za naszym światem ludzkich spraw, którymi okrywamy się jak narzutą chroniącą przed chłodem. Nic dziwnego, że wdzierając się w góry, tworzymy sobie fantomy. Łatwiej się z nimi uporać niż z tym pozbawionym życia bezkresem.

Coś szturcha mnie w udo. To Cedric, wpatrujący się we mnie swymi ciepłymi, bezrozumnymi, brązowymi oczami. Dłonią w rękawicy usiłuję go niezgrabnie pogłaskać za uchem.

Czas wejść do namiotu i się ogrzać. Dość mam na dzisiaj bezkresów.

11.



GDY WPADLIŚMY z Cedrikiem do namiotu Garrarda i Kitsa, kakao było już gotowe, a na drugim palniku parował obiad. Wewnątrz panowała ciasnota, ale przy temperaturze minus pięciu stopni przynosiła specyficzne ukojenie, tak jak i zapach wilgotnych ubrań, parafiny, niemytych mężczyzn i psa. Syk maszynek gazowych był donośny, a wszyscy wokół kasłali; na takiej wysokości chrypka jest w zasadzie w dobrym tonie.

Nikt nie był głodny – nie jest się głodnym, będąc tak wysoko – ale wmusiliśmy w siebie owsiankę z suszonymi morelami, dżemem śliwkowym i herbatnikami. Nikt nie miał ochoty na mięso, raczej na coś słodkiego, tylko Cedric wtrząchnął puszkę kiełbasek.

W bladej żółtawej poświacie wyglądaliśmy jak grupka włóczęgów: brud za paznokciami, skołtunione włosy i brody, spękana brązowa skóra na twarzy. Po tym jak zjedliśmy, siedzieliśmy w męczącej ciszy, topiąc więcej śniegu i wypełniając nim termosy na poranną herbatę. Później Cotterell i ja wróciliśmy do naszego namiotu.

Na tej wysokości wszystko zdaje się trwać wieki. Najmniejsze zadanie urasta do gigantycznych rozmiarów. Spędziłem właśnie bite pół godziny na zdejmowaniu ocieplaczy i butów. Bogu dzięki, mój śpiwór był już zapięty z boku i mogłem szybko się do niego wślizgnąć. Cotterell nadal walczy z zapięciami, słyszę też, jak w sąsiednim namiocie Garrard i Kits głośno zasuwiają zamki, kaszląc przy tym i klnąc. Namiot Szerpów jest natomiast cichy jak grób, nie słychać nawet fletu Nimy.

Leżę z Cedrikiem rozłożonym w poprzek moich stóp niczym duży włochaty dywanik. Pozwala mi nie myśleć o Cotterellu, który od czasu do czasu przestaje oddychać na niepokojąco długo. Mnie też się to zdarza. To drobny objaw choroby wysokościowej, znany jako oddech Cheyne'a-Stokesa. Nie jest przyjemnie, kiedy człowiek musi walczyć o oddech, a jeszcze gorzej jest słuchać, jak zdarza się to komuś innemu.

Zapalam latarkę i sprawdzam, co u Cotterella. Głęboko śpi, wokół jego ust nie widać sinej obwódki. Wyłączam latarkę i czuję, jak ciemność naciska na moją twarz jak dłoń.

Trudności z zasypianiem to kolejny objaw. Raz po raz odpływam, by zaraz wybudzić się z powodu palpacji serca. Nawet gdy przewracam się na drugi bok, serce natychmiast zaczyna mi łomotać. A jesteśmy dopiero na wysokości sześciu tysięcy metrów. Przed nami jeszcze ponad dwa i pół tysiąca.

Weź się w garść, Stephen, staruszkule. Europejczycy dają radę. Norton na Evereście dotarł na osiem i pół tysiąca metrów. A w zeszłym roku tamten facet w monoklu przeleciał ponad szczytem i przeżył, o czym zaświadcza jego własna opowieść oraz nieco zbyt bez troski i radosny film.

Zaciągnąłem maksymalnie sznureczki śpiwora, wystaje mi tylko nos. Kiedyś nie znośiłem takiego spania, ale teraz już mi nie przeszkadza. Wciśnięty w dwa puchowe śpiwory, w kominiarce z szetlandzkiej wełny, czapce uszance z owczej

z klapami zawiązanymi ciasno pod podbródkiem, jestem praktycznie głuchy – i bardzo dobrze. Nie chcę słyszeć, jak oddech Cotterella zamiera. Nie chcę być świadomy tego bezkresu na zewnątrz.



– NASZE ZADANIE na dzisiaj to wspiąć się na szczyt Garbu, przeciąć Górny Lodospad i założyć obóz drugi nad stromymi polami lodowymi – oznajmił Cotterell przy śniadaniu.

Pokonanie Lodospadu było wyczerpujące. Cały ranek przedzieraliśmy się przez zacienione żleby i wspinaliśmy po sznurowych drabinkach zawieszonych na lodowych iglicach, aż wreszcie stanęliśmy na płaskim płacie lśniącego śniegu, szerokim prawie na kilometr. Marzyliśmy o odpoczynku, ale nie mogliśmy się tam zatrzymać z obawy przed lawinami.

Kits dostrzegł właśnie łatwe wejście na strome pole lodowe. Mówi, że to zaledwie godzina wspinaczki. Uświadamiam sobie z ulgą, że to pierwszy raz, kiedy pomyślałem o Skale od czasu śniadania.

Wysłaliśmy Szerpów przodem, by wyrąbali stopnie na ostatnim odcinku, a my, czterej sahibowie, wyjęliśmy sprzęt, żeby się trochę powspinać. Chociaż w zasadzie trudno nazwać to wspinaczką; po prostu wchodzimy po stopniach wyrąbanych w lodowym zboczu o wysokości dziesięciopiętrowego budynku, drogą oznaczoną traserami – szkarłatnymi flagami na bambusowych tyczkach. Potrzebujemy ich, bo pogoda stopniowo się pogarsza.

Kits prowadzi, potem Garrard, potem ja, wreszcie Cotterell. Mamy liny, ale się nie asekurujemy, bo jak mówi Kits: „Bieganie po schodach tego nie wymaga”.

Biegać się nie da. Własny strudzony oddech dzwoni mi w uszach. Czekanem odłupuję lodowe odłamki, które lecą w dół z tym dziwnym rozedrganym echem, które zawsze brzmi nieco złowieszczo. Jest coś hipnotycznego w obserwowaniu, jak wirują i roztrzaskują się na Garbie, setki metrów niżej.

O wiele bliżej słyhać kaszel Cotterella i chrobot pazurów Cedrika. Bóg raczy wiedzieć, jak wysoko ten pies zamierza za nami wleźć. Gdy dotrzemy do obozu drugiego, będę go musiał wysłać do bazy, prawdopodobnie związanego w koszu Szerpów, aby nie mógł uciec.

Grań jest wąska, a po mojej prawej stronie pojawia się i znika we mgle stromy stok prowadzący w stronę Garbu. Garrard i Kits nade mną też co chwila znikają. Trudno ich odróżnić, obaj ubrani są w szare gabardynowe stroje do wspinaczki, z długimi troczkami zwisającymi z ich kapturów. Nie wyglądają jak ludzie. Twarze mają białe od Penatenu, a okulary lodowcowe nadają im wygląd upiorów o obojętnym spojrzeniu.

W każdym razie trudno byłoby ich odróżnić, gdyby nie niepowtarzalny styl Kitsa. Minęło kilka lat, odkąd po raz ostatni się z nim wspinałem, i zapomniałem już, jaki jest w tym dobry. W górach staje się zupełnie innym człowiekiem. Znika ta jego szczeniacka hałaśliwość, która w wieku trzydziestu siedmiu lat sprawia wrażenie nieco wymuszonej. Jest całkiem skupiony i ma ten trudny do zdefiniowania szósty zmysł, który wspinacze określają jako „czucie góry”. Porusza się też inaczej, z jakąś płynnością i kocią gracją, która wedle słów Cotterella przypomina Mallory’ego. Nie wiem, nie miałem tego szczęścia, by widzieć, jak Mallory się wspina, ale obserwując teraz Kitsa, czuję zaskakujące ukłucie rodzinnej dumy.

- To nie sposób, w jaki się porusza, czyni go tak wspaniałym wspinaczem – powiedział do mnie cicho Garrard po śniadaniu.
- To raczej fakt, że możesz być pewnym, absolutnie pewnym, iż

nigdy cię nie zawiedzie.

Mówił z uderzającym ożywieniem, rzuciłem mu więc zdziwione spojrzenie. Przez niesforną blond brodę jego „dziób” był jeszcze bardziej widoczny, a w jego blisko osadzonych oczach pojawił się błysk, który kazał mi zacząć się zastanawiać, czy jego uczucia do Kitsa nie wykraczają poza przyjaźń. Jeśli tak, byłoby mi go żal. Zastanawiam się też, czy Kits o tym wie.

Patrząc w górę, widzę, że Garrard najwyraźniej zboczył z drogi. Powinien być po drugiej stronie trasera, chociaż przy tej mgle nie mam pewności.

Patrzę na niego spod zmrużonych powiek, kiedy nagle śnieg pod jego prawym butem obsuwa się z trzaskiem, a on sam spada za krawędź skały. Spada bez żadnego dźwięku. Nie ma czasu na myślenie. Wbijam czekan z całą siłą, na jaką mnie stać, i okręcam wokół niego linę, po czym kładę się na niego całym ciężarem. Poniżej słyszę jakiś trzask i mam nadzieję, że to Cotterell wbija swój czekan. Kolejny trzask wyżej. Czy to Kits wbija swój?

Wszystko trwa nie dłużej niż sekundę, ale mam wrażenie, że mijają całe godziny. Potem mój czekan drży gwałtownie, gdy przyjmuje na siebie cały ciężar ciała Garrarda. Przyjmuje i wytrzymuje.

Dzieje się to błyskawicznie. Potem zapada długa niespokojna cisza. Słysząc brzęk spadającego lodu, tłukącego się jak szkło. Potem Garrard powoli wspina się z powrotem.

– Przepraszam, chłopaki! Przepraszam!

Zaczynam czuć bolesny siniak, który czekan nabił mi na brzuchu. Cotterell wspiał się do mnie i poklepuje mnie teraz po plecach.

– Dobra robota, doktorze Pearce, naprawdę dobra robota!

Wszyscy trzej szczerzymy się i poklepujemy z ulgą, a Cedric szczeka i próbuje zlizać Penaten z naszych twarzy.

– Co się tam dzieje na dole?! – krzyczy Kits, ledwie widoczny we mgle. – Słyszałem trzask...

– Źle stanąłem! – wrzeszczy Garrard. – Mało brakowało!

– Chryste, Dziobie, wszystko z tobą w porządku? – Twarz Kitsa stężała z niepokoju, a Garrard czerwieni się z zadowolenia.

– W porządku! Czuję się jak cholerny głupek!

Kits się śmieje.

– Cholerny głupek, zgadza się! Następnym razem patrz, co robisz!

– Wiem, idiota ze mnie! Gdyby nie Stephen, byłoby po wszystkim!

Uśmiech Kitsa zamiera.

– Dobra robota, Stephen.

Czy tylko mi się wydaje, czy mówi to w wymuszony sposób? Chyba nie jest zazdrosny?

Zanim ruszymy dalej, szybko badam Garrarda. Ma kilka obtarć od liny i paskudne stłuczenie w pasie (ma szczęście, że nie złamał żeber) i jest chyba bardziej roztrzęsiony, niż chciałby przyznać.

Wszyscy jesteśmy. To stało się tak szybko, a zaczęło od jednego małego błędu. Zawsze tak jest. Słyszeliśmy wszystkie te historie: upuszczona rękawica, hak lekkomyślnie wbity w rozmiękły lód... Ale jest inaczej, kiedy przydarzy się to tobie. Zdajesz sobie sprawę wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej, że na górze najbardziej liczą się twoi towarzysze.

Chociaż to też nieprawda, ważniejszy jest ślepy traf. Gdyby lina między Garrardem i Kitsem nie była przypadkowo dłuższa niż między mną a Garrardem, upadek tego ostatniego strąciłby z góry również i Kitsa, a wtedy albo lina zerwałaby się pod ciężarem dwóch mężczyzn, albo mój czekan by nie wytrzymał i wszyscy bylibyśmy zgubieni.

Czujemy ulgę, że udało nam się dotrzeć do obozu drugiego. Mimo naszych planów jest dokładnie tam, gdzie drugi obóz Lyella – innymi słowy, tuż pod Skałą. Dotarliśmy tu zbyt późno, by rozbić się ponad nią. A obiekcje Kitsa w sprawie tego miejsca, tak poważne na dole, na „wzgórzu cementarnym”, po drodze całkiem stopniały. To pewnie dlatego że Cotterell uważa ścianę wysoką na trzydzieści metrów za dobrą ochronę przed lawinami. A co mówi Cotterell, Kits przyjmuje.

Jestem zbyt zmęczony, by się tym przejmować. Wypadek Garrarda sprawia, że patrzę na sprawę z właściwej perspektywy. Cokolwiek widziałem wtedy z bazy, jest tak odległe, jakby zjawilo się setki lat temu. Nie ma teraz żadnego znaczenia. Liczą się tylko moi towarzysze i świadomość, że jeśli to mnie zdarzy się wypadek, będę mógł na nich liczyć – tak jak oni mogą liczyć na mnie.

W obozie drugim wieje jeszcze bardziej niż w pierwszym. Panuje tu niemiły ścisk i tylko kilka metrów przed namiotami dzieli nas od gwałtownego spadku w stronę Garbu. Po lewej stronie, gdy stoję przodem do obozu, widzę wierzchołek Garbu wiszący nad zygzakowatą szczeliną, którą widziałem ze wzgórza. Całe szczęście, że idąc tutaj, nie musieliśmy jej przekraczać, bo dało się ją obejść.

To dziwne uczucie, znaleźć się na wąskiej półce otoczonej całą tą rozległą przestrzenią. Od czasu do czasu nadciągają chmury i nic nie widać, a to dość niepokojące, bo nadal czuje się pustkę wokół. Potem chmury się rozwiewają i nagle w dole widać przerażającą czeluść, a powyżej nie mniej przerażającą ścianę. Przejście między widzeniem a niewidzeniem jest tak gwałtowne, tak ciche... To dezorientujące.

Lobsang i inni Szerpowie ruszyli w dół szlakiem do obozu pierwszego, a Tenrit, Cherma, Angdawa, Dorjit, Pasang i niestrudzony Nima stłoczyli się w swoim namiocie

i podgrzewają tsampę na prymusie. Ci ludzie mnie zdumiewają. Nie licząc kilku obtarć i siniaków, są w doskonałej formie.

Dzisiaj kolej moja i Cotterella, by pełnić rolę gospodarzy. Jemy dość obrzydliwą zupę z suszonym mięsem i jajkami w proszku, ciasto miętowe i pudding z tapioki polany melasą i marynowaną limonką (to mój pomysł na dostarczenie witaminy C). Popijamy wywarem pomysłu Cotterella: pastylki miętowe rozpuszczone w mleku jęczmiennym Horlicka. Znakomicie nadaje się do maczania pełnoziarnistych herbatników i szybko staje się naszym przysmakiem. Bóg raczy wiedzieć, jak to rujnuje nasze zęby.

Nadal jesteśmy nieco podenerwowani po wypadku Garrarda i mówimy jeden przez drugiego.

– Jeśli pogoda się utrzyma, powinniśmy dotrzeć na Wielką Półkę w ciągu dwóch, trzech dni...

– Cedric, zmykaj...

– Szczerze, wolałbym zrobić to bez butli z tlenem. To nie wydaje mi się fair. A przez te maski człowiek jest przerażająco odcięty od świata...

– Tak, ale na Evereście butle pomogły...

– Bauer uważa, że to tylko osłabia.

– To Niemiec – kwituje Kits. – Oni uważają, że wszystko osłabia.

Wybuchamy śmiechem.

– Co pan sądzi, doktorze Pearce? – pyta Cotterell.

– Obawiam się, że zgadzam się z Bauerem – odpowiadam z uśmiechem. – Nie chciałbym polegać na butlach, ale zatrzymałbym kilka jako nocny środek na wzmocnienie.

Później wznawiamy odwieczną dyskusję, po co w ogóle człowiek się wspina. Cotterell wspomina McLellana i jego Boga. Garrard szarpie w zażenowaniu dziób i mruczy coś na temat Johna Ruskina i piękna. Ja mówię, że podoba mi się

bezcelowość wspinania: wysiłek jako cel sam w sobie.

Kits spogląda na mnie z pozornie przyjazną irytacją, która nie jest ani trochę przyjazna.

– Na Boga, Partaczu, to jest góra! Nie możesz po prostu się na nią wspiąć? Do diabła z powodem!

– Kits, właśnie to mam na myśli.

Czerwieni się.

– No nie sądzę, aby w ogóle warto było o tym rozmawiać. Trzeba samemu znaleźć odpowiedź i zachować ją dla siebie!

Garrard rzuca mi kwaśne spojrzenie, a Cotterell łagodzi sytuację, rozdając nam po ostatnim herbatniku.

Kits jest obrażony, bo z powodu wypadku Garrarda awansowałem w stadzie. Wolałby trzymać mnie poza tą przytulną małą koterią, jaką sobie stworzyli z Garrardem i Cotterellem. Ciekawi mnie, co im o mnie naopowiadał, zanim dotarłem do Dardżyling.

Rozmowa stała się sztuczna, zająłem się więc mierzeniem wszystkim tętna. Nie zaskakuje mnie, biorąc pod uwagę, że jesteśmy na wysokości prawie sześciu tysięcy siedmiuset metrów, że wszyscy zaczynamy już to odczuwać. Garrardowi dokuczają rwa kulszowa, Kits ma drobne odmrożenia na prawej dłoni, a Cotterell przeziębził nerki. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznał, najwyraźniej marnie się czuje. Wierzy święcie w swoje papierosy przeciwastmatyczne i czerwony flanelowy pas, z którym przetrwał w okopach, ale muszę mieć go na oku – dyskretnie, bo jest przewrażliwiony na punkcie swojego wieku.

Po tym, jak już pozostali wrócili do swojego namiotu, a Cotterell znalazł się w swoim śpiworze, organizuję prowizoryczny termofor, zrobiony z zapasowego gumowego przewodu od butli tlenowej. Cotterell mówi, że czuje się już dużo lepiej, ale ja nie jestem przekonany.

Leżę na boku, zwrócony do niego twarzą, z Cedrikiem

pomiędzy mną a lodowatą ścianą namiotu. Wiatr ciska w nas śniegiem. Brzmi to jak sypanie żużlu, wokół słychać niekończący się łopot tropiku. Jestem wyczerpany, ale też zbyt podekscytowany, by zasnąć.

Zaczynam zdawać sobie sprawę, że wcale nie uciekłem od swojego życia, raczej je znalazłem. Studiowanie medycyny to jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem, niemająca nic wspólnego z Kitsem; ale aż dotąd nie byłem świadom, jak wiele to znaczy. To prawdziwa praktyka medyczna, odległa o miliony kilometrów od szukania pulsu na pulchnych nadgarstkach matron z londyńskiego Knightsbridge.

Chciałbym się dowiedzieć tak wielu rzeczy. Dlaczego Szerpowie lepiej znoszą wysokość niż Europejczycy? Czy się do niej adaptują, czy to dziedziczne? Dlaczego ja nie mógłbym zostać badaczem, który to odkryje?

Poza tym lubię tych ludzi, a im przydałby się dobry doktor. Na wzgórzach minęliśmy kilka wiosek pełnych przyjaznych, niedomytych mieszkańców. Widziałem wiele przypadków zapalenia oka i chorób płuc. Pomogłem, jak się dało, korzystając z zapasów, które mogłem zużyć, ale przecież mógłbym zrobić o wiele więcej.

Kiedy to wszystko się skończy, dlaczego nie miałbym zostać w Indiach, w Nepalu albo w Sikkimie?



BUDZĘ SIĘ natychmiast. Coś jest nie tak. Obudził mnie jakiś dźwięk, ale teraz ucichł. Nie mam pojęcia, co to było, ale czuję strach. Leżę na boku, zwinięty w kłębek, z kolanami pod brodą. Po czasie przebiegają mi dreszcze, oddech mam szybki i płytki. Dlaczego? Co takiego wie moje ciało, czego nie wiem ja?

Wokół mnie panuje cisza, obóz jest nieruchomy. Żadnego wiatru, żadnego chrapania dobiegającego z sąsiednich namiotów. Obudził mnie albo jakiś koszmar, albo lawina, nie słyszę jednak huku spadających kamieni. Jestem przytomny, czuję, jak paznokcie zaciśniętych pięści wbijają mi się w dłoń, czuję kłucie zarostu, kiedy zagryzam dolną wargę. Jest mi zimno, bardzo zimno. Kilka centymetrów przede mną dostrzegam zarys śpiącego Cotterella, ale za moimi plecami nie ma Cedrika, jedynie mroźne płótno tropiku uginające się pod ciężarem śniegu.

Wszystko to przychodzi mi do głowy w jednej chwili, kiedy leżę, wpatrując się w ciemność, zbyt przerażony, by się ruszyć.

Jak przez mgłę, tylko dzięki kontrastom, dostrzegam, że tropik się porusza, a szarawy śnieg wpada mi pod nogi przez celuloidowe okienko w przedniej klapie. Wraz z nagłą falą przerażenia dociera do mnie, że niczego z tego nie słyszę. Ani wiatru, ani łopotu tropiku, ani padającego śniegu, ani nawet oddechu Cotterella. Tylko mój własny paniczny oddech. Rzeczywistość zniknęła jakby z falą odpływu, zostawiając mnie uwięzionego za tym murem ciszy.

Chwilę później wiem to z niezachwianą pewnością. Coś jest przed namiotem.

Chciałbym obudzić Cotterella, ale nie mogę. Nie mam śmiałości wyciągnąć ręki, boję się choćby ruszyć. A teraz już słyszę – czy raczej wyczuwam w tej ciszy – że coś jest na zewnątrz, tuż za mną. Skrzypienie stóp na zmarzniętym śniegu, powolny, urywany krok – nie, to nie kroki, brzmi to... brzmi, jakby coś poruszało się na czterech łapach.

Gdybym usiadł i wyjrzał przez okienko... Ale nie potrafię. Nie mogę znieść myśli o tym, co mogę tam zobaczyć.

Teraz słyszę szelest i trzask zamarznętej kurtki. Wstało na dwie nogi. Jest znacznie bliżej, tuż za mną. Dzieli nas tylko

cieniutka warstwa tropiku.

Odgłosy ustają. Zapada szokująca cisza.

Zmuszam się do obrócenia i spoglądam na przednią klapę. Serce mi zamiera. W okienku pojawia się czyjaś głowa. Jest nieruchoma. Jest blisko. A jednak nie widzę mgiełki parującego oddechu. Był za mną, a teraz jest tutaj.

Nie mogę się ruszyć. Moje kończyny są tak sztywne, jakby zamarzły. Przez chwilę nie mogę się zmusić nawet do patrzenia. Mocno zaciskam powieki. Kiedy otwieram oczy, głowy już nie ma.

Jakby czar się rozwiął, nagle słyszę wiatr i łopot tropiku, a także chrapliwy oddech Cotterella. Mogę się ruszać. Wypełzam ze śpiwora i zakładam wiatrówkę, przeciwwiatrowe spodnie, buty. Próbuję namacać latarkę, ale nie mam śmiałości jej zapalać. Wciągam rękawiczki, a drugą parę upycham w kieszeni razem z latarką. Przez chwilę zmagam się z zamarzniętymi sznurkami namiotu. Czuję, jak serce obją mi się o żebra, ale się nie waham. Muszę wiedzieć.

Niebo jest czarne. Nie ma księżyca, gwiazdy widać gdzieś w plamach pomiędzy chmurami. Wiatr z sykiem unosi mroczny, szary śnieg. Koło namiotu nie ma nic.

Wypełzam na zewnątrz, prostuję się. Robię kilka kroków, by się upewnić.

Słyszę trzeszczenie zmrożonego płótna namiotu, a potem na śnieg pada promień żółtawego światła.

– Stephen? – W wejściu do namiotu ukazuje się głowa Kitsa otoczona kłębami parującego oddechu. – Co robisz? – pyta szeptem.

Włączam latarkę i lustruję śnieg wokół mojego namiotu. Jest nieskazitelny. Żadnych odcisków stóp. Tylko kilka śladów moich własnych chwiejnych kroków. Wyłączam latarkę i rozglądam się po obozie, przepatrując namioty, szare zwały

naszych zapasów, a potem wyżej...

Jest tam, na szczycie urwiska. Ciemny kształt na tle gwiazd. Przerazająco obecny. Sylwetka w kapturze i sprzęcie do wspinaczki.

Aż do tej chwili mogłem jeszcze przekonać samego siebie, że to był tylko sen, ale nie teraz, kiedy stoję tu z Kitsem za plecami, a wiatr ciska mi w twarz śnieg ostry jak szkło.

– Stephen! Co się dzieje?

Patrzę na niego przez ramię, a potem wracam wzrokiem do ściany. Postać zniknęła. Ale była tam. Widziałem ją. A Kits nie widział. Tylko ja.

Odchrząkuję.

– Nic – odpowiadam ochrypłym głosem. – Nic się nie dzieje.

12.



To NIE MOGŁA być halucynacja spowodowana chorobą wysokościową, bo ta prawie wcale mi nie dokucza. Mam lekkie mdłości i czasem brakuje mi tchu, ale to tylko drobne objawy.

Gdybym miał za sobą doświadczenia wojenne we Flandrii, jak Cotterell, mógłbym zrzucić to na karb tamtej traumy. Wyparte wspomnienia powracają na powierzchnię z nieświadomości. Ale ja nie muszę niczego wypierać. Naprawdę słyszałem hałasy na zewnątrz namiotu. Nie wymyśliłem ich sobie ani nie wyśniłem. Miałem racjonalny powód, by ubrać się i wyjść na mróz, coś przecież usłyszałem.

I rzeczywiście widziałem to, co widziałem, tam, na szczycie urwiska.

Ale co to było?

Sam się dziwię, że przy śniadaniu niczego po mnie nie widać. Nasza czwórka stłoczyła się w namiocie Garrarda i Kitsa. Najwyraźniej nikt niczego nie zauważył. Kits pyta mnie, z ustami pełnymi owsianki, po co wychodziłem w nocy. Odpowiadam, że poszedłem się załatwić, a wracając, szukałem

Cedrika. Beznamiętnie pytam go, czy widział coś dziwnego.

– Dziwnego? Co masz na myśli?

– Tam w górze. Zdawało mi się... Wyglądało jak górak. To dość dziwne zobaczyć ptaka na takiej wysokości. Nie widziałeś nic?

– Nie – odpowiada ze śmiechem – ale to wyjaśnia, dokąd pobiegł Cedric. Polujesz na góraki jak szalony, co, mój mały? Dobrze, że trafił z powrotem do mojego namiotu!

Nie ma więc już miejsca na wątpliwości. Kits tego nie widział. Tylko ja. A ja nie mogę nikomu powiedzieć, bo pomyślą, że to od tej wysokości i że trzeba odesłać mnie do bazy.

Dochodzi piąta i powoli się przejaśnia, ale śnieg pada zbyt gęsto, by można było wyruszać, więc jesteśmy tu uwięzieni. Cotterell pisze w naszym namiocie, a ja siedzę z Garrardem i Kitsem. Im ciaśniej, tym bezpieczniej się czuję.

Garrard czyta, a Cedric ułożył się u jego nóg z pyskiem między łapami. Rzuca mi teraz nieśmiałe spojrzenia – całkiem słusznie po tym, jak porzucił mnie zeszłej nocy. Kits i ja na przemian wyglądamy przez okienko. Obaj desperacko pragniemy się ruszyć, ale w jego przypadku chodzi głównie o to, że łatwo się nudzi i nie znosi bezczynności.

– Wygląda na to, że się przejaśnia – mówi z nadzieją w głosie.

– Nima uważa, że śnieg nie będzie długo padał – dodaje.

– Bądźcie realistami – prycha Garrard – jest całkiem biało!

Ma rację. A jeśli tak będzie cały dzień? Nie wiem, co zrobię, jeśli będę musiał spędzić tutaj kolejną noc.

Nie jest dobrze. Trzeba to sobie jasno powiedzieć. Coś bardzo niedobrego dzieje się z drugim obozem.

Co mam na myśli, mówiąc „niedobrego”? Nie mam na myśli duchów. Nie w sensie jakichś pozbawionych ciał spirytystycznych esencji. Nie wierzę w nie. Jako naukowiec jestem oczywiście gotów zaakceptować świadectwa przeciwne, ale jak dotąd na żadne takie się nie natknąłem. A to, czego

doświadczylem ubiegłej nocy, nie jest żadnym dowodem. Nie. Kiedy ostatnia synapsa w mózgu gaśnie i obumiera, następuje koniec. Światło gaśnie. W to wierzę.

Ale energia to co innego. Energii nie da się ani stworzyć, ani zniszczyć. Czy nie jest więc przynajmniej możliwe, że jakiś rodzaj energii – być może magnetycznej albo nawet emocjonalnej – istnieje i trwa tutaj przez wiele lat? I być może... być może mam w sobie coś, co czyni ze mnie rodzaj medium dla tej energii, jak bateria albo piorunochron? Może to właśnie wyczuł Cedric ostatniej nocy. Może dlatego nadal nie chce się do mnie zbliżyć.

To jakaś hipoteza i dzięki niej czuję się nieco lepiej. Ująłem to coś „niedobrego” w jakąś ramę. W jakiś sposób to opanowałem.

Oznacza to, że nie ma już sensu próbować dowiadywać się więcej o tym, co przydarzyło się Lyellowi i jego towarzyszom. To by już niczego nie zmieniło. Muszę trzymać się faktu, że cokolwiek złego dzieje się w obozie drugim, dotyczy tylko jego. To kluczowe. Nie miałem poczucia, że coś jest nie tak podczas wspinaczki ze „wzgórza cementarnego” ani w obozie pierwszym, ani w czasie wspinaczki do obozu drugiego.

Dlaczego jednak to uczucie jest tak silne tutaj?

Cóż, z pewnością dlatego że właśnie tu Lyell rozbił swój obóz drugi. I przypuszczalnie również dlatego że gdzieś nad nami jest miejsce pierwszego wypadku, od którego zaczęła się pechowa seria. Jak to było w książce Cotterella? *Wspięli się nieco powyżej sześciu tysięcy siedmiuset metrów nad poziomem morza i, jak często zdarza się na takiej wysokości, jeden mały błąd uruchomił katastrofę.*

Ale to było wyżej, niż my teraz jesteśmy. Co jest więc nie tak tutaj?

- Stephen? – Kits wyciąga do mnie kubek parującej herbaty.
- Dzięki. Jak tam pogoda?

– Nie ma jeszcze dziewiątej – odpowiada, robiąc pogodną minę. – Jeszcze jest mnóstwo czasu na przejaśnienie.

– Wieczny optymista – mamrocze Garrard, nie podnosząc nawet wzroku znad książki.

Herbata jest słodka, mocna i cudownie orzeźwiająca. Kiedy jednak siedzę tak i oddaję się pogawędkom, zwierzęca część mnie pozostaje czujna i napięta. Doświadczenia zeszłej nocy oddzieliły mnie od towarzyszy. Nawet teraz, w tym ciasnym małym namiocie, muszę cały czas być uważny – bo w każdej chwili może się pojawić kolejna szczelina, przez którą wślizgnie się ciemność.

Myliłem się, nie dam tak rady. To właśnie niewiedza jest najbardziej przerażająca. Dobra, Stephen, dość zaprzeczania. Klucz do tego wszystkiego musi tkwić w ekspedycji Lyella. Naprawdę musisz się dowiedzieć.

– Kits, masz ze sobą egzemplarz *Skrwawionych, lecz niezłomnych*? – rzucam śmiało.



NA TAKIEJ wysokości czas zdaje się płynąć nierówno. Czasem godzina upływa w ciągu minuty, czasem minuta rozciąga się na długie godziny. Dzisiejszy dzień ciągnie się jak cały rok.

Wciąż pada. Za okienkiem namiotu wirują gęste szare kłęby. *Skrwawieni, lecz niezłomni* leżą nieotwarceni na moim plecaku. Nie mogę się przełamać i zacząć czytać, postanawiam więc zajrzeć do *Szerpów*.

Wiatr okłada mnie kamienną pięścią, kiedy drepczę, przytrzymując się liny rozciągniętej między namiotami. Głowę mam opuszczoną i nie patrzę w stronę urwiska. Od tamtego czasu niczego podobnego nie doświadczyłem, ale samo

poczucie, że mógłbym – poczucie, które uwiera mnie jak kamień na dnie żołądka – jest niemal równie straszne.

Szerpowie z szacunkiem robią mi miejsce i wręczają kubek herbaty. Nima mówi, że do rana przestanie padać, chociaż podejrzewam, że to tylko myślenie życzeniowe: on nienawidzi tego obozu równie mocno co ja. Mówi, że przynosi pecha; to właśnie dlatego Cherma ma odmrożenia. Odpowiadam, że Cherma ma odmrożenia, bo wczoraj za często zdejmował rękawice. Nima grzecznie kiwa głową, ale nie wygląda na przekonanego. Cherma obdarza mnie swoim szczerbatym uśmiechem i zapewnia, że nie boli za bardzo. Daję mu aspirynę i oznajmiam, że martwić należy się właśnie wtedy, kiedy odmrożenie nie boli.

Jest czwarta po południu i wróciłem już do namiotu. Na moim plecaku nadal leżą *Skrwawieni, lecz niezłomni*, czekając, aż ktoś zacznie ich czytać. Cedric jest z Garrardem i Kitsem, a Cotterell drzemie. Wygląda zdrowo i oddycha swobodniej, ale i tak mam zamiar wykorzystać go jako pretekst do zostawienia na noc włączonej latarki. Nie zamierzam spać. Nie ośmieliłbym się.

Nadal pada, nadal wieje. Niekończący się szelest tropiku namiotu potwornie działa mi na nerwy.

W czasie lunchu, by podnieść się na duchu, dyskutowaliśmy, gdzie założyć obóz trzeci. Zamierzamy rozbić go mniej więcej w tym samym miejscu co Lyell – u stóp ściany na wschodniej flance Lodospadu, w odległości jednego dnia wspinaczki od Wielkiej Półki. Cotterell proponuje wykucie w lodzie jam; podobno Bauer twierdzi, że jest w nich cieplej niż w namiotach i lepiej chronią przed lawinami.

– I nie ma tego cholernego łopotu – dodał Garrard ze znużeniem.

Początkowo nie podobał mi się ten pomysł: lodowe jamy

niepokojąco przypominały moją szklaną kulę. Ale po namyśle przyznałem, że perspektywa znalezienia się pod osłoną solidnych ścian jest kusząca. Przynajmniej nic się do mnie tak łatwo nie podkradnie.

Dobrze, teraz Lyell.

Irytuje mnie, że serce natychmiast zaczyna łomotać, gdy tylko otwieram zaczytany, pełen notatek mały tom Kitsa. Nie mogę się przemóc, by od razu zacząć od założenia obozu drugiego, kartkuję więc kilka początkowych rozdziałów.

Pierwszym zaskoczeniem jest to, jak bardzo denerwuje mnie Lyell. Kiedy ostatni raz czytałem *Skrwawionych, lecz niezłomnych*, miałem dziewięć lat i wówczas go podziwiałem: *żołnierz naznaczony słońcem Pendżabu i ciężkim zadaniem poskramiania Burów w Afryce Południowej*. Chciałem być nim. Marzyłem, by wyruszyć jego śladem na nonszalancką „przechadzkę” przez położoną na wysokości sześciu tysięcy siedmiuset metrów przełęcz w Karakorum (o tym też napisał książkę, *Wypad z Karakorum w Himalaje*, ją również połknąłem). Najbardziej podziwiałem fakt, że Lyell nigdy się specjalnie nie wysiłał. Gdy wyruszał na wędrowkę przez Karakorum, nie zwracał sobie nawet głowy zabieraniem czekana czy butów z kolcami, wziął *tylko trochę mięcha*.

Gdy czytam go teraz, uderza mnie to jako przejaw arogancji. Wedle Lyella amatorstwo to powód do chluby. Jest snobem pierwszej wody. Z każdej strony sący się jego pogarda dla *profesjonalnego smrodku*. Zżyma się nawet na raki (nazywając je „wspinaczkowym żelastwem”), jako na rzecz niesportową i nieelegancką. Nic więc dziwnego, że jego ekspedycję od początku trapiły, wedle jego własnych słów, „nieszczęśliwe wypadki”: kradzieże zapasów, problemy z dostawą, bunty kulisów.

Co dziwne, wygląda na to, że Lyell nienawidzi też samej

Kanczendzongi. Nie odczuwa ani podziwu, ani ciekawości, po prostu chciałby ją podbić: *Ona jest jak afront, jak wyzwanie dla ludzkiego panowania na Ziemi.*

Jako kierownik jest tyranem, wygrywającym co rano pobudkę na swoim rożku alpejskim (ciekawe, jak znosili to jego koledzy sahibowie), kulisów zaś postrzega jako prymitywne, niemal bezrozumne stworzenia: *są brutalni i odrażająco płodni, ich potomstwo kłębi się wokół chat niczym wołki zbożowe wokół garści ryżu.* Nie widzi nic złego w zmuszaniu ich do maszerowania boso przez lodowiec, a kiedy jeden z nich upada i prosi, by zostawić go na samotną śmierć, Lyell *chętnie przystaje* na tę prośbę, żałując jedynie czasu, który rodzina umierającego zmarnowała na odmówienie modlitw i przykrycie jego twarzy chustką.

Najsilniej uderza mnie jednak jego wszechogarniająca próżność. Towarzysze znaczą dla niego tyle, co nic; na kartach książki ich postacie są ledwie zarysowane. Podczas tej ekspedycji liczy się tylko Edmund Lyell.

Ale niepotrzebnie lawiruję. Wspinaczka. Co ze wspinaczką?

Wszystko najwyraźniej szło dobrze aż do założenia obozu drugiego, jeśli nie liczyć kilku przejściowych „tarapatów” – przy okazji których Lyell, oczywiście, ratował całą sytuację. Kolejny rozdział nosi tytuł *Fatalny błąd.*

Po wspaniałej nocy i pożywnym śniadaniu złożonym z krążków mięsnych i zupy peptonowej Branda wyruszyliśmy z drugiego obozu we wspaniałych nastrojach. Kulisi nieśli nasze bagaże, my zaś spędziliśmy przyjemny poranek na wspinaczce z nieznacznymi trudnościami, pragnąc zdobyć pokaźny lodowy występ, sterczący jak dzika bestia ponad drugim obozem. Udało się to nam około południa. Zatrzymaliśmy się na szczycie, gdzie zjedliśmy mały lunch. Wtedy nadeszła katastrofa.

– Stephen? – krzyczy Kits ze swego namiotu. – Nie zapomniałeś, że dziś nasza kolej gotowania obiadu?

– Uhm... – mamroczę. – Minutkę.

Wszystko zaczęło się w ścianie. To oczywiste. Tutaj, w obozie drugim, jesteśmy na wysokości ponad sześciu tysięcy sześciuset metrów. Wedle książki Cotterella problemy zaczęły się na wysokości sześciu tysięcy siedmiuset metrów.

Zdjęliśmy plecaki, aby napić się wody z butelek, ciągnie Lyell. Ward, jak to miał w zwyczaju, siedział z dala od reszty. Musiał wykonać jakiś niezgrabny ruch i strącił plecak w przepaść, ale my zorientowaliśmy się dopiero, gdy krzyknął: „W dole!”, aby ostrzec kulisów, którzy wciąż się wspinali.

Ward? Kto to, u licha, jest Ward?

Następnie wysnuliśmy przypuszczenie, że jego plecak zsunął się ledwie kilka metrów w dół, tym samym popychając go do kolejnego głupstwa – choć nikt z nas nie widział tego dokładnie, bo wszystko działo się zbyt szybko. Wiemy tylko, że zamiast poprosić nas o pomoc, Ward popełnił kolejny błąd, próbując samodzielnie odzyskać ekwipunek. Czytelnik może wyobrazić sobie naszą konsternację, gdy zobaczyliśmy, jak niezabezpieczony liną schodzi kilka metrów w przepaść, idiotycznie usiłując sięgnąć po swój plecak! Obmyślił sobie, że dźwignie go jedną ręką, ale wówczas stracił równowagę i spadł. Nie wydał żadnego odgłosu – spadający ludzie zwykle ich nie wydają – i uderzył o lód z okropnym łomotem kilkadziesiąt metrów niżej, przy krawędzi szczeliny. Nie odpowiadał na nasze wołanie i baliśmy się najgorszego, ale ja uznałem za swój obowiązek zejść do niego i zbadać, w jakim jest stanie. Tak też zrobiłem, zręcznie asekurowany przez Tennanta, a kiedy

dotarłem do naszego człowieka, moje smutne przypuszczenie się potwierdziło.

– Chodź, Stephen, nie wymiguj się!

– Już idę!

Był już martwy, najwyraźniej skrzył kark. Ponieważ ciało w połowie zwisało z krawędzi szczeliny, od razu uznałem, że byłoby zbyt niebezpieczne, by próbować je wciągnąć. Później nasza piątka zmówiła modlitwę za zmarłego towarzysza, a potem musieliśmy oddać się niewesołemu zadaniu kontynuowania wspinaczki na Wielką Półkę.

Czytelnik, któremu brak górskiego doświadczenia, może uznać nasze postępowanie za bezduszne. Doświadczony alpinista zrozumie, mam nadzieję, nasze trudne położenie. Popołudnie dogasało, a nas gnał dalej srogi imperatyw, jakim była bezwarunkowa konieczność założenia przed zmierzchem następnego obozu.

Gorączkowo przerzucam pozostałe strony. Opowieść Lyella o reszcie wyprawy nie różni się zbyt od sprawozdania w książce Cotterella. Wkrótce po tamtym śmiertelnym upadku z urwiska śnieżycy zepchnęła wszystkich z powrotem do obozu drugiego, gdzie byli uwięzieni przez trzy dni. Zanim pogoda się poprawiła, byli tak osłabieni „rozrzedzonym powietrzem”, że nie mieli innego wyboru i musieli porzucić plan zaatakowania szczytu. Kiedy schodzili do obozu pierwszego, uderzyła w nich lawina.

Kiedy byłem chłopcem, część o lawinie była moim ulubionym fragmentem, ale kiedy teraz czytam Lyella, ten rozdział przyprawia mnie o mdłości. W jego relacji brzmi to tak, jakby wraz z Tennantem uratowali wszystkich sami: wykopali towarzyszy ze śniegu, usypali kopce na wzgórzu dla

Freemantle'a i Knighta, znieśli przez Yalung rannych Strattona i Yatesa. Niemal nie wspomina o dwustu kulisach, którzy wykonali całą robotę. Ani o czterech z nich, którzy stracili życie w lawinie.

O ile się orientuję, nie ma też żadnej późniejszej wzmianki o Wardzie. Kim, do jasnej cholery, był ten Ward?

– Gdzie jest Pache i kim jest Ward? – pytam Kitsa kilka minut później, kiedy otwieram puszkę kiełbasek i wrzucam je do owsianki.

Kits jest na mnie obrażony, więc nie odpowiada. Powtarzam pytanie.

– Co? – rzuca poirytowany.

– Kim jest Ward?

– To ten, który zginął pierwszy. Ten, który upuścił plecak. Cedric, siad!

– Myślałem, że to był Pache.

– Och, Stephen, naprawdę! Pache był członkiem zupełnie innej ekspedycji!

– Co? – pytam, gapiąc się na niego.

Ze złością miesza owsiankę, mrużąc oczy nad parą.

– Porucznik Alexis Pache, pół Szwajcar, pół Niemiec, zginął wraz z trzema kulisami w lawinie podczas ekspedycji, którą kierował ten kundel Crowley w tysiąc dziewięćset piątym. Piątym, Stephen, rok przed Lyellem! Wiedziałbyś o tym, gdybyś oddał honory biedakowi przy jego grobie.

Skaleczyłem się puszką. Krew płynie z rany po wewnętrznej stronie dłoni.

– To gdzie jest pochowany Ward?

Kits dorzuca suszone warzywa do owsianki.

– Nigdzie.

– Ale Lyell odzyskał ciało. Tak twierdzi.

– Nie czytałeś zbyt uważnie, co? Rozkazał kulisom, by zeszli

po ciało, ale go nie posłuchali. Później, gdy przeszła śnieżycą, Lyell go szukał, ale nie znalazł.

Moje serce tłucze się jak ryba wyrzucona na ląd.

– Więc co się z nim stało?

– Bóg raczy wiedzieć. Pewnie wiatr zrzucił je w przepaść. Zniknęło, tyle o nim wiadomo. Spoczywaj w pokoju, Arthurze Ward.

13.



NIE MIAŁ drugiego imienia; nazywał się po prostu Arthur Ward. Jeśli wierzyć Lyellowi, nikt go nie lubił. Był „z zawodu” grawerem (da się tu wyczuć wyraźną pogardę Lyella), nie palił, nie pił i nie oddawał się pogawędkom. Mówiąc w skrócie, marny był z niego klubowicz. Oprócz tego w *Skrwawionych, lecz niezłomnych* niewiele można znaleźć.

Cotterell jęczy przez sen. Po obiedzie wymiotował, więc mój pretekst do czuwania stał się rzeczywistością. Siedzę plecami do niego, bo nie mogę znieść bycia tyłem do ściany namiotu. Jak dotąd nie słyszałem niczego niepokojącego; jedynie łopot tropików i szmer padającego śniegu.

Wygląda na to, że Arthur Ward był zastępcą, który zjawił się w ostatniej chwili – tak jak ja. Nie ma go na żadnej fotografii, a Lyell go nie opisuje, więc dla mnie jest człowiekiem bez twarzy. Z drobnych odprysków informacji wynika, że był utalentowanym wspinaczem, a pozostali tolerowali go, choć nie chcieli, aby ich przyćmił. Pewnego razu Ward uratował życie Tennanta, gdy uderzył go kawał spadającego lodu. Tennant

osuwiał się już w przepaść, kiedy Ward złapał pasek jego plecaka i doholował w bezpieczne miejsce. Lyell o tej historii wspomina jedynie mimochodem.

A później, kiedy pomstuje na wspinaczy, którzy nie są dżentelmenami, wyraźnie ma na myśli Warda. *Jest taki gatunek ludzi, którzy nie widzą nic niehonorowego w używaniu „wspomagaczy wspinaczkowych”. Z takich ludzi mogą wyrosnąć znośni alpiniści, ale zawsze zdradzi ich nadmierna impulsywność i brak opanowania, charakterystyczne dla osób tego pokroju.*

W tym cała rzecz. Ward był człowiekiem utalentowanym, ale prostym, więc nie pasował do reszty. Tylko tyle mam. I jeszcze to, że miejsce, w którym teraz jestem – lub mówiąc dokładnie, dwieście metrów stąd nad krawędzią przepaści – jest tym samym, w którym dwadzieścia dziewięć lat temu Arthur Ward skręcił kark w wyniku głupiego wypadku, jakie często przydarzają się z niedotlenienia, i które zabiły już tak wielu wspinaczy.

Czy to dlatego obóz drugi jest nawiedzany? Czy jego śmierć odcisnęła tu swego rodzaju psychiczne piętno? Czy jakaś utrzymująca się tu energia odtwarza na nowo tamten wypadek, kiedy tylko zjawi się tutaj odpowiednio wyczulony człowiek? Wierzę, że to jakiś rodzaj odtworzenia. Pamiętam, że w bazie obudził mnie krzyk: „W dole!”.

A jednak nic nie jest wiarygodnym usprawiedliwieniem tego, co się tu dzieje. Śmierć Warda była okrutna i niepotrzebna, ale to nic niezwykłego, tak właśnie giną alpiniści. Dlaczego więc akurat on? Dlaczego nie Freemantle albo Knight, albo porucznik Pache z 1905 roku, ani któryś z tragarzy, albo tamten samotny Amerykanin z 1929 lub ktoś z grupy Bauera od strony północnej? Dlaczego jestem przekonany, że to Ward?

Dlatego że żaden z nich nie zginął tutaj. I dlatego że sylwetka,

którą widziałem na szczycie urwiska, należała do Europejczyka, a nie do Szerpy.

I dlatego że to czuję.

Cotterell budzi się z jękiem i natychmiast dostaje ataku kaszlu. Kiedy mija, robię mu płukanek z roztworu nadmanganianu potasu i daję tabletkę chloranu potasu. Pytam go, jak się czuje.

– Już stanąłem na nogi – mamrocze.

Mam wątpliwości. Jego szare oczy są przekrwione. Z siwiejącą brodą wygląda na zmęczonego i starego. Z trudem wzdycha.

– Chciałbym się tylko pozbyć tych cholernych obrazów.

Serce zamiera mi w piersiach.

– Obrazów?

– Wspomnień raczej. Bzdury. Ale dość okropne.

– W jakim sensie?

– One w pewien sposób... mnie atakują. Nieważne, co robię.

Wspinam się, jem, próbuję spać. Nie potrafię się ich pozbyć.

– Od kiedy to trwa?

– No cóż... Odkąd zaczęliśmy się wspinać.

Przez cały ten czas?

– Co to za obrazy?

– Głównie twarze – mówi, mrużąc oczy.

– Czyje?

Ku mojemu zdziwieniu grdyka zaczyna mu drżeć, a oczy robią się wilgotne.

– Nie mogę...

– Przepraszam, majorze. Nie chciałem być wścibski...

– Nie, nie o to chodzi... – Chwyta się za nasadę nosa i ściąga brwi. – Był moim podwładnym. Kiedy go znaleźliśmy... rozpoznaliśmy go po papierośnicy.

Moje rozczarowanie jest tak gwałtowne, że od razu tracę całe współczucie. Nie chciałem, aby to były wspomnienia wojenne.

Chciałem, aby widział to co ja. Wtedy nie byłbym sam.

Nalewam nam obu kropelkę brandy. Cotterell sączy z wdzięcznością.

– Nie rozumiem, dlaczego widzę tylko jego – mamrocze. – Ostatecznie sporo się tego widziało. Człowiek obojętniał – mówi, drapiąc się po czole, z którego schodzi skóra. – Nie myśli pan... W mojej rodzinie nigdy nie było niczego takiego. Chyba nie jestem rozstrojony, czy jak to się tam mówi?

– Ma pan na myśli „szalony”? – Czasami samo wypowiedzenie jakiegoś słowa ma moc egzorcyzmu. Widzę, jak opada z niego napięcie. – Nie, nie sędzę, aby był pan szalony. Cierpiący na neurozę wojenną zwykle mają w rodzinie jakąś złą krew. Jest mnóstwo ludzi takich jak pan, których po prostu nękają koszmary. Dzisiaj nazywa się to stresem wojennym.

– Ach, coś podobnego.

Uderza mnie jego ignorancja. Czy ten biedak zmagiał się z tym przez te wszystkie lata? A może tylko ta góra to z niego wyciąga. Nie chcę go wypytywać, jest wyraźnie zakłopotany, że na moment się przede mną otworzył.

Żeby odwrócić uwagę nas obu, postanawiam go zbadać. Serce i oddech w porządku, nie ma wody w płucach.

Nie wracamy już do rozmowy. Cotterell udaje, że śpi, a ja strząsam śnieg, pod którego ciężarem namiot zaczyna się już uginać. Mam wrażenie, że płótno tropiku stawia zawzięty opór.

Biedny Cotterell. Cóż, w mojej rodzinie też nie ma żadnej złej krwi i jestem pewny, że ja również nie oszalałem, ale to teraz marna pociecha. Jest druga w nocy: miną jeszcze dwie godziny, zanim będzie można zacząć myśleć o wyruszeniu w drogę, jeśli oczywiście przestanie padać. A wtedy będziemy wspinali się do miejsca, gdzie zginął Ward. A jeśli coś tam zobaczę? A jeśli wpadnę w panikę i zabiję siebie albo kogoś innego?

Jedno jest pewne. Nawet jeśli śnieg będzie dalej padał, nie

spędzę kolejnej nocy w tym obozie. Ogłoszę, że wedle mojej opinii medycznej Cotterell powinien zejść do obozu pierwszego, a ja będę mu towarzyszył. Albo wymyślę coś innego. To ostatnia noc, którą spędzę w tym obozie.



NIMA MIAŁ RACJĘ, faktycznie się przejaśniło. Na niebie nie ma ani jednej chmury. Śnieg zasypał jednak obóz, więc Tenrit i Dorjit zostali, aby odkopać namioty i zapasy.

Naszym celem dzisiaj jest wspiąć się na szczyt urwiska i ruszyć wzdłuż krawędzi Lodospadu, a potem założyć obóz trzeci jakieś trzysta metrów pod Wielką Półką, na swego rodzaju płaskowyżu u stóp zalanych lodem skał. Znaleźliśmy znośną drogę przez spiętrzenie, Bogu dzięki, bez szczególnych problemów technicznych. Kits mówi, że trudności pojawią się dopiero za Wielką Półką.

Wyrybywanie stopni jak zwykle jest harówką, a słońce grzeje tak wściekle, że zdejmuję sweter, szalik i rękawice. Później nadciągają chmury i muszę zakładać wszystko z powrotem – a na tej wysokości trwa to wieki i trzeba być bardzo ostrożnym. Próbuję nie myśleć o Wardzie i jego upuszczonym plecaku. Ciekawe, o czym myślą pozostali. Od trzech godzin wspinamy się w ciszy. Nie słychać nucenia Nimy i Pasanga ani gwizdania Garrarda czy Kitsa. Nawet Cedric jest przygaszony.

Jeśli człowieka dopadnie przerażenie – takie prawdziwe, jak to, którego doświadczyłem – nie jest łatwo się potem z niego otrząsnąć. Przez całą burzę śnieżną i przez cały dzień chodzę spięty, niepewny, czy zagrożenie naprawdę już minęło. Czuję się tak, jakby żył we mnie inny człowiek, który cały czas stoi na warcie.

Jesteśmy już blisko spiętrzenia urwiska, tam, gdzie Warda spotkała śmierć. Co za okropne wyrażenie. Przywodzi na myśl obraz szarej zakapturzonej postaci, przed którą nie można uciec.

Obok przemyka jakiś cień i natychmiast się kulę. Cholerny górak, akurat teraz.

Garrard idący przede mną ogląda się w dół i posyła mi krzywy uśmiech.

– Wygląda na to, że nasz towarzysz przyleciał do nas z bazy.

– Skąd wiesz, że to ten sam? – dyszę.

– Nie wiem, ale to jakoś pasuje. Edgar Allan Poe, te sprawy.

Cedric ze wściekłym szczekiem próbuje ścigać ptaka, który unosi się w dal, szarpany przez wiatr. Pies nie patrzy, dokąd pędzi, i niemal wbiega na sam szczyt urwiska. Wydieramy się, przywołując go z powrotem, więc schodzi do nas ostrożnie, merdając kosmatym ogonem.

Napięcie opada, nawet Cotterell tłumi śmiech. Chwilę później docieramy do celu.

Ściana jednak z nami jeszcze nie skończyła. Okazuje się, że szczelina, którą – jak myśleliśmy – zostawiliśmy za sobą w obozie drugim, ciągnie się zygzakiem dalej i znika dopiero za urwiskiem. Teraz jest dokładnie przed nami.

W najważniejszym miejscu ma jakieś dwa metry. Długie na metr lodowe igły sterczą na jej krawędzi. Patrząc ich śladem w dół, widzi się tylko nieprzeniknioną ciemność.

Jestem ostatnim człowiekiem na linii, więc jako ostatni będę przechodził na drugą stronę. Kits zdążył już rozłożyć drabinę, którą dźwiga Nima, i umieścić ją nad ziejącą przepaścią. Idzie pierwszy (oczywiście): nie na czworakach, ale wyprostowany.

– Nic trudnego! – krzyczy z drugiej strony.

Dzięki, myślę kwaśno. Bardzo nam pomogłeś.

Garrard wchodzi na drabinę i ostrożnie po niej pełźnie, tak

samo Cotterell. Wszyscy jesteśmy związani. Cotterell wpatruje się w przestrzeń przed sobą i ani razu nie spogląda w dół.

– Przypomniały mi się kładki we Flandrii! – śmieje się do mnie z drugiej strony. W jego głosie słychać brawurę. W ten sposób stara się powiedzieć mi, abym zapomniał o tych bredniach z zeszłej nocy.

Nima i Pasang idą następni, potem moja kolej. Nie boję się, po prostu czuję opór. Wedle Lyella Ward wylądował z „okropnym łomotem”, a jego ciało do połowy zwisało nad przepaścią. Oczywiście musiało to być na odcinku uskoku poniżej spiętrzenia, ale to nadal ta sama szczelina.

Nima wsadza Cedrika do *doko* i przechodzi przez drabinę pewnym krokiem, tak że pies nawet nie ma czasu, by się zaniepokoić. Pasang też idzie wyprostowany, nucąc pod nosem bezgłośnie modlitwę.

Teraz cała piątka czeka na mnie po drugiej stronie. Wiatr przywiewa między nas zasłonę skłębionego śniegu, przez co widzę ich teraz w bieli. W swoich okularach lodowcowych, z twarzami wysmarowanymi Penatenem, niezbyt przypominają ludzi.

– Chodź, Stephen – krzyczy Kits. – Pospiesz się!

Trzymając czekan w jednej ręce, wpełzam na kolanach na drabinę. Ugina się pod moim ciężarem. Nie patrzę w pustkę, która się pode mną rozrasta, ale wyraźnie czuję jej przyciąganie.

Pełzną dalej, wbijając wzrok w towarzyszy – i przez chwilę krótszą niż mrugnięcie okiem wydaje mi się, że czeka tam na mnie sześciu, nie pięciu ludzi. Liczę ich. Kits, Garrard, Cotterell, Nima, Pasang. Czyli pięciu, kretynie. Weź się w garść.

– Co się dzieje, Partaczu? – szydzi Kits. – Zaciąłeś się?

Słyszę, jak za mną spada lód, wydając odgłos tłukącego się szkła. Bezwiednie spoglądam w dół. Wyobrażam sobie, że gdzieś

na dnie tej ciemności widzę coś, co się porusza. Czy ciało Warda jest tam, na dole? Czy dlatego jego duch nawiedza to miejsce?

– Już niedaleko, chłopaku! – wrzeszczy Kits, wyciągając do mnie rękę. W ten żartobliwy sposób próbuje dodać mi otuchy. Nie podoba mi się to. Mówi do mnie tak, jakby mówił do spłoszonego konia. Albo młodszego brata, który nigdy do końca nie dorósł.

Ignoruję jego wyciągniętą dłoń, docieram do krawędzi i staję na nogi. Przynajmniej tym razem odpuszcza sobie kolejny złośliwy żarcik o Partaczu, który znowu o mało nie zawiódł. Zamiast tego podnosi okulary lodowcowe i rzuca mi współczujące spojrzenie.

W tym momencie naprawdę go nienawidzę.



POGODA jest wspaniała i taki też jest obóz trzeci – głównie dlatego że nie jest obozem drugim. Stąd nawet go nie widać, ani urwiska, ani tej cholernej szczeliny. Jesteśmy już na wysokości sześciu tysięcy dziewięciuset pięćdziesięciu metrów, wszystko zostawiliśmy za sobą.

Rozbiliśmy obóz trzeci tam, gdzie Lyell, u podnóża zalanych lodem skał. Jest tu wietrznie, brakuje osłony od zachodu, ale jest też o wiele więcej miejsca niż w obozie drugim i nie towarzyszy nam nieprzyjemne uczucie, że tłoczmy się na wąskiej półce. Nad okolicą góruje olbrzymi blok lodu. Jest tu tak płasko, że nie potrzebujemy raków. Zresztą chodzenie w rakach po tak miękkim śniegu nie byłoby bezpieczne.

Namioty rozbiliśmy u stóp lodowej ściany. Przed sobą mamy dobre dwadzieścia metrów płaskiego śniegu – nazwaliśmy to

miejsce Płaskowyżem – i dopiero dalej stok opada stromo w stronę lodowca Yalung. Kiedy stoi się twarzą do obozu, po lewej jest skład zapasów i latryna, a kawałek za nimi kolejna szczelina – ale mnie to nie przeszkadza, bo to nie tamta szczelina. Tak czy owak, z naszych namiotów jej nie widać, bo zasłaniają ją sterty bagaży.

Zeszłej nocy temperatura spadła do minus czterdziestu stopni. Ryczący wiatr, który w bazie wydawał się tak odległy, tutaj jest o wiele głośniejszy – a mimo to spałem lepiej niż kiedykolwiek od początku wspinaczki. Bez wątpienia wynika to z ogromnego zmęczenia, ale i z ulgi, że udało mi się umknąć z obozu drugiego.

Obudziłem się i poczułem, że zamarzły mi brwi, a namiot i śpiwór trzeszczą od szronu. Zrobiliśmy sobie dzień wolny od wspinaczki, ale ponieważ obóz był cały czas w cieniu, nie mogliśmy się ogrzać. Słońce dotarło do nas dopiero późnym rankiem i w ciągu dziesięciu minut wszyscy zaczęliśmy się smażyć w jego promieniach i przechadzać z podwiniętymi rękawami.

Tenrit i Cherma wyruszyli do obozu drugiego, by skończyć wygrzebywanie pozostałych zapasów. Reszta została. Kolejny dzień wspinaczki powinien zaprowadzić nas na Wielką Półkę, gdzie zamierzamy założyć obóz czwarty. Stamtąd na szczyt nie może być już więcej niż dwa dni drogi. Chcemy jednak przez kilka dni zostać tutaj, aby zgromadzić zapasy i wydrążyć te słynne lodowe jamy u stóp ściany, by mieć osłonę od wiatru. Cieszę się. Podoba mi się tutaj.

Kits i ja pracujemy nad jedną jamą, Cotterell i Garrard kuja drugą po sąsiedzku, a Szerpowie trzudzą się nad trzecią. Teraz moja kolej, co oznacza, że leżę na plecach, rąbiąc, najlepiej jak umiem, czekaniem kilka centymetrów powyżej swojej twarzy, podczas gdy Kits klęczy za mną i szufelką wymiata lodowe

odpryski.

Taka praca byłaby męcząca w każdych warunkach. Na wysokości prawie siedmiu tysięcy metrów to prawdziwe piekło. Ale jest to proste fizyczne piekło, w którym odnajduję dziwną przyjemność. Odłamki lodu lecą na mnie i przemaczają mi ubranie, a kiedy robię przerwę, by zaczerpnąć tchu, czuję, że ręce mi się trzęsą ze zmęczenia.

Z sąsiedniej jamy dobiega nas stłumiony jęk Garrarda.

– Jak, u licha, te fryce zdołały wykuć jamy na sześć osób?

– Nie wiadomo, czy wykuli, czy tylko mówią, że wykuli – rzuca ponuro Cotterell.

– Przypomnijcie mi – dyszę – dlaczego właściwie to robimy.

– Bo to jest fajne – odpowiada Kits.

Wymieniamy uśmiechy i razem cytujemy ciocię Ruth: „A czego nie da się uniknąć, to lepiej polubić!”.

Nagle wybuchamy śmiechem. Kits zaczyna bombardować mnie lodowymi odłamkami. Wyczołguję się z jamy i obrzucam go śnieżkami. Cedric szczeka, śnieg lśni w słońcu, a my jesteśmy tak szczęśliwi jak w dzieciństwie, kiedy pędziliśmy na łąb, na szyję ze wzgórza Primrose i wszystko było na swoim miejscu.



ZESZŁEJ NOCY znowu spaliśmy w namiotach, jamy nie będą gotowe jeszcze co najmniej przez jeden cały dzień. Byłem tak umęczony, że nie przebudziłem się ani na moment.

Dzisiaj mamy dużo do zrobienia. Między kolejnymi rundami kucia trzeba jeszcze wysuszyć na słońcu ubrania, przygotować jedzenie i stopić śnieg na niezliczone kubki herbaty. Garrard wymyślił sprytny sposób na skrócenie pracy: wypełnia

wiatrówkę śniegiem i pozwala, by stopił się na słońcu, a potem zbiera wodę do płóciennego wiadra. W ten sposób oszczędza wysiłek i parafinę – nawet jeśli woda ma posmak płótna.

Wszystko to brzmi jak bardzo uporządkowany rytm dnia, ale trzeba pamiętać, że wysokość potrafi płatać figle. Wczoraj wieczorem, kiedy zamierzałem wślizgnąć się do śpiwora, z zaskoczeniem stwierdziłem, że leży na nim mosiężny wysokościomierz Garrarda. Pożyczałem go wcześniej, ale byłem przekonany, że już zwróciłem. Nie pamiętam, abym go wnosił do swojego namiotu, ale zarówno Cotterell, jak i Kits widzieli, jak to robię. Wszystkim nam zdarzają się takie wpadki, staramy się je mężnie znosić.



PODOBNIĘ jak po drodze do obozu drugiego, szlak tragarzy trzeba było oczyścić po śnieżycy, ale teraz znowu dobrze działa. Pomimo lodu, który spada od czasu do czasu, Szerpowie przenoszą ładunki z obozu do obozu w zaledwie kilka godzin, co pozwala na wymianę krótkich listów między nami a biednym McLellanem pozostawionym w bazie.

Na dzisiaj skończyliśmy kucie, robimy sobie teraz niedługą przerwę na herbatę. Szerpowie z grupy wspierającej jakiś czas temu wyruszyli w stronę jedyńki (nie chcą spać w obozie drugim), a Tenrit, Cherma, Nima, Angdawa, Dorjit i Pasang są w swoim namiocie i gotują tsampę. Cotterell siedzi u nas, pilnuje kuchenki, a Kits zajmuje się górą ładunków, sortując ostatnie rzeczy wygrzebane spod śniegu w obozie drugim.

Garrard i ja opalamy się, siedząc na składanych krzeselkach, osłaniany od wiatru przez gigantyczny kawał lodu, który znajduje się jakieś dziesięć metrów od naszych namiotów. Nima

udekorował go chorągiewkami modlitewnymi, dlatego też nazywamy go Ołtarzem Szerpów.

Słońce nadal grzeje – jesteśmy więc w samych swetrach, bez kurtek – coraz szybciej jednak ginie za zachodnimi szczytami, a na zbocza powoli nachodzi cień.

Flagi modlitewne na Ołtarzu Szerpów łopoczą na wietrze, a powietrze jest zdumiewająco czyste. Z tej białej, lśniącej półki szczyty strażnicze zdają się tak bliskie, że wydawałoby się, iż można by przeskoczyć z jednego na drugi, niczym święte śnieżne lwy z opowieści Nimy. Pamiętam, jak przytłaczające zdawały się te szczyty, kiedy obozowaliśmy koło moreny. Dziwnie się czuję, zdając sobie sprawę, że jesteśmy już wyżej od nich.

Cedric układa się u stóp Garrarda. Ta niewdzięczna bestia nadal mnie unika, ale nie jest już tak nerwowa, jak w obozie drugim, co biorę za dobry znak. Psy są wyczulone na takie sprawy.

Przede mną, daleko w dole, rozpościera się rozległy, chaotyczny galimatias, jakim jest lodowiec Yalung. To tu, to tam dostrzegam błękitny blask jakiegoś jeziora. Widzę nawet czerwone kropki namiotów naszej bazy. Moreny po obu stronach lodowca usiane są plamkami zieleni, co przypomina mi nagle, że na nizinach trwa wiosna. Próbuję przywołać obraz dżungli z niesamowitymi srokami – ale nie potrafię. To wszystko należy już do innego świata.

Siedząc tu w ostatnich promieniach słońca, jestem spokojny, ale nadal czujny. Zostawiłem za sobą obóz drugi, a wraz z nim mój strach. Cieszę się teraz cenną chwilą bezpieczeństwa w moim małym królestwie, lodową ścianą za mną, Płaskowyżem przede mną – a dalej zboczem prowadzącym do lodowca.

Lawina, która brzmi jak wystrzał z pistoletu, każe nam zerwać

się na równe nogi. W ciszy obserwujemy, jak ten wielki, biały potwór spełza w dół Siodła Talung. Widzieliśmy już dziesiątki lawin, ale człowiek nigdy się do nich nie przyzwyczaja. Cedric też się zerwał i przyciska się teraz do nogi Garrarda, szukając jego wsparcia.

– Ciekawe, czy McLellan patrzy na nas z dołu – mówi Garrard w zadumie, leniwie drapiąc psa po karku. – Ciekawe, czy nas stamtąd widzi.

– Nie sądzę – odpowiadam, ziewając. – Musielibyśmy podejść do samej krawędzi.

Garrard się przeciąga.

– Trudno go sobie wyobrazić tam na dole, nie?

– Mój Boże, to niemożliwe! – rozlega się wołanie Kitsa, słysząc go w całym obozie.

– Na Jowisza, a jednak! – krzyczy Cotterell.

Przykucają nad stertą ładunków i gapią się na coś, co leży w śniegu. Cotterell szczyrzy się, trzymając fajkę między zębami, a Kits jest czerwony i podniecony – więcej, jest w jakiejś ekstazie. Szerpowie stoją nieco z boku z obojętnymi minami.

– Co tam macie?! – krzyczy Garrard.

– Chodźcie sami zobaczyć!

– Wygląda na to, że Szerpowie za bardzo przyłożyli się odkopywania naszych rzeczy w obozie drugim – mówi Cotterell, gdy do nich podchodzimy.

– Patrzcie, co wykopali! – Kits z czcią unosi kawałek zniszczonego płótna.

Cedric nie podbiega, by zbadać znalezisko. Kładzie uszy po sobie i zaczyna się wycofywać. Nie dziwię mu się. To, co Kits trzyma w rękach, wydziela niemiły smród pleśni.

– To plecak – mówi skonsternowany Garrard. – I co dalej?

– Aha – śmieje się Cotterell. – Pytanie brzmi czyj.

Kits rzuca mi plecak.

– Zajrzyj pod klapę, Stephen. Śmiało, w życiu nie uwierzysz!
A jednak wierzę. Wiedziałem, gdy tylko to zobaczyłem.

Ponieważ ani myślę nawet dotykać plecaka, Kits podnosi przednią klapę i pokazuje nam podszewkę. Przy brzegu widnieje naszywka: haftowana maszynowo, taka sama, jak jedna z dziesiątek tych, które ciocia Ruth zamawiała, by oznaczyć nasze rzeczy szkolne.

– Dobry Boże – dyszy Garrard. – Niemożliwe!

A jednak. Zalewa mnie lodowaty pot. Przed oczami robi mi się czarno.

Nawet po tylu latach na tej górze napis na naszywce jest przerażająco czytelny: ARTHUR WARD.

14.



To ZUPEŁNIE zwyczajny plecak. Solidny, z grubego płótna, naznaczony już szarozieloną zgnilizną, z dwiema zewnętrznymi kieszeniami zapiętymi na zapleśniałe paski w zmatowiałych klamrach. Ma poplamione parciane paski. Duża klapa, ta z wszywką z nazwiskiem, odsłania wewnątrz zaciągnięte na górze sznurkiem, pomarszczone jak usta starca.

Po trzydziestu latach na górze jest zmięty, ale gdyby ktoś go rozprostował, miałby kształt mniej więcej trójkątny, z podstawą szeroką na niecałe pół metra. Nie zamierzam zgłaszać się na ochotnika. Myślałem, że kiedy miniemy urwisko, będę już bezpieczny. A teraz to. Czuję, jakby coś tu za mną szło.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć – powtarza Cotterell.

Za niemą zgodą nas wszystkich postanowiliśmy wszelkie dyskusje o znalezisku Kitsa odłożyć na czas po obiedzie. Szerpowie są w swoim namiocie, kazaliśmy im zabrać Cedrika. Nasza czwórka stłoczyła się u Garrarda i Kitsa. Ja siedzę w jednym końcu namiotu, Kits w drugim. Plecak położył sobie na kolanach. Patrzy na niego z zachwytem, jak kapłan na

relikwie.

– Było coś w środku? – pyta nagle Garrard.

– Tylko to – odpowiada Kits, z najwyższą czcią ukazując na dłoni niklowane pudełko zapalek z zakręcanym wieczkiem. Na górze widać trzy niedbale wydrapane, mniej więcej równoległe linie. Obok wygrawerowane są inicjały: AW.

– Gdzie ci Szerpowie to znaleźli? – pyta Cotterell.

– Obok naszych zapasów. Myśleli, że to nasze, więc nie zwrócili uwagi, gdzie leżało.

Garrard ściąga brwi i skubie wydatny nos.

– Ale jak plecak się tam znalazł? Myślałem, że ciało Warda wpadło do szczeliny.

– To zawsze było tylko przypuszczenie – odpowiada Cotterell. – Nikt tego nie widział. Ciało zwyczajnie zniknęło, kiedy Lyell z pozostałymi wrócił do obozu drugiego. Musiało zostać zdmuchnięte z grani, a potem przysypał je śnieg.

Garrard puszcza swój nos i ciężko wzdycha.

– A to oznacza...

– Właśnie – mówi Kits, a w jego głosie słychać podniecenie. – W *Skrwawionych, lecz niezłomnych* Lyell pisze, że Ward, tuż przed upadkiem, „obmyślił sobie, że dźwignie go jedną ręką”. Miał plecak ze sobą, jest więc bardzo prawdopodobne, że i ciało jest tam na dole! Rozumiecie? Musimy zejść i je odnaleźć!

Jestem tak przerażony, że nie mogę wykszusić słowa.

– Doradzałbym rozwagę – mówi Cotterell. – Pomyśl o opóźnieniu, nie wspominając już o stracie zapasów. Musimy brać pod uwagę konsekwencje...

– Wyrzucimy go – proponuję.

Wszyscy trzej się na mnie gapią.

– Co? – dyszy Kits.

– Pozbądźmy się go. Zrzućmy w przepaść. Rzeczy zmarłych przynoszą pecha.

Garrard osłupiał. Cotterell nie potrafi ukryć konsternacji.

– Ale, drogi kolego... nie wierzy pan chyba...

– Oczywiście, że nie wierzę – kłamię. – Ale Szerpowie wierzą, w tym problem.

– Bzdury! – wybuchła Kits. – Gdyby wierzyli, nie tknęliby tego plecaka...

– Sam powiedziałeś, że wzięli go za jedną z naszych rzeczy – mówię, po czym zwracam się do Cotterella: – Pan wie, że mam rację, majorze. Pan rozumie umysł tubylca, nawet jeśli Kits nie. Nie możemy pozwolić, by to wytrąciło tragarzy z równowagi, nie teraz, gdy jesteśmy tak blisko szczytu. I nie, Kits, nie możemy ich po prostu okłamać, nie mówić im, do kogo należał plecak. Już to wiedzą, byli tam, gdy go znalazłeś!

– Nie wiemy, czy coś zrozumieli...

– Owszem, wiemy. Widziałem wyraz twarzy Nimy. Ale nie musisz mi wierzyć na słowo, sam ich zapytaj! Założę się, że ani trochę nie podoba im się ten plecak!

Cotterell gładzi się po brodzie.

– Ma pan sporo racji, doktorze Pearce.

– Mogłoby zrobić się bardzo nieprzyjemnie, gdyby się zbuntowali – przyznaje Garrard.

Kits aż kipi. Zrobił już swoją minę wściekłego buldoga. Oczy ma wybałuszone i szkliste.

– Majorze Cotterell – cedzi – zechce nam pan wybaczyć na moment, ale muszę zamienić słowo z moim bratem w drugim namiocie.



NIEZŁA FARSA to całe „zamienianie słowa w drugim namiocie”. Żeby w ogóle dotrzeć do tego cholernego namiotu, musimy

przedrzeć się przez ciemność i zawieję. A kiedy już udaje się nam dostać do środka, otrzepać ze śniegu i tak ustawić czołówki, które mamy na głowach, abyśmy się w ogóle widzieli, musimy sprzeczać się szeptem, żeby nie usłyszeli nas Cotterell, Garrard, no i oczywiście Szerpowie.

Nic z tego jednak nie zniechęca Kitsa.

– Co się tu dzieje? – syczy. – O co ci chodzi?

– Tak jak powiedziałem Cotterellowi, rozpęta się piekło, jeśli Szerpowie...

– Niech szlag trafi Szerpów! Naprawdę uważasz, że nie powinniśmy szukać ciała Warda? Że mamy wyrzucić dwa bezcenne historyczne artefakty...

– O Chryste Panie, to jest pudełko na zapałki i spleśniały plecak!

– Są częścią historii alpinizmu!

– Tak, i w tym sęk, co, Kits?

– Co masz na myśli?

– Tu nie chodzi o Warda, tylko o pieprzonego Christophera Pearce'a! O to, abyś ty zajął miejsce w „historii alpinizmu”! Conway, Lyell, Bruce, Youngusband, Mallory... a teraz Pearce, który nie tylko rozślawił Anglię jako pierwszy zdobywca ośmiotysięcznika, tym samym nokautując szkopów, ale również jest bohaterem, który odnalazł zaginione ciało członka ekspedycji Lyella oraz dwa „becenne relikty”, przepraszam, „artefakty”!

– I co w tym złego, do diabła?

Nie mogę powiedzieć mu prawdy, uznałby mnie za szalonego.

– Kits, nie rozumiesz – mówię z nienaturalną cierpliwością – naprawdę potrzebujemy tych Szerpów, jeśli chcemy mieć choćby nadzieję na dotarcie na szczyt! Poszukiwanie ciała i skupianie się na tych... rzeczach... tylko zmniejsza szanse osiągnięcia tego, na czym naprawdę ci zależy!

Jego twarz tężeje. Wydyma dolną wargę.

– Boisz się. O to chodzi. Jesteś przerażony z powodu kawałka płótna!

– Oczywiście, że nie! Po prostu...

– Widziałem, jak patrzyłeś na ten plecak! Nawet nie chciałeś go dotknąć!

– Inni też nie chcieli, nie jest zbyt zachęcający...

– Zawsze brakowało ci jaj, co, Partaczu? Koledzy w szkole dokuczali mi z twojego powodu, nie mogli uwierzyć, że jesteśmy spokrewnieni. A jednak jakoś udało ci się uczynić z tego zaletę. Stephen jest tym mądrzejszym, prawdziwy analityczny umysł, taki cholernie ważny, zawsze patrzący z góry na prostolinijnego, może i dobrodusznego, ale też nieco tępego Kitsa.

– To nie moja wina, że jesteś głupi – odpowiadam z uśmiechem.

– Przynajmniej nie jestem tchórzem! Przynajmniej nie boję się plecaka! Cotterell nie będzie zachwycony, nie sądzisz? Prawdopodobnie zdecyduje, że już najwyższy czas, aby doktor Pearce zszedł szlakiem tragarzy i dobrze odpoczął w bazie wraz ze starym, dobrym McLellanem!

Na moment mrużę oczy, potem zmuszam się do śmiechu.

– Taki chytry z ciebie sukinsyn, co?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odpowiada z uśmiechem. – Robię tylko to, co najlepsze dla wyprawy.

– I tak się przypadkiem składa, że to jest również najlepsze dla ciebie. Och, Kits, jesteś taki cholernie przewidywalny! Najmniejsze zagrożenie dla twojej kruchej samooceny i już się rzucasz z zaciśniętymi pięściami! Kiedyś myślałem, że może robisz to świadomie, ale chyba nie jesteś na to wystarczająco cwany. Rzecz w tym, że nawet najprostsze organizmy wykształciły jakąś instynktowną zdolność samoobrony.

– A dlaczego niby miałbym się bronić przed tobą? – prycha.

– Bo chcesz, abym zszedł ci z drogi. Bo okazuje się, że wcale nie jestem takim słabym wspinaczem, jak przypuszczałeś. Prawdę mówiąc, istnieje spora szansa, że wyprzedzę cię w wyścigu na szczyt. Oto, kto z nas dwóch jest naprawdę przerażony!

Strzał w dziesiątkę. Robi się ciemnoczerwony na twarzy.

– Przerażony? Z twojego powodu?

W wejściu do namiotu pojawia się głowa Garrarda, a za nią lodowaty powiew śnieżnej zamieci.

– Jeśli skończyliście już pławienie się w braterskiej miłości, to major chce was widzieć w drugim namiocie.



PODJĘCIE DECYZJI nie przyszło Cotterellowi łatwo. Popękana skóra na jego czole usiana jest plamkami krwi. Unika naszego wzroku, gdy zawiązujemy klapy namiotu i otrzepujemy się ze śniegu.

Kits bierze plecak i trzyma go w ramionach, jakby obawiał się, że mogą mu go wyrwać i popędzić w stronę przepaści.

– Kits, Garrard, przykro mi – mówi Cotterell cierpko – ale nie będziemy szukać ciała Warda. Żadnych dyskusji, Kits, to decyzja ostateczna. Zwyczajnie nie mamy czasu. Już jest połowa maja, jeśli pora monsunowa nadejdzie szybciej, stracimy szansę zaatakowania szczytu. Nie mogę pozwolić na podjęcie takiego ryzyka.

Oddycham z ulgą i zwalczam pokusę, by rzucić Kitsowi triumfalne spojrzenie.

– Co do rzeczy Warda – ciągnie Cotterell – chociaż rozumiem pański argument w kwestii Szerpów, doktorze Pearce, nie mogę pozwolić na wyrzucanie części historii alpinizmu. Musimy po

prostu uspokoić kulisów, na ile się da, ale te przedmioty muszą zostać zachowane. – Cotterell tłumi mój protest jednym spojrzeniem, a potem nachyla się i zniża głos. – Rano wyślemy te rzeczy do bazy, odpowiednio zapakowane, aby Szerpowie niczego nie wyczuli. Wszyscy się zgadzają? Garrard? Dobrze. Kits, a ty?

Na twarzy Kitsa maluje się wściekłość. Wzdycha głośno.

– Zgoda, sir.

– A pan, doktorze Pearce?

Plecak przesuwają się na kolanach Kitsa, światło odbija się od jego kłamy. Jakby do mnie mrugał.

– Zgoda – mamroczę.

15.



COTTERELL poszedł do naszego namiotu, a ja już miałem iść w jego ślady, gdy Kits złapał mnie za ramię i kazał przysiąc, że nie rzucę plecaka w przepaść.

– Ani nigdzie indziej... Przysięgnij, że nawet go nie dotkniesz.

– Przysięgać? – mówię z niedowierzaniem. – Nie sądzisz, że trochę przesadzasz?

– Mówię serio, Stephen.

Rzuciłem okiem na Garrarda, który majstrował coś przy kuchence i udawał, że nie słyszy.

– Dobra, skoro wracamy do dzieciństwa, to ty też przysięgnij – szepczę. – Nie będziesz innym sugerował, że ja nie wytrzymuję nerwowo.

– Dobra. Ty pierwszy.

– Mam sobie rozciąć kciuk i przysiąc na krew, czy uznamy, że jesteśmy dorośli?

– Po prostu przysięgnij.

Teraz żałuję, że to zrobiłem. Wolałbym móc wrzucić plecak do szczeliny. Ale Kits nie ustępował. Nigdy nie ustępuje, póki nie

dostanie tego, czego chce.

W jednej sprawie ma jednak rację: to tylko plecak. Dlaczego więc jestem przerażony? Dlaczego nie mogę się przełamać i go dotknąć? Ponieważ naprawdę wierzę w to, co powiedziałem Cotterellowi: rzeczy zmarłych przynoszą pecha. To idzie jeszcze dalej. W przeszłości palono rzeczy nieboszczyków, aby nie mogli wrócić. Tego właśnie się boję. Że to, co nawiedza te góry, jest przyciągane przez swoje dawne rzeczy.

Przypomniało mi się coś jeszcze. Nie możemy odesłać go do bazy jutro, bo Szerpowie na dole odpoczywają i na razie nie będą wychodzili do góry. Nie możemy też pozwolić sobie, aby odesłać kogoś z góry, bo trzeba skończyć wykuwanie jam w lodzie. Jestem więc na ten plecak skazany.

Dobra, to zamyka temat. Dzisiaj zamierzam się otumanić bromem. Przy odrobinie szczęścia skończymy jamy jutro, więc będę już spał między solidnymi ścianami. A później wyruszymy na szczyt i uwolnimy się od tego wszystkiego.



BROM PODZIAŁAŁ, a po całym dniu harówki udało się nam skończyć lodowe jamy w porze podwieczorku. Cotterell i ja siedzimy w jednej, Garrard i Kits w drugiej, a Szerpowie tłoczą się w trzeciej.

Włot naszej jest ciasny, czarny i zdecydowanie mało zachęcający. Wpełza się do środka i zasłania wejście „drzwiami” zrobionymi z płóciennego worka wypchanego puszkami po konserwach. Jama jest mrocznym, opadającym tunelem z gotyckim sufitem utworzonym z zacieków. Przy brzegach wycięliśmy dwie wąskie ławy, na których śpimy. Sufit nad nimi jest tak nisko, że nie da się usiąść. Aby to zrobić, trzeba

najpierw wypełznąć na podłogę między miejscami do spania. Na końcu jamy próbowałem wyciąć niszę na nasze rzeczy, ale przypadkowo przebiłem się do czegoś, co wygląda na kolejną szczelinę. Teraz więc mamy okno, tyle tylko że ciemne.

Lampy na baterie nie chcą działać, wróciliśmy więc do naftowych. Lubię ich blask i zapach parafiny. Z palącą się lampką i prymusem w jamie jest zaskakująco ciepło – tylko kilka stopni poniżej zera. Jest też jednak strasznie ciasno.

– Jak na dole piętrowej pryczy – mamrocze Cotterell, zapinając śpiwór. – Gdzie Cedric?

– Z Szerpami – mówię, zmuszając się do śmiechu. – Najwyraźniej unika zarówno mnie, jak i Kitsa. A może nie podoba mu się ten plecak.

Cotterell nie odpowiada. Przesadził z wysiłkiem przy kuciu i teraz ma lekkie problemy z sercem. Leczę go kardiazolem i nakazałem mu, by jutro został tu i odpoczywał. Z czego wynika problem dla mnie. Liczyłem na to, że pójdę do góry z Garrardem i Kitsem, ale jak mam tu zostawić Cotterella?

– Myślę, że zostanę tutaj i będę miał na pana oko – mówię.

– Nie ma takiej potrzeby – odpowiada szorstko. – Lepiej niech pan idzie z nimi.

– Nie chodzi tylko o pana. Cherma ma początki ślepoty śnieżnej...

– Niech pan posłucha. Za dzień czy dwa będę zdrów jak ryba, tak samo jak i Cherma. A jeśli nie, to pana znakomity człowiek, Nima, pomoże nam obu zejść do obozu drugiego.

Podejrzewam, że prawdziwym powodem, dla którego Cotterell naciska, bym poszedł, jest nadzieja, że będziemy mogli w czasie wspinaczki „odbudować więzi” z Kitsem. Jest tak stanowczy, że muszę ustąpić. Prawda jest taka, że mi to pasuje. Ostatnia rzecz, na którą mam ochotę, to zostawać tutaj. Muszę znaleźć się od tego plecaka tak daleko, jak to tylko możliwe.

Kiedy lampa dogasa, czuję, jak na moje oczy napiera ciemność. Leżę nogami w stronę wejścia. Tak jak Cotterell. Nie przeszkadza mi ten spadek. Jeśli odpowiednio się wykręcę, mogę dojrzeć wykrzywiony pierścień stłumionego, szarego księżycowego światła wokół worka zasłaniającego wejście. Wygląda, jakby był bardzo daleko ode mnie.

Powietrze jest mroźne i zatechłe. Im głębiej oddycham, tym bardziej brakuje mi tchu. Z wysiłkiem próbuję się uspokoić. Zatkałem ciemne „okno” zwiniętą koszulą, ale wciąż jestem świadomy pustki, która się za mną rozpościera. Wyciągam rękę i dotykam twardego lodu, piętnaście centymetrów od mojej twarzy. Czuję się jak uwięziony w szklanej kuli. Że też ta myśl w ogóle przyszła mi do głowy.

Raz po raz lód trzeszczy i jęczy jak żywy organizm. W tej ciasnocie każdy dźwięk brzmi, jakby docierał do mnie z głębokiej ciemności. Łapię się na tym, że nasłuchuję, jak Cotterell wierci się w śpiworze. Jego oddech jest nieprzyjemnie głośny i o wiele mniej uspokajający niż wcześniej.

Mówię sobie, że za kilka godzin będzie ranek, że plecak wyruszy w dół, do bazy, a ja w górę, w stronę Wielkiej Półki. Z ulgą stwierdzam, że nadal chcę się wspinać na tę górę. Oddałbym wszystko za szansę zaatakowania szczytu – nawet jeśli w tym celu trzeba będzie „odbudowywać więzi” z Kitsem.

Z jakiegoś powodu nie potrafię jednak uwierzyć, że wszystko to naprawdę się wydarzy. Wciąż zapewniam samego siebie, że tak będzie, ale to wydaje się nierzeczywiste. Gdzieś na dnie mojego umysłu trwa niezachwiane przekonanie, że jakaś siła postanowiła zatrzymać mnie tutaj, w obozie trzecim.

To beznadziejne. Mam już dość tego leżenia. Weronal – to mój klucz do głębokiego snu. Zachowanie pełnej świadomości w lodowej jamie to nie jest rzecz godna polecenia.



BUDZĘ SIĘ w czarnej jak węgiel ciemności. Jakiś głos szepcze na zewnątrz:

– Doktor sahib! Oczy Chermu bardzo źle. Proszę, doktor, przyść.

Zadziwiające, ale kiedy wciągam buty, kurtkę i wypełzam na zewnątrz, Cotterell chrapie w najlepsze. Minęła czwarta, obóz skąpany jest w lodowym półmroku, jaki następuje tu przed świtem. Jest straszliwie zimno. Wiatr kłuje mnie w płuca jak sztylety.

Jama Szerpów jest ciepła. Unosi się w nich zaduch niemytych męskich ciał i ostry aromat *paanu*. Biedny Cherma straszliwie cierpi.

– Oczy mi się topią, doktor sahib! Chcą wypłynąć!

Wiem, jak się czuje. Kiedy to samo dopadło mnie w Alpach, czułem pod powiekami potłuczone szkło.

– Obiecuję, że tabletki bardzo szybko pomogą – mówię mu. – Tak samo krople.

Nima wręcza mi kubek parującej herbaty.

– Wspina się pan dziś, doktor sahib?

Potakuję.

– Sahib Garrard znalazł drogę na Wielką Półkę. Tenrit, Dorjit i Angdawa pójdą z nami, ale ty, Pasang, i biedny Cherma zostaniecie z sahibem majorem. I słuchaj, Nima...

– Tak, doktor sahib?

– Jeśli zdrowie sahiba majora pogorszy się choćby w najlżejszym, powtarzam, w najlżejszym, stopniu, musisz natychmiast sprowadzić go do obozu drugiego, czy on się na to zgodzi, czy nie. Rozumiesz?

Przez jego pomarszczoną, goblinową twarz przemyka cień. Nie

podoba mu się perspektywa wydawania rozkazów Cotterellowi.

– A trupi plecak, doktor sahib? Co z nim?

Trupi plecak. Odchrząkuję.

– Gdy tylko Lobsang i pozostali dotrą tutaj rano, ten... no... plecak pójdzie z nimi do bazy. – Po fakcie orientuję się, że właśnie uniemożliwiłem nam ukrycie przed Szerpami, że będą nieśli plecak. Ale na to i tak nie było wielkiej szansy: nie są głupi i zawsze dobrze się orientują, co jest w niesionych przez nich ładunkach. – No i tak niedługo plecak będzie bezpieczny u sahiba McLellana i będziemy o nim mogli zapomnieć – mówię dziarsko.

– Tak, doktor sahib. – Nima wygląda na zdezorientowanego, jakby zastanawiał się, czy sam wierzę w to, co powiedziałem.

Cherma leży, cicho pojękując, podczas gdy pozostali sączą w ciszy herbatę. Nie mówią po angielsku tak dobrze, jak Nima. Nie mam pojęcia, ile zrozumieli z naszej rozmowy.

– Gdzie jest Cedric? – pytam nagle.

Nima mruży oczy.

– Nie ma go z panem, doktor sahib? Jest z nami w nocy, ale gdy się budzimy, wychodzi.

– Głupi pies, mógł się zgubić. Lepiej pójdę sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku.

Kiedy odstawiam kubek, Nima podaje mi jakiś przedmiot.

– Dla pana, doktor sahib. Na wspinanie.

Jestem zdumiony. To biały, przypominający wstęgę szal, który Nima nosi na szyi. Ten, na którym ma swoje modlitwy.

– Ale, Nima, nie mogę... Twoja żona zrobiła go dla ciebie...

– Jest dla pana, doktor sahib – nalega zaskakująco stanowczo. – Jest niebezpieczeństwo. Dobrze go mieć.

Patrzy na mnie z nieśmiałością podszytą współczuciem. Czy ma na myśli coś więcej niż fizyczne niebezpieczeństwo? Czy on wie?

Z przerażeniem stwierdzam, że mam kluchę w gardle, a oczy zaczynają mnie piec. Dotąd czułem się taki samotny. Pomyśleć tylko, że ktoś inny mógłby podejrzewać, co ja...

– Dziękuję – mówię ochrypłym głosem, upychając brudną wstęgę w kieszeni i wypadając z jamy, zanim na dobre zdążę się ośmieszyć.

Cedrika nie ma z Garrardem i Kitsem, nie błąka się też nigdzie po obozie. Stąпам ciężko w półmroku, wołając go i próbując wziąć się w garść. Szary śnieg unosi się z ziemi, kiedy docieram w pobliże składu zapasów i latryny, idąc dalej aż w stronę ciemnogrnatowej plamy przepaści. Wychylam się znad krawędzi tak daleko, jak mogę.

– Cedric? – Echo z ciemności odpowiada imieniem psa. Stwierdzam z ulgą, że nigdzie na dole nie widzę jego bladej kudłatej sylwetki. Potem go słyszę. Stłumione piski tuż za mną. – Och, Cedric, głupia bestio!

Ostatniej nocy, kiedy już skończyliśmy wykuwać jamy, wyczerpani Szerpowie zwinęli namioty i zostawili je na stercie skrzyń. Leży tam płatanina lin i płótna, która teraz lekko się porusza.

Cedric jest ogłupiały, a wydobyć go to nie lada zadanie, bo muszę cały czas przyciskać namioty skrzynkami z zaopatrzeniem, aby wiatr ich nie zwał. Wreszcie pies jest wolny, skowyczy z radości i obślinia mnie od stóp do głów.

– Aha! Już mnie teraz nie unikasz, co, bratku? To cię nauczy nie grzebać w zapasach. Au!

Klęczę w śniegu, a on pyskiem trąca moją twarz. Pierwsze promienie słońca omiatają zachodnie szczyty. Czuję się lepiej. Przy Ołtarzu Szerpów stoi Pasang i cichutko śpiewa modlitwy. Z jamy Garrarda i Kitsa dobiega zwyczajowy poranny kaszel. Lód nade mną ma kolor ciemnego granatu. Jeszcze wyżej – poza zasięgiem wzroku, a jednak niemo mnie wzywający –

znajduje się szczyt, na który zamierzamy się wspiąć. O mało o nim nie zapomniałem, ale on nadal tam jest – z całym swoim pięknem i okrucieństwem. Nie, to nie jest okrucieństwo. To przecież tylko góra: Szklana Góra, do której tęskniłem przez całe życie. Nic nie może mi tego odebrać.

Cedric zaczyna konwulsyjnie drżeć, a moje myśli natychmiast wracają do rzeczywistości. Pies dyszy przerażony, uszy położył płasko wzdłuż czaszki i ściągnął ciemne wargi. Z szaleńczym skomleniem wyrywa się z mojego uścisku i pędzi do jamy Szerpów.

Niebo zakryły chmury i nagle robi mi się zimno. Nawet słońce wygląda złowrogo. Rzuca szare światło, jakby było strapione czy złe. Wiatr ciągle wieje, ale ja go już nie słyszę. Nie słyszę syku śnieżnej zamieci, nie słyszę ryku nad Siodłem. Nie słyszę śpiewów Pasanga ani kaszlu Garrarda i Kitsa. Cisza siada mi na piersiach, jak we śnie – ale to nie jest sen. Znajduję się wewnątrz ciszy, odcięty od wszystkich ziemskich spraw.

Głowa mnie szczypie, a moje ciało drży, bo wie już, co tam jest. Przerazenie tkwi we mnie jak kamień. Nie mogę się ruszyć.

Stoi po drugiej stronie przepaści.

Kiedy widziałem go na spiętrzeniu urwiska, była noc, ale teraz nie ma już litościwego mroku, który mógłby go przykryć i zostawić trochę miejsca na wątpliwości; jest tylko bezlitosne, nienaturalne, chore, szare światło.

Widzę go tak wyraźnie jak własne ręce w rękawiczkach, którymi ściskam kolana. Widzę kurtkę, kominiarkę i kaptur – wszystko pokryte szronem, więc chociaż sylwetka należy do człowieka, to ma się wrażenie, iż jest wycięta z lodu. Wokół niego śnieg unosi się i wiruje na bezgłośnym wietrze, on sam jednak pozostaje nieruchomy, a długie tasiemki jego kaptura zwisają prosto. Lód pokrywa jego okulary lodowcowe, przez co wygląda, jakby nie miał oczu, a jednak gdzieś w odległym

krańcu mózgu wiem, że on widzi. Jego wrogość uderza mnie jak mroźny powiew z przepaści: wściekłość, której nie ma końca, bezgranicznie silna, wyjąca, wieczna ciemność, z której nie da się umknąć.

Dociera do mnie jakiś głos z innego świata.

Z ogromnym wysiłkiem odwracam głowę w stronę obozu. Widzę róg „drzwi” jamy Szerpów. Są odsunięte, śnieg plami promień żółtawego światła. Słyszę, jak Garrard woła Kitsa na śniadanie. Słyszę wiatr ryczący nad Siodłem.

Kiedy odwracam się w stronę przepaści, jego już tam nie ma.

Ale był tam. Widziałem go.

A co gorsza, on też widział mnie.

16.



MIAŁEM więc rację co do plecaka. Ale myliłem się, czując ulgę po umknięciu z obozu drugiego. Zakładałem, że jakieś prawo nakazuje mu tkwić tam, gdzie zginął, niczym duchowi z wiktoriańskiej przypowieści świątecznej, który wciąż na nowo musi odgrywać swoją śmierć. Ale to, co widziałem po drugiej stronie przepaści, nie jest uwiązane do obozu drugiego. I niczego nie odgrywa.

Ale dlaczego nawiedza to miejsce? Mój umysł wciąż powraca do tej kwestii. I dlaczego jest zły? Może Kits miał rację, mówiąc, że powinniśmy poszukać ciała. Czy tego właśnie chce? Aby znieść jego ciało i pochować obok towarzyszy na wzgórzu? Spoczywaj w pokoju, Arthurze Ward?

Nie, nie o to chodzi, jestem tego pewien. Nic tak prostego. To, co czułem, stojąc po drugiej stronie przepaści, z pewnością nie było pragnieniem znalezienia wiecznego odpoczynku. Była to czysta wrogość i wściekłość skierowana wprost na mnie.

Przypomniał mi się jeszcze jeden powód, dla którego duchy czasem mogą się objawiać: aby ostrzec człowieka przed

zbliżającą się śmiercią.

Czy to właśnie dlatego widzę go tylko ja? Czy to zapowiedź mojej śmierci? Myślę o Cedriku, który mnie unika. Myślę o góraku, który w bazie przysiadł na moim namiocie. Czy to dlatego Nima dał mi swoją wstęgę? Bo niedługo umrę?

– Stephen, możesz na słowo? – pyta Kits. Stoi kilka metrów ode mnie, dłonie oparł na biodrach, wygląda bardzo prawdziwie i realnie.

– Za minutę – mamroczę.

– Teraz. W mojej jamie. Raz, raz!

Patrzę oszołomiony, jak przedziera się w stronę wejścia do jamy.

Ale nawet jeśli zupełnie się mylę w każdej kwestii, jeśli nie wiem, co tak naprawdę widziałem na szczycie urwiska i teraz, nad przepaścią – nawet jeśli wszystko to jest po prostu efektem niedoboru tlenu – w czym mi to pomoże? Sam pomyśl, że od tej wysokości mam koszmary na jawie, że rozrzedzone powietrze zakłóca moją percepcję, że przez to mój umysł oszukuje mnie i zdradza... To przerażające.

To jak jakiś rodzaj opętania.



SIEDZĘ Z KITSEM w jego jamie. Garrard też tu jest, nieśmiały i zawstydzony swoją rolą świadka.

– Świadka czego? – pytam w roztargnieniu.

– Tego, co zamierzam ci pokazać – mówi Kits. – Chcę być pewny, że moja część umowy zostanie dotrzymana. – Wyciąga puszkę na zapalniczki Warda i z ostentacyjną troską umieszcza ją w plecaku, po czym pakuje go do jednej z oliwkowozielonych toreb, w których przesyłamy pocztę. – Dołączyłem też list do

McLellana – dodaje, ściągając usta. – Nie mam wątpliwości, że on doceni historyczne znaczenie przedmiotów, które powierzam jego opiece. Dobra. – Porządnie zabezpiecza torbę, robiąc na niej podwójny węzeł. – Powiedziałem Nimie, aby dał to Lobsangowi, jak tylko jego grupa tutaj dotrze. Ma dostać rozkaz natychmiastowego zanieśienia tych rzeczy do bazy. Zadowolony?

– Oczywiście. Wystarczyłoby mi twoje słowo.

– Wolałem, żebyś sam zobaczył, skoro, jak widać, tak wiele to dla ciebie znaczy – mówi z ostentacyjną cierpliwością. Zmęczony starszy brat zaspokajający dzikie pomysły młodszego.

A może taki dziki pomysł, Kits? Może sam napisałbym list do McLellana? *Drogi McLellanie, ten plecak jest przeklęty, spal go natychmiast.* Czy to by dobrze wyszło?

Po namyśle muszę stwierdzić, że Kits byłby tym zachwycony. Jasno powiedział, że uważa moje postępowanie za nieracjonalne, ale tak łatwo się mnie nie pozbędzie. Postanowiłem. Bez wątpienia nadal będę się wspinał. Niech mnie szlag trafi, jeśli dam mu satysfakcję i pozwolę zostawić się tutaj, by doglądać Cotterella, podczas gdy on będzie atakował szczyt.



PROWADZI KITS, potem idzie Garrard, potem ja, Szerpowie, a wreszcie Cedric, którego raz jeszcze „zapomniałem” odesłać do bazy. Pies służy mi za system wczesnego ostrzegania. Jeśli to coś pójdzie naszym śladem, on zorientuje się pierwszy.

Na szczęście nie musimy wspinać się po lodzie, bo Garrard znalazł drogę zacienionym żlebem po wschodniej stronie. To

trudna robota – rąbanie stopni w plątaniu wielkich kamieni, skał i lodowych iglic (jak mogłem kiedyś za tym tęsknić?). Miejscami lód jest tak rozmiękły, że mój czekan zapada się z niepokojącą łatwością. Gdzie indziej jest twardy jak stal. Z wysiłkiem odrąbuję jego strzępy, które spadają, wywołując złowieszcze, przytłumione echo. A wszystko to podszyte jest nieustannym przerażeniem. Jeśli on pokazuje się nawet w biały dzień...

Obok schodzi lawina, pokrywając nas śniegiem. Kiedy jest po wszystkim, Garrard wybucha nerwowym śmiechem.

– Mało brakowało.

Nie odpowiadam. Są gorsze rzeczy niż lawiny.

Po dwóch wyczerpujących godzinach wychodzimy na grań w kształcie ogona wieloryba, która jak się okazuje, wyprowadza nas prosto na Wielką Półkę. Kits jest zachwycony.

– Po prostu spokojnie przejdziemy całą tę drogę!

Jak zwykle w takich przypadkach grań okazuje się o wiele bardziej stroma, niż się wydawało. Śnieg jest twardy, ale jesteśmy już dobrze powyżej siedmiu tysięcy metrów, więc sam wysiłek, konieczny, by postawić jedną stopę przed drugą, jest olbrzymi. Całą swoją wolę koncentruję na chrapliwym oddechu i potwornie obolałych nogach. Krok. Wdech. Wydech. Krok. Wdech. Wydech.

Nie uszliśmy daleko, a już jesteśmy wyczerpani. Przystajemy, dysząc ciężko, gdy nagle Garrard sztywnieje.

– Co to jest tam w dole? – sapie.

– Gdzie? – dyszy Kits.

– Jakieś trzydzieści metrów niżej... Na szlaku.

Serce zaczyna mi łomotać. Głęboko w żlebie widać jakąś postać, która idzie naszym śladem. Kits przez chwilę szuka lornetki.

– To Pasang – stwierdza.

O Boże, coś się stało z Cotterellem. Nie powinienem był go zostawiać. Co ja sobie myślałem? Obawiając się najgorszego, wracamy po własnych śladach w stronę szlaku tragarzy, wychodząc na spotkanie mozolącego się chłopaka.

Jest wykończony, kaszle i ciężko podpira się na swoim czekaniu.

– Major sahib gorzej – rzezi. – Nima mówi, doktor sahib szybko przyjsć!

– Ale dlaczego, do diabła, czekali? – wybucham. – Powiedziałem Nimie, że przy najmniejszym objawie pogorszenia ma sprowadzić go prosto do obozu drugiego!

Chłopak odpowiada jedynie mruganiem pokrytych szronem powiek. Jest przestraszony, nic nie rozumie.

– Możemy ciągnąć zapałki – sugeruje Kits.

– Nie bądź głupi. Ja jestem lekarzem, oczywiście, że pójdę!

Wiedziałem, że to się stanie. Wiedziałem, że nie uda mi się uciec.

– Straszny pech, bracie – mówi Kits. Stoi tyłem do przepaści, okulary lodowcowe zsunął na czoło, usiłuje powstrzymać uśmieszek. Wie, że to ja muszę zejść. Sugerował ciągnięcie zapałek tylko po to, by odegrać przed Garrardem wcielenie sprawiedliwości.

Zastanawiam się, co by było, gdybym go popchnął. Przez moment wyobrażam sobie wyraz przerażenia na jego twarzy. Nieme niedowierzanie Garrarda...

Bóg mi świadkiem, że nie mam najmniejszej ochoty tego zrobić. To tylko jałowa myśl. Taka sama jak te, które miewamy w metrze, kiedy nagle przychodzi nam do głowy: „A gdybym tak skoczył pod pociąg?”. Ale już samo to, że w ogóle coś takiego przyszło mi na myśl, sprawia, że czuję się podle.

Kładę dłoń na ramieniu Kitsa i lekko je ściskam.

– Uważaj tam na górze, staruszk. I nie ciesz się aż tak

bardzo. Zanim się obejrzysz, dołączę do was w obozie czwartym!



WIEDZIAŁEM, że będę musiał wrócić do obozu trzeciego. Pasang sprawia wrażenie, jakby też miał tę świadomość. On wie, że jestem naznaczony. Trzyma się ode mnie na ostrożny dystans, kiedy schodzimy szlakiem tragarzy.

Tak samo Cedric. Wynalazł nowy sposób przechodzenia przez najtrudniejsze miejsca, ale nie z moją pomocą. Kiedy Pasang znajduje się dokładnie pod nim, pies pół skacze, pół osuwa się na ramiona chłopaka i używa ich jak trampoliny, by przenieść się w bezpieczne miejsce. Gdy zrobił to po raz pierwszy, o mało nie przewrócił Pasanga, ale od tego czasu Szerpa, gdy tylko słyszy, że Cedric się zbliża, mocno opiera się na czekaniu. Pozwalam im iść przodem, abym od razu mógł dostrzec jakąkolwiek zmianę w zachowaniu psa.

Jest już dobrze po południu, kiedy ukazuje się obóz trzeci. Dostrzegam czarne paszcze lodowych jam, skład zapasów i przepaść, a z przodu, na Płaskowyżu, gigantyczny lodowy blok, czyli Ołtarz Szerpów.

Nie widzę nikogo. Z niepokojem wyobrażam sobie Nime pochylającego się w jamie nad Cotterellem, który jest w coraz gorszym stanie. Jak mogłem go tu zostawić? A jeśli on...

Na ostatnim odcinku Cedric wyprzedza Pasanga i wpada na Płaskowyż. Patrzę, jak pędzi obok Ołtarza Szerpów i zatrzymuje się, węsząc. Po chwili opuszcza uszy i gna jak najszybciej przez obóz, w stronę traserów znaczących szlak prowadzący do obozu drugiego.

– Cedric! – wołam. – Tutaj! Cedric! – Pies nawet się nie ogląda. W przerażeniu obserwuję, jak biała brudnawa plamka znika

w lśniącym lodowym chaosie. Po chwili już go nie widać. – Cedric! – krzyczę i sam jestem zszokowany rozpaczą w moim głosie.

Już wcześniej zdarzało mu się gdzieś przepaść, ale teraz jest zupełnie inaczej. Teraz mam poczucie, że to ostateczne rozstanie. Oczy miał rozszerzone, jakby zaraz miały wypaść z czaszki. Był naprawdę przerażony.

Pasang gapi się na mnie. Nie mogę stracić panowania nad sobą, to by go tylko dodatkowo zaniepokoiło.

– Cóż, i tak miałem go odesłać do bazy – mówię wesoło. – Oszczędził nam tylko kłopotów!

Ale w środku jestem roztrzęsiony. To przerażające, w jak wielkim stopniu zacząłem polegać na tym psie. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę zniknął.



W JAMIE SZERPÓW nie ma nikogo. Ani w naszej, ani u Garrarda i Kitsa. Wszyscy zniknęli. Nim to sobie uświadamiam, mija chwila. Obóz trzeci jest opuszczony.

Panika na twarzy Pasanga jest jak odbicie mojej własnej.

– Nie ma się czym martwić, Pasang. Zostawili nam list.

Rzeczywiście, na pryczy Cotterella leży kartka wyrwana z notesu, przygnieciona puszką kawy. Przebiegam tekstem wzrokiem i uśmiech zamiera mi na ustach.

– Wszystko jest dobrze – mówię do Pasanga, który kucnął przed jamą i żuje betel. – Nima i Cherma zabrali sahiba majora do obozu drugiego. Jest już za późno, żebyśmy dzisiaj za nimi poszli. Zostaniemy tutaj na noc i rano zejdziemy.

Chłopak wskazuje palcem jamę Szerpów.

– Ja tam, doktor sahib?

– Lepiej rozłóż się tutaj ze mną, będzie ciepiej.

Niepewnie kiwa głową i znów pokazuje drugą jamę.

– Pasang tam, tak?

Nie rozumie. A może odrzuca go pomysł spania w jednej jamie z sahibem.

– Bardzo dobrze – mówię. – Rozłóż się tam i zrób nam herbatę.

Kiedy sobie idzie, ponownie czytam liścik Cotterella.

Drogi doktorze Pearce, zaczyna Cotterell pewnym charakterem pisma, który pod koniec staje się wyraźnie rozchwiany. Wcześniej czułem się źle, więc Pasang spanikował i popędził, by Pana przyprowadzić. Na szczęście od tamtego czasu znacznie się poprawiło, lecz Pański cudowny Nima zdecydował, że nie można czekać i zabiera mnie do obozu drugiego – wbrew mojemu stanowisku, ale jak rozumiem, otrzymał od Pana rozkazy i jest imponująco stanowczy! Proszę za nami nie podążać. Czuję się na tyle dobrze, że mogę iść i bez wątpienia zejście bardzo mi pomoże.

Musi Pan też wiedzieć, że zespół Lobsanga (który przyszedł i poszedł jeszcze przed tym wszystkim) przyniósł torbę z pocztą z bazy. Proszę zanieść listy Garrardowi i Kitsowi, to kluczowe dla morale. Powtarzam, niech Pan za mną nie idzie! To rozkaz służbowy. Chcę, by Pan był tam, gdzie będzie Pan najbardziej potrzebny: z G. i K. w czasie ataku na szczyt. Przepraszam, że przysporzyłem Panu kłopotów. Prześlę kolejny list następną „pocztą Szerpów”. Dam znać, jak się czuję. Pański, Gordon Cotterell.

Przeraża mnie cisza w obozie. Jak mam tu przetrwać do rana z samym tylko Pasangiem?

I co właściwie Cotterell ukrywa za tym swoim wojskowym nonsensem o „służbowych rozkazach”? Najwyraźniej zależy mu

na tym, by nie stanąć na drodze do sukcesu ekspedycji, jednak jego stan musiał na tyle zaniepokoić Nimeę, że ośmielił się zmusić majora do zejścia. Niech mnie szlag trafi, jeśli posłucham jego „rozkazu”. Muszę iść na dół i pomóc mu najszybciej, jak to możliwe.

Jest druga po południu. Za późno, by schodzić. A może nie? Gdybyśmy wyruszyli teraz, czy udałoby nam się dotrzeć przed zmierzchem?

Może Pasang dałby radę, ale ja nie. Po dwukrotnym przejściu przez tamten żleb jestem chory ze zmęczenia, a każdy mój mięsień woła o odpoczynek. Nie mam innego wyjścia, jak zostać tutaj. Nigdy nie miałem innego wyjścia.

W torbie pocztowej są trzy zawiniątka z listami, troskliwie posortowanymi przez Cotterella. Rzucam moją porcję na pryczę i wołam Pasanga. Pojawia się natychmiast – podejrzewam, że czekał na zewnątrz – a ja wręczam mu torbę zawierającą listy do Garrarda i Kitsa.

– Wrzucić to do swojego *doko*. Jutro zanieziesz je sahibowi Kitsowi do obozu czwartego.

Kiwa głową. Nie wiem, ile zrozumiał, jestem jednak zbyt zmęczony, by próbować raz jeszcze.

– Doskonale, Pasang, możesz już iść.

– Tak, doktor sahib.

Mogę teraz zaciągnąć workowe „drzwi” i obciążyć je puszkami; zapalić prymusa pod rondelkiem ze śniegiem i owinąć się śpiworem, nie zdejmując nawet butów.

Musiałem przysnąć. Kiedy się budzę, światło wokół drzwi jest przygaszone, a na syczącej maszynie rondel jest już wypełniony wodą.

Miejsce Cotterella jest złowieszczo puste. Czuję, że muszę coś z tym zrobić, więc pod wpływem impulsu zmieniam ją w prowizoryczny składzik, zarzucając ją zapasami

przyniesionymi z głębi jamy: puszkami z herbatą i napojami czekoladowymi, mączką sago, pralinkami z brandy, ciasteczkami, torbą pocztową...

Torba pocztowa? Przecież dałem ją Pasangowi. Musiał mnie źle zrozumieć i zostawił ją tutaj.

– Pasang! – krzyczę.

Nie odpowiada. Pewnie śpi.

Mamrocząc pod nosem, wciągam kurtkę i wypęlam na zewnątrz. Jest po trzeciej. Niebo zaciągnięte chmurami, panuje przenikliwie zimno.

Pasanga nie ma w jamie. Jest na szlaku tragarzy, w połowie drogi w górę szerokiego żlebu. Cholerny głupek, nie zrozumiał mojego polecenia. Ruszył do Garrarda i Kitsa jeszcze dzisiaj.

– Pasang! Wracaj!

Jest zbyt daleko, by mnie usłyszeć. Albo nie chce mnie słyszeć.

Wpęlam do jamy i biorę lornetkę. Widzę go, ma *doko* na plecach. Na górze kosza podskakuje jego śpiwór i torba pocztowa.

Torba pocztowa? Ale przecież jest tutaj, widziałem ją przed chwilą.

Powoli opuszczam lornetkę. Zaczyna docierać do mnie prawda. Owszem, w mojej jamie jest torba pocztowa, ale nie ma w niej listów.

Torba czeka na mnie, gdy wpęlam do środka. Ściągam obie pary rękawic i zaczynam walczyć z podwójnym węzłem Kitsa, po czym otwieram worek. W uszach mi dudni. Czuję, że osuwam się w ciemność. Nic mnie nie zmusi, bym włożył rękę do tej torby. Nie chcę nawet do niej zaglądać. Zamiast tego chwytam ją za rogi i obracam do góry dnem.

Na pustą pryczę ze stłumionym łopotem wypada plecak Arthura Warda.

17.



PLECAK leży na pustej pryczy, wydzielając kwaśny zapach pleśni.

Cholera jasna, Nima, dlaczego nie dałeś go Lobsangowi? Dlaczego sam go nie zabrałeś?

Chwytam plecak za pasek i zrzucam go z pryczy, przewracając przy okazji lampę naftową, która spada z łoskotem, wylewając z siebie parafinę.

Workowe „drzwi” łopoczą na wietrze. Wpadające przez nie światło pada na zielonoszary materiał plecaka. Główna klapa jest zamknięta na klamrę, ale mogę sobie wyobrazić jego zaciągniętą sznurkiem paszczę pod spodem.

Czekanem wypycham plecak na zewnątrz. Potem wypełzam przed jamę i popycham go dalej, prosto do sąsiedniej jamy. Pętla czekana zaczepia o jedną ze sprzączek plecaka, więc kiedy próbuję wyciągnąć czekan, plecak do mnie wraca.

– Nic z tego – warczę, odsuwając go od siebie.

Nagle uprzytamniam sobie, jak muszę teraz wyglądać. Zarośnięty włóczęga z szaleństwem w oczach klęczy na śniegu

i walczy z plecakiem. Chryste Panie, Stephen, weź się w garść! Nie zrobi ci krzywdy. I niczego tu nie ściągnie. Nic za nim nie przyjdzie.

To tylko słowa. Jest w tym wszystkim jakaś przerażająca nieuchronność. Ja, ten plecak, to, co nawiedza tę górę. Wszystko razem tutaj, w obozie trzecim.

Chmury zniknęły, niebo ma kolor lodowatego, krystalicznie czystego błękitu. Blask słońca na śniegu jest oślepiający. Wiatr ryczy ponad Siodłem, chorągiewki modlitewne łopoczą na Ołtarzu Szerpów. Niedaleko mojego kolana widać szkarłatną plamę na śniegu, tam, gdzie Pasang wypluł *paan*. Pasang, którego już tu nie ma.

Jestem sam na wysokości siedmiu tysięcy metrów, w lodowej dziczy. Muszę się teraz trzymać. Jeden maleńki błąd i może być po wszystkim.

Och, mój Boże, właśnie prawie go popełniłem. Zapomniałem założyć rękawiczki. Moje palce są sztywne, jakby były z wosku.

– Nie, nie, nie – mamroczę, wpełzając z powrotem do jamy. Nie czuję również swoich stóp. Byłem tak głupi, że nie zdjąłem getrów i teraz są przymarznięte do łydek. Na butach wciąż mam raki, całe oblepione śniegiem. Wyobrażam sobie siebie bez dłoni i stóp – nic, tylko czarne, przeżarte gangreną, odmrożone kikuty.

Za co wziąć się najpierw? Za dłonie. Bez nich jestem trupem. Bez stóp jedynie kaleką.

– Dobrze – mówię na głos. – To logiczne. Krok po kroku.

Chwila grzebania w rzeczach i już znajduję rękawice zawinięte w śpiwór. Wciągam je i wciskam dłonie pod pachy. Ciepło jest bolesne, ale to dobrze, bo oznacza, że odmrożenia są powierzchowne.

Teraz stopy. Palce w rękawiczkach są tak niezgrabne, że mijają wieki, zanim udaje mi się ściągnąć sztywne od lodu getry

i odpiąć raki. Potem zabieram się do butów. Przez cały czas z niepokojem patrzę na światło przenikające do jamy. Jest dobrze po trzeciej. Jeszcze tylko kilka godzin, zanim zacznie się ściemniać.

Lampy naftowej nie da się już naprawić. Będzie mi potrzebne światło, a na latarce nie mogę polegać. Grzebiąc na tyłach, z radością znajduję paczkę świec i klosz. Oczy mnie szczypią. Staroświecka obudowa z miki przypomina mi ciocię Ruth.

Kiedy po raz ostatni coś jadłem albo piłem? Znajduję puszkę pralinek z brandy i wrzucam kilka do gorącej wody na prymusie. Topią się zbyt długo, a ja mam dość czekania. Wlewam nieco brei do kubka i piję łąpczywie. Potem siedzę nieruchomo i zbieram się w sobie.

Nadal mam na nodze jeden but. Kolejny wiek trwa zdejmowanie go i ściąganie skarpety. Stopy mam blade i twarde, a kiedy naciskam podeszwę przez dłuższy czas, wgłębienie nie znika.

– Głupek, głupek – szepczę. Muszę przywrócić krążenie krwi, ale za bardzo bolą mnie ręce, żebym mógł pocierać nimi stopy. Robię prowizoryczny termofor: zawiązuję kawałek przewodu z butli tlenowej i wypełniam resztą słodkiej wody. Potem wkładam trzy pary skarpet i owijam przewód wokół stóp, całość okręcając grubym szalem. Zaczynam czuć w stopach mrowienie. Bogu dzięki!

Podniesiony na duchu, podpełzam do wyjścia i zgarniam do garnka więcej śniegu – celowo nie patrząc na plecak. Potem stawiam garnek na prymusie, by stopić śnieg na owsiankę. Nie jestem głodny, mam mdłości. To zły znak.

Muszę zrobić sobie przegląd techniczny. Dobra, Stephen, jesteś doktorem. Pora trochę podoktorować.

Oprócz lekkich odmrożeń i mdłości mam tylko normalny na takiej wysokości kaszel, ale nie toczę piany ani nie pluję krwią,

nie ma więc żadnych oznak obrzęku płuc. Skaleczenie na dłoni nie chce się zagoić, a kiedy patrzę na rozmazane odbicie swojej twarzy w przykrywce rondla, dostrzegam pęknięte naczynko w oku, zalewające białko niepokojącym szkarłatem. Nie czuję bólu, to pewnie nic poważnego. Martwi mnie natomiast moje niezdecydowanie. To kolejny objaw choroby wysokościowej. Pytanie tylko, jak poważny.

Aby sprawdzić swoją sprawność umysłową, głośno wymieniam nazwy wszystkich kości stopy. Potem dłoni. Dobrze, chyba pamiętam wszystkie. Z pewnością dobry jest też test chodzenia po linii prostej, stopa za stopą bez przewracania się, ale w tym celu musiałbym rozwiązać zawiniątko z termoforem i wyleźć na zewnątrz.

A wtedy mógłbym też sprawdzić, co z plecakiem. To nie jest żadna psychoza, każdy zrobiłby to samo.

Światło wpadające przez otwór jamy szarzej. Co? Już jest dziesięć po piątej po południu? Wyobrażam sobie cienie wspinające się po górach. Wyobrażam sobie długą, ciemną noc, która mnie czeka.

Muszę zrobić ten test linii. Upewnić się, że mój mózg pracuje, jak należy. Z bólem odwijam termofor i zakopuję go w śpiworze, żeby nie stracił ciepła. Potem wciągam buty, rękawice, kominiarkę i kurtkę, zakładam okulary.

Plecak wylądował paskami do góry. Powiedziałem „wylądował”, bo to, jak leży, sugeruje – albo sugerowałyby, gdybym był dość szalony – że zaczął pełznąć w stronę jamy. Albo że ktoś go tu przesunął.

Głowicą czekana przesuwam go pod jamę Kitsa, ponad metr dalej. Nie mam już najmniejszej ochoty testować swojej koordynacji wzrokowo-ruchowej, ale muszę. Po to przecież wyszedłem.

Lekko się chwiejąc, udaje mi się przejść po linii prostej bez

upadku. Co za ulga.

– Nieźle, Stephen. Całkiem nieźle!

Słońce niknie za szczytami na zachodzie. Odwracam głowę i widzę, jak Talung kapie się w różowej poświacie ostatnich promieni słonecznych. Patrząc, jak róż błyskawicznie przechodzi w fiolet. Kilka sekund później zmienia się w ciemnoszary i cała jasność natychmiast znika. Nade mną chmury suną w stronę pokrytych lodem skał. Unoszony z ziemi śnieg kłuje mnie w twarz i zasypuje skrzynie z zapasami. Nie widzę przepaści, która jest za nimi.

Czy tego on chce? Aby skończył w tej przepaści?

Kiedy odwracam się, by wrócić do jamy, widzę, że plecak zniknął. To niemożliwe. Był przecież tam, gdzie go zostawiłem, przed jamą Kitsa.

– Gdzie jesteś, u diabła? – mamroczę, chodząc w śniegu. Muszę go znaleźć. Nie mogę znieść myśli, że się gdzieś przyczaił.

Potykam się i upadam. Kurwa! Był tu przez cały czas, ukryty pod śniegiem. Wstaję i kopię go raz za razem.

– Jak ci się to podoba, co? Co?!

Dlaczego go nie wywalić? Dowlec się z nim do szczeliny i w nią cisnąć. Albo jeszcze lepiej: pójść prosto przed siebie, minąć Ołtarz Szerpów i rzucić go w przepaść. To o wiele bliżej, a w dół jest ponad tysiąc metrów. Dobra, spróbuj wyleźć stamtąd!

Nie dam rady. Przepaść jest dwadzieścia metrów ode mnie. Nie ośmielę się odejść tak daleko od jamy. Jeśli nadciągną chmury, a ja stracę orientację, będzie po mnie.

To na nic. Zapomnij o plecaku. Musisz jakoś z nim wytrzymać, dopóki rano nie przyjdą Szerpowie.



STOCZYŁEM ciężki bój, próbując otworzyć worek z mączką sago, ale ostatecznie udało mi się uzyskać trochę grudowatej, niedogotowanej owsianki. Wmusiłem w siebie kilka łyżek. Po czym zwymiotowałem. W większości na lód, nie na śpiwór.

Czuję się nieco lepiej. Stopy i dłonie bardzo mnie bołą, więc przy odrobinie szczęścia uda się je uratować. W jamie jest ciepłutko – pięć stopni poniżej zera. Stopiłem jeszcze trochę śniegu na herbatę. W każdym razie na herbacianą polewkę zanieczyszczoną resztkami sago i wzmocnioną morelową brandy. Znalazłem butelkę w głębi jamy. A niech tam, potrzebuję jej.

Od czasu do czasu lód wokół mnie trzeszczy albo słyszę odległy huk schodzącej lawiny. Ale nawet te odgłosy ani wiatr, ani syk prymusa nie potrafią zagłuszyć dojmującej ciszy góry.

Mój oddech brzmi chrapliwie w tym małym ciasnym grobie. Staram się nie myśleć o milionach ton lodu nade mną. Wystarczy, że trochę by się przesunęły, a byłbym zmiażdżony.

Nie mogę zaakceptować myśli, że jestem na łasce przypadku. Czy to nie dziwne... naśmiewamy się z Szerpów wierzących w amulety, podczas gdy robimy to samo, zastępując je króliczą łapą albo krzyżem. I tak jak Szerpowie wierzymy w to, co nazywamy „szczęściem”. Mówimy: „Szczęście go opuściło”. Jakby było żywym organizmem, a nie zwykłą iluzją. Nie ma w ogóle czegoś takiego.

Wiem, że to iluzja, ale nie potrafię się zmusić, by przyjąć tę wiedzę. I naprawdę lepiej się czuję, mając w kieszeni biały szal Nimy. Co dalej? Czy powieszę sobie przy wejściu do jamy podkowę końcami do góry, aby szczęście nie uciekało? Powinienem był zabrać jedną kucowi, na którym jechałem przez Sikkim. Jak on się nazywał?

Po namyśle muszę przyznać, że nie mogłem zabrać podkowy,

bo kuc nie był podkuty. Tak czy inaczej: jak on się nazywał? Żałuję, że nie zapamiętałem. Nie podoba mi się myśl, że góra pozbawia mnie wspomnień, tak jak wiatr rozmywa ślady stóp na śniegu.

Kiedy Kits i ja byliśmy chłopcami, często kłóciliśmy się, który z nas ma lepszą pamięć. Kłóciliśmy się zresztą o wszystko. „Przestańcie się sprzeczać” – karmiła nas ciocia Ruth, ale jej nie słuchaliśmy. Kits doprowadzał mnie do szału, sugerując, że powinienem „szanować starszych” – czyli jego – podczas gdy ja zawsze potrafiłem wyprowadzić go z równowagi, po prostu odmawiając powiedzenia „dobranoc”, gdy szliśmy spać.

Jedyną rzeczą, o którą nie walczyliśmy, była wypchana sowa na półpiętrze. Za dnia byłem z niej dość dumny. Ostatecznie nie każdy siedmiolatek może pochwalić się prawdziwą płomykówką w szklanej osłonie. Ale w nocy byłem przerażony jej lśniącem spojrzeniem, morderczymi pazurami i rozpostartymi skrzydłami. Kiedy tylko obudził mnie nocny koszmar i jedynym wyjściem było wślizgnięcie się do łóżka niani, na drodze stała mi sowa. Aby dostać się do niani, musiałem bowiem przejść przez mroczne półpiętro obok przerażającego skrzydlatego stwora. Nie potrafiłem tego zrobić, więc za każdym razem budziłem Kitsa i błagałem go, by mnie zaprowadził.

– O nie, znowu to samo! – mamrotał zaspany, siadając na łóżku.

W ścianie nad pryczą wykułem niszę, żeby postawić tam świecę, a „okno” w głębi zatkałem puszkami i koszulą. Próbuje teraz zebrać energię potrzebną do wejścia do śpiwora.

W jamie śmierdzi wymiocinami i parafiną. Powinienem posprzątać. A jeśli przy okazji będę mógł sprawdzić, jak się miewa plecak, to co? Muszę się upewnić, że nadal jest tam, gdzie go zostawiłem – przed wejściem do jamy Kitsa.

Zdrapuję zamrożnięte wymiociny pokrywką od garnka, po

czym uchylam worek i je wyrzucam. Aby dowieść samemu sobie, że się jeszcze kontroluję, w tym czasie w ogóle nie patrzę w stronę plecaka. Dopiero potem, gdy jestem już gotowy, odwracam głowę i zerkam.

Nie ma go już przed jamą Kitsa; jest w połowie drogi do mojej. Przysiadł nieco przekrzywiony, kłapa jest rozpięta, ukazując zasznurowaną, pomarszczoną paszczę.

– O nie, nic z tego! – cedzę przez zaciśnięte zęby i z wściekłością dźgam plecak czekanem, aż odrzucam go daleko. Leży tam teraz, a śnieg gęsto na niego pada.

Nagle dopada mnie wstyd. Dobry Boże, Stephen, co dalej? Będziesz wbijał mu kołek osikowy w serce?



MUSIAŁEM ruszyć plecak, nie wiedząc o tym. I musiałem go też otworzyć. Nie ma innego wyjaśnienia. Ta cholerna rzecz nie mogła się sama poruszyć.

Żałuję, że w ogóle o tym pomyślałem. W głowie mam teraz obraz plecaka na ślepo sunącego w moją stronę, z przechylonym łbem.

Czy ja go otworzyłem? Czy choroba wysokościowa sprawia, że umysł zaczyna płatać mi figle? Jak wtedy, gdy przyniosłem do namiotu wysokościomierz Garrarda, nie zdając sobie z tego sprawy?

Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć. Zanim zasnę, muszę nadpalić korek z butelki brandy, a potem uczernić ręce sadzą. Jeśli o świcie okaże się, że plecak jest brudny, będzie to oznaczało, że dotykałem go przez sen.



PODOBA MI SIĘ ten pomysł z nadpalonym korkiem. To dowód na to, że nadal myślę racjonalnie.

Zanim jednak wprowadzę pomysł w czyn, muszę jeszcze wykonać kilka prac domowych. Martwa skóra na koniuszkach moich palców zaczyna już czernieć, więc zdejmuję ją za pomocą scyzoryka, po czym smaruję krwawiące różowe ciało kalaminem, pamiętając również o skaleczeniu na lewej ręce. Potem wciągam rękawiczki, żeby nie zanieczyścić ran.

Zanim skończę, w dłoniach zaczynam odczuwać rwący ból, co mnie cieszy. Oznacza bowiem, że tkanka jest nadal żywa.

– Całkiem nieźle sobie radzisz, Stephen, staruszkule – mamrocę. Mój głos jest bardzo głośny w tej ciszy.

Prymus się nie pali, chociaż nie pamiętam, abym go gasił. Świeca oświetla niszę nad moją głową, jej płomień drży na zimnym wietrze nadciągającym z pustki za „oknem”.

Poniewczasie przypominam sobie o prowizorycznym termoforze i owijam przewód wokół stóp, zabezpieczając go szalikiem, tak jak poprzednio. W jamie panuje bałagan, więc trochę sprzątam, wygładzając śpiwór i porządkując zapasy na pustej pryczy.

Za rozerwanym workiem z mąką sago znajduję zawiniątko z pocztą. Wpatruję się w nie, z trudem przełykając ślinę. Świat nadal istnieje. Bezpieczny świat Londynu i piętrowych autobusów.

Poczta do mnie składa się z dwóch grubych listów od kuzynki Philippy, wąskiej złowieszczej koperty od ojca Clare (ta idzie na spód stosu) oraz paczuszki owiniętej w brązowy papier, zaadresowanej czarnym pajęczym pismem, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem.

Dobry Boże. Wedle adresu z drugiej strony nadawcą jest *C. F. Tennant, Posiadłość Juniper, niedaleko Rungneet, Dardżyling.*

W paczce znajduję kilka stron maszynopisu i ręcznie pisany list, datowany na dwudziesty trzeci kwietnia; dwa tygodnie po naszym wymarszu.

Pamiętam go, jak siedział na fotelu inwalidzkim, niczym zraniony stary orzeł. Pamiętam wpatrzone we mnie nieustępliwe oczy. Pożegnaliśmy się, mówiąc oględnie, w dość nieprzyjemnych okolicznościach. Czego on może chcieć?

Drogi doktorze Pearce, pisze. Opuścił Pan mój dom pośród burzy, którą nie Pan przywołał.

To prawda, chociaż dość zaskakujące jest, że on to przyznaje.

Zadał Pan pytanie, po którym nastąpiło to, co moja córka określa jako „atak”. Dopiero później zdałem sobie sprawę, że Pańskie pytanie było całkowicie niewinne. Spytał mnie Pan, „jak to brzmiało”, a mówiąc „to”, oczywiście miał Pan na myśli kangling, trąbkę z kości udowej leżącą na moim biurku. Nie mógł Pan wiedzieć, że te słowa stanowiły aż nazbyt żywe przypomnienie czegoś, co miało miejsce w czasie wyprawy w 1906 i co od tamtego czasu nieustannie mnie nawiedza.

„Nawiedza” to mocne słowo. Mógłbym mu powiedzieć to i owo o nawiedzaniu.

Wszystko to jest dość rozwlekłym sposobem powiedzenia Panu, że nie powinienem był Pana wówczas besztać ani też rozwijać melodramatycznej tyrady przeciw Waszemu podchodzeniu od strony południowo-zachodniej. Dlaczego to zrobiłem? Sam się zastanawiam. Czy chciałem uchronić Pana przed powtórzeniem naszych błędów? A może raczej chciałem podpuścić, aby Pan jednak spróbował, bo Waszą ekspedycję

postrzegalem jako swoja ostatnia szanse? Przypuszczalnie raczej to drugie, bo hodowalem nadziei, ze moze uda Wam sie odnalezc ciało Warda i zapewnić mu wieczny spoczynek.

Zapewnić wieczny spoczynek... Co to ma znaczyć? Czy on wie? Czy wysłał nas tutaj, wiedząc, co na nas czeka?

Atrament w kolejnym zdaniu jest ciemniejszy, jakby Tennant zrobił przerwę przed podjęciem wątku. Czy zatrzymał się, aby przemyśleć, ile mi powiedzieć? A może po prostu musiał nabrać inkaustu do wiecznego pióra?

Kontynuując. Na pewno przypomina Pan sobie, że w pewnym momencie naszej rozmowy poprosiłem, aby podał mi Pan pudełko z biurka. Zamierzałem dać Panu jego zawartość, czyli wspomnienie, które wysyłam teraz. Jednakże wkrótce potem zadał Pan to nieszczęsne pytanie i stracił swoją szansę.

Tak to wyszło. Nie wiem kiedy, ani nawet czy, załączony dokument do Pana dotrze. Zrobi Pan z nim, co uważa za stosowne. Napisałem to kilka miesięcy temu, aby wyjaśnić dokładnie, co wydarzyło się na górze w roku 1906. Innymi słowy, aby opowiedzieć prawdę o Arthurze Wardzie.

18.



NAGŁY POWIEW WIATRU porusza workiem u wejścia, a ja aż podskakuję z wrażenia.

Opowiedzieć prawdę o Arthurze Wardzie... Te słowa zdają się gapić na mnie z kartki.

Kłamliwy, tchórzliwy, stary drań. Dlaczego zwlekał tak długo? Dlaczego nie wysłał listu, gdy byliśmy jeszcze w Dardżyling albo u stóp wzgórz? I dlaczego do mnie? Dlaczego ja mam dźwigać to brzemie? Tylko dlatego że przypadkiem zabłąkałem się do jego gabinetu?

Ze złością ciskam papiery na pustą pryczę. Muszę się rozgrzać i przygotować do snu – to są priorytety. Nie będę ryzykował odmrożeń z powodu pieprzonego Charlesa Tennanta.

Po pierwsze układam w niszy zapasowe świece. Kilka dodatkowych kładę na pustej pryczy, a pudełko z zapałkami wsuwam do kieszeni spodni. Butelka morelowej brandy stoi gotowa do mojego eksperymentu z osmalonym korkiem. Kurtka przeciwwiatrowa leży rozłożona na moim łóżku jako materiał izolacyjny. Następnie zakładam dodatkowy sweter, kolejny zaś

zwijam jako poduszkę i wsuwam się do śpiwora. Tym razem całe przedsięwzięcie trwa dłużej niż zwykle, bo na rękach mam rękawiczki, a wokół stóp owinięty prowizoryczny termofor. Wreszcie jestem gotowy i leżę na brzuchu z niedoczytanym listem i wspomnieniem Charlesa Tennanta przed oczami.

W ogóle nie mam ochoty się za to zabierać. Nie wiem, co kryją te kartki, ale najwyraźniej jest to coś na tyle wstrząsającego, że Tennant trzymał to w ukryciu przez trzy dekady.

Będzie się Pan zastanawiał, pisze dalej starszy mężczyzna, dlaczego czekałem dwadzieścia dziewięć lat z wyjawieniem prawdy. Częściowo z powodu tchórzostwa. Być może chciałem też dać Edmundowi Lyellowi szansę, by się wypowiedział. Ale jak Pan bez wątpienia wie, Lyell zmarł w zeszłym roku we śnie, nacieszywszy się spokojną starością po długim i szczęśliwym życiu. Nienawidziłem go do samego końca, bo moje życie całkowicie zrujnował.

Wypowiadał? Czuję ścisk w żołądku. Czy naprawdę jest aż tak źle?

Nie czerpię żadnej pociechy z pobożnego życzenia, by Lyell otrzymał karę w przyszłym życiu, jeśli takie w ogóle istnieje. Na tym świecie nie ma sprawiedliwości, dlatego więc mielibyśmy jej oczekiwać w zaświatach? Ale popadłem w dygresję. Wkrótce ja też będę martwy. Z załączonym dokumentem może Pan zrobić, co Pan zechce. Nie ma drugiego egzemplarza.

Z poważaniem, Charles Tennant.



NIE MA DRUGIEGO egzemplarza? Dlaczego więc powierzył oryginał miejscowemu tragarzowi? A gdyby rękopis po drodze zaginął? A może staruszek po części miał nadzieję, że tak się stanie? Że prawda, jakakolwiek by ona nie była, nigdy nie ujrzy światła dziennego?

Jego opowieść zatytułowana jest po prostu: *Wspomnienie kapitana Charlesa Tennanta, styczeń 1935*. Przelatuję wzrokiem wstęp zawierający krótką, ale morderczą i niszczącą charakterystykę Edmunda Lyella, która jest zgodna z moją własną opinią o tym człowieku po ponownym przeczytaniu *Skrwawionych, lecz niezłomnych*. Dalej następuje kategoryczne twierdzenie Tennanta, że jego celem jest „dać świadectwo prawdzie”.

Jego opowieść o wyprawie kompletnie pomija drogę do stóp góry oraz początek wspinaczki i przeskakuje do momentu, kiedy to, jak określa sam Tennant, wszystko się popsuło.

Początek dnia wyglądał tak, jak to opisuje Lyell w Skrwawionych, lecz niezłomnych. Opuściliśmy drugi obóz przed świtem. Wspiąwszy się na wielką, pokrytą lodem skałę górującą nad obozem, odpoczywaliśmy na szczycie, kiedy to Ward upuścił swój plecak, a próbując go odzyskać – spadł. Uderzył o ziemię, jak to ujmuje Lyell, „z okropnym łomotem kilkadziesiąt metrów niżej, przy skraju szczeliny”. Potem Lyell zszedł, przekonać się, czy Ward nie żyje, i wspiął się z powrotem do nas. Następnie rozkazał kulisom ściągnąć ciało, zmówił krótką modlitwę, po czym kontynuowaliśmy wspinaczkę.

Wszystko to wydarzyło się tak, jak opisuje Lyell – z jednym istotnym wyjątkiem, który omówię we właściwym czasie.

Kontynuując. Jak pisze Lyell, nie doszliśmy zbyt daleko, bo rozszalała się śnieżycą i zmusiła nas do zejścia do obozu drugiego, gdzie siedzieliśmy przysypani przez trzy dni. Od tego

momentu relacja Lyella jest całkowitym zmyśleniem.

W swojej książce twierdzi, że gdy wróciliśmy do obozu drugiego, dowiedzieliśmy się, że kulisom nie udało się wyciągnąć ciała Warda. Twierdzi, że zakładaliśmy, iż przykrył je śnieg albo że wiatr zdmuchnął w przepaść. Wszystko to kłamstwa. Ciało Warda nie zniknęło. Kiedy przedzieraliśmy się przez zacinający śnieg do drugiego obozu, z przerażeniem ujrzeliśmy go leżącego i pokrytego lodem na szczycie skały. Powtarzam, ciało leżało na szczycie skały, kilkadziesiąt metrów ponad miejscem jego upadku.

Doszliśmy do nieuniknionej konkluzji: Ward nie zginął w wyniku upadku, a jedynie został ranny. Nieświadomi tego, porzuciliśmy go.

Byliśmy oczywiście przerażeni. Ciało znajdowało się jednak na szczycie skały, a warunki były straszne. Szaleństwem byłoby próbować je znieść. W istocie sami z trudem dotarliśmy do drugiego obozu.

Stratton, Freemantle i Knight schronili się w jednym namiocie, Lyell, doktor Yates i ja w drugim. Yates i ja natychmiast zaatakowaliśmy Lyella, ten jednak sprawiał wrażenie nie mniej przerażonego niż my: „Kiedy do niego zszedłem, byłem przekonany, że nie żyje!”.

Doktor Yates zniósł to najgorzej, bez wątpienia czując, że sprzeniewierzył się swoim obowiązkom lekarza, nie schodząc samemu do Warda, by zbadać jego stan. A chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy, to fakt, że Ward zdołał wspiąć się na skałę mimo obrażeń, wywoływał pytanie: jak to możliwe, że był bliski śmierci, kiedy Lyell zszedł do niego po upadku?

Lyell pozostał jednak niewzruszony: Ward nie zdradzał żadnych oznak życia. „Poza tym, dodał z brutalnym pragmatyzmem, teraz już jest martwy”. Na to nie miałem odpowiedzi. Mógłbym jeszcze napisać, że wszyscy byliśmy

wyczerpani, dzień się kończył, a pogoda była nie do opisania. Nie zrobiliśmy więc nic, by odzyskać ciało ani wtedy, ani później. Narastały we mnie dręczące podejrzenia co do stanu Warda, w jakim zastał go Lyell, kiedy do niego zszedł, ale więcej w tej sprawie nie dopytywałem. Dlaczego? Bo Lyell był kierownikiem ekspedycji i generałem. Ja byłem kapitanem i bałem się.

Następne trzy dni zlały się w jedno, ale nigdy nie zapomnę zimna ani ryczącego wiatru szarpiącego nasze namioty i zdającego się trząść w obłąkaniu samą górą. Od czasu do czasu zapadała złowroga cisza i wówczas słyszeliśmy burzę smagającą zbocza poniżej nas. W takich chwilach zdawało mi się, że wiatr wykrzykuje moje imię. Zdarzyło mi się to nie raz, a trzy razy. Zacząłem się obawiać, że tracę rozum.

Aby przerwać monotonię tych dni, w chwilach ciszy my, sześciu sahibów, tłoczyliśmy się w jednym namiocie. Przy jednej z takich okazji Stratton wyznał mi, że słyszał, jak wiatr wykrzykuje jego imię. Przyszła mi do głowy straszliwa myśl: czy to możliwe, iż nie był to wiatr?

A potem Knight zapytał mnie, czy moim zdaniem na takiej wysokości żyją kruki, bo słyszał jakieś dziwne krzyki. Gdy znów na chwilę zapadła cisza, wyrzałem z namiotu, by zaczerpnąć powietrza, i zobaczyłem coś, czego nigdy nie zapomnę: pokryte lodem ciało Warda leżące na skale. Wydawało mi się, że porusza zamarznętymi rękami, próbując niezgrabnie klasnąć. Widziałem to ledwie raz czy dwa i powiedziałem sobie, że musiał to być wiatr, który dmuchał silnie nawet w chwilach ciszy. Ale później zacząłem się zastanawiać. Nie mogłem wyrzucić tego obrazu z głowy.

Tej nocy, kiedy ponownie stłoczyliśmy się w jednym namiocie, Freemantle po cichu spytał doktora Yatesa, czy to możliwe, aby martwe ciało wykonywało jakieś mimowolne ruchy, jak na

przykład machanie rękami. Yates odpowiedział szorstko: to zdecydowanie niemożliwe. W tym momencie spostrzegłem, że Stratton i Knight wymieniają niepewne spojrzenia. Wtedy zrozumiałem. Wszyscy wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy, że Ward był żywy tam, na górze, a jednak żaden z nas nie wypowiedział tego na głos. Być może uważaliśmy, że łatwiej będzie zachować milczenie i pozwolić naturze dokonać nieuniknionego.

A poza tym – i nie wiem, czy potrafię wyjaśnić to komuś, kto nigdy nie spędził kilku dni na wysokości ponad sześciu i pół tysiąca metrów, ocierając się o granice ludzkiej wytrzymałości – mieliśmy dziwne wrażenie, że znajdujemy się „poza światem”, w miejscu, gdzie nie ma żadnych praw, żadnych zasad i żadnych świadków.

Jak dotąd nie wspominałem o samym Lyellu. A to dlatego że do tego momentu nie odezwał się na ten temat ani słowem. Nic mówił nic aż do chwili, gdy Freemantle zadał Yatesowi pytanie o ruchy martwych ciał, a wtedy Lyell najeżył się i surowo zabronił dalszych „babskich historycznych popisów”. Pamiętam, że poczułem ulgę. Pewnie wszyscy poczuliśmy. Kierownik wyprawy zabronił nam zajmować się tą sprawą.

Wreszcie trzeciego dnia śnieżycy ustała i mogliśmy wyruszyć na świat zalany lśniącym śniegiem. Ciała na skale ponad nami nie było już widać. Czy zostało zwiane w przepaść, czy zasypane śniegiem, nie mogliśmy stwierdzić, tak jak i nie mieliśmy siły, by go szukać. Nasze zapasy były na wyczerpaniu i wszyscy w mniejszym lub większym stopniu cierpieliśmy na chorobę wysokościową. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak porzucić wspinaczkę i wrócić do bazy.

Nic nie zmieni jednak prawdy: tam, na górze, w czasie śnieżycy, Ward był żywy. Żywy! Słyszeliśmy jego wołanie. Widzieliśmy, jak macha rękami i wali w śnieg zamrożonymi pięściami. A potem, być może dopiero trzy dni i trzy noce później,

umarł – samotny, choć w zasięgu wzroku swoich towarzyszy. A my nie ruszyliśmy palcem, by mu pomóc.

Przebieg kolejnego etapu wyprawy jest dobrze znany i łatwy do opowiedzenia. W czasie zejścia uderzyła w nas lawina. Freemantle i Knight zginęli na miejscu, Stratton i Yates doznali śmiertelnych obrażeń. Przez jakiś czas niemal zapomniałem o Wardzie, poświęcając się wykopywaniu ciał i łagodzeniu cierpienia naszych rannych w ich ostatnich chwilach. Wszystko to jest wystarczająco dokładnie opisane w książce Lyella, mimo obrzydliwie pompatycznego stylu i przypisywania sobie przez autora lwiej części bohaterskich zasług. Autor pomija fakt, że nieszczęsny doktor Yates, który odszedł jako ostatni, uważał swoją śmierć za sprawiedliwą karę za nieudzielenie pomocy Wardowi. W typowy dla siebie sposób Lyell odrzucił te słowa jako brednie słabego umysłu na krawędzi śmierci.

Po śmierci doktora Yatesa zostaliśmy z Lyellem jedynymi ocalonymi: tylko my dwaj znaleźliśmy prawdę o Wardzie (nie mówię tu o kulisach, którym natychmiast sownie zapłacono i których odprawiono do ich wiosek – zbyt przerażonych, by opowiedzieć o tym, co widzieli albo nie).

W czasie drogi powrotnej do Dardżyling były chwile, gdy zazdrościłem moim poległym towarzyszom, bo dla nich cała sprawa była już skończona. Muszę jednak jasno powiedzieć: nie płakałem po Wardzie. Nigdy mi na nim nie zależało. Nie był człowiekiem lubianym, nie był jednym z nas. Nie zasłużył jednak na to, co go spotkało.

Po powrocie do Anglii dowiedziałem się, że Lyell spisuje wspomnienia z naszej wyprawy, i naiwnie sądziłem, że wyjawi całą prawdę. Książkę wydano, a Lyella ogłoszono bohaterem. Byłem w szoku. Jego relacja kompletnie pomijała fakt, że Ward przeżył upadek i dopiero później przepadł w śnieżycy. Lyell zwyczajnie usunął cały ten epizod.

Dwa lata po ukazaniu się Skrwawionych, lecz niezłomnych w pewien posepny, mglisty, listopadowy piątek wreszcie zebrałem się na odwagę i stawilem Lyellowi czoło w jego Klubie. Spytałem, co naprawdę zobaczył, kiedy zszedł do Warda leżącego na skraju przepaści.

Jego odpowiedź była wystudiowana i chłodna, nie zamierzał mnie oszukiwać. Gdy zszedł, Ward był przytomny i w szoku. Miał złamaną nogę w udzie. Lyell spokojnie powiedział mi, że ocenił sytuację następująco: pomoc rannemu i sprowadzenie go na dół spowodowałoby takie opóźnienie, że biorąc pod uwagę nadchodzącą porę monsunową, stracilibyśmy szansę na zaatakowanie szczytu. Poza tym Ward i tak by umarł – tak w każdym razie stwierdził Lyell. Stosownie do sytuacji, powiedział (a dla mnie to „stosownie” zabrzmiało wyjątkowo przerażająco), postanowił porzucić rannego i wrócić do nas. Oznajmił nam, że Ward nie żyje, odmówił pospieszną modlitwę i mogliśmy kontynuować wspinaczkę.

Kiedy tak siedzieliśmy w głębokich fotelach przy kominku, najbardziej uderzyło mnie to, że Lyell najwyraźniej nie widział niczego złego w tym, co zrobił. „Podjąłem decyzję na polu walki, oświadczył. Poza tym ten człowiek i tak umierał”. Najwyraźniej powtarzał to sobie tak często, że wreszcie sam w to uwierzył. A może zwyczajnie o to nie dbał. Nigdy się tego nie dowiem. Prawda jednak pozostaje niezmienna. Oprócz szoku Wardowi doskwierała tylko złamana noga i był w na tyle dobrym stanie, że zdołał wspiąć się na skałę. Można go było uratować.

Lyell wetknął pogrzebacz do paleniska, po czym dzwonkiem wezwał służbę, żądając whisky z wodą sodową. Jakbyśmy skończyli rozmowę o bilardzie, a nie o długiej i pełnej cierpienia agonii naszego towarzysza.

Kiedy przyniesiono nam drinki i znów zostaliśmy sami, sprowadziłem rozmowę na temat owych trzech dni, kiedy Ward

leżał na skale, a my tkwiliśmy w drugim obozie, chroniąc się przed śnieżycą. Wreszcie zebrałem się na odwagę i przyznałem, że wszyscy wówczas wiedzieliśmy, iż Ward żyje. Wtedy Lyell stracił cierpliwość. „Tak, no i co z tego? Ten człowiek umierał! I jakoś nie widziałem, abys wspiął się, by go ściągnąć. Ani Knight, ani Freemantle, ani Stratton, ani Yates!”.

„Tak czy owak, czy teraz wyznasz prawdę?” – spytałem.

Lyell wytrzeszczył oczy i postąpił mi protekcyjny uśmiech.

„Mój drogi kolego, jaki miałyby to sens?”.

„A więc ja to zrobię”, oznajmiłem. Nadal się uśmiechając, spojrzał na mnie z ukosa.

„Nie uwierzyłiby ci, sam dobrze wiesz. Człowiek, który bywał w przytułkach i szukał pomocy u psychiatrów? Powiedzą, że jesteś obłąkany i zazdrościsz mi sukcesów. I że gdyby w tej opowieści był chociaż ślad prawdy, to nie czekałbyś z jej wyjawieniem tak długo”.

Miał rację. A w każdym razie wówczas postanowiłem w to uwierzyć, bo pasowało mi zachowanie milczenia. Bo jestem tchórzem.

Dotąd doszliśmy. Milczałem przez dwadzieścia dziewięć lat. Wielokrotnie chciałem powiedzieć prawdę – szczerze mówiąc, mam czasem wrażenie, że o niczym innym przez te lata nie myślałem. To była moja kara.

Jeśli zaś chodzi o Edmunda Lyella, to nie sądzę, by z tego powodu doświadczył choć jednej chwili niepokoju w swoim długim i szczęśliwym życiu.

19.



POWOLI SKŁADAM wspomnienia Tennanta, wraz z listem umieszczam je z powrotem w kopercie i wkładam ją do chlebaka. Znajduję zapałki i papierosy. Po kilku próbach udaje mi się zapalić. Zaciągam się mocno.

Ludzie zawsze mieli różne sposoby chronienia się przed zmarłymi. „To nie z szacunku dla zmarłych ludzie ubierają się na czarno”, mówiła mi niania. „O nie. Chodzi o to, aby oszukać zmarłych, aby nie mogli nas ścigać. I nie można też mówić o nich źle. I nigdy nie należy zatrzymywać żadnych rzeczy, które do nich należały, bo to z pewnością ich przyciągnie”. Trzeba zrobić wszystko, by uniknąć wściekłego zmarłego.

A ten jest wściekły, nie ma wątpliwości. I teraz już wiem dlaczego.

Trzy dni w śnieżycy ze złamaną nogą. Wiedząc, że cię porzucili, mając obóz w zasięgu wzroku. I jestem niemal pewien, że żył przez te trzy dni – stąd trzy urywane kreski wydrapane na pudełku z zapałkami.

Przez dwadzieścia dziewięć lat Tennant żył z poczuciem winy.

Skulony w swoim gabinecie z widokiem na górę, z trąbką z kości udowej na biurku. Przedmiot przypominający o całym zdarzeniu, cały czas na widoku. „Każdej nocy, rozumiesz to, widzę ich... Tak... Już zawsze będę ich widział...”. Mówił o Wardzie.

Nic dziwnego, że się załamał, kiedy go zapytałem, jak to brzmiało. Miałem na myśli trąbkę, ale on myślał o czymś innym. Wiedział, jak brzmiało to coś innego, bo dobrze to słyszał: krzyki, stłumiony łomot zamarzniętych pięści.

Biedny, tchórzliwy, nienawidzący samego siebie i okłamujący się Tennant. Nawet teraz, kiedy niby to chce „dać świadectwo prawdzie”, nie może się zmusić, by stawić tej prawdzie czoło. Musi odmalować Lyella jako głównego sprawcę – podczas gdy w istocie wszyscy byli w równym stopniu winni. Wiedzieli, że Ward żyje. Dlaczego nie wspięli się do „ciała” podczas jednego z okresów ciszy? Dlaczego sam Tennant też pisze o Wardzie, używając słowa „ciało”?

Wygadał się, kiedy napisał, że Ward „nie był jednym z nich”. To jest prawdziwy powód, dla którego nie ruszyli mu na ratunek. To nie z powodu zmęczenia czy choroby wysokościowej lub „katastrofalnych warunków”. Zdecydował najstarszy ze wszystkich powodów: Ward nie był jednym z nich.

Gdyby był jednym z nich – albo gdyby to Freemantle czy Knight leżeli, konając, na skale, albo gdyby to był Stratton czy Yates, czy Tennant, czy wreszcie sam Lyell – zaryzykowałiby własne życie, by do niego dotrzeć, tak jak to zrobili, kiedy spadła na nich lawina.

Zdałem też sobie sprawę z czegoś jeszcze. Wcześniej zadawałem sobie pytanie, dlaczego ten duch nawiedza właśnie mnie. Zakładałem, że musi mieć jakiś powód – jakieś zło do naprawienia, jakąś zemstę – i że kiedy go poznam, wszystko naprawię i sprawa się zakończy.

Ale teraz, kiedy wiem już, co się stało... Ward zmarł samotną, straszliwą śmiercią, której dało się zapobiec. Nie da się tego odpokutować. Tego zła nie da się w żaden sposób naprawić.

Gdyby był tutaj McLellan, z pewnością zmówiłby modlitwę w intencji Warda. Ale jestem przekonany, że duch, który nawiedza tę górę, nie może „zaznać spokoju”, nie da się go udobruchać. Istnieje, by straszyć i przerażać. Nie ma znaczenia, że jestem niewinny, że nic mu nie zrobiłem. Jestem żywy. To wystarczy.

I być może to nie skończy się nawet po mojej śmierci ani nawet gdy to, co ze mnie zostanie, przykuje się do tego miejsca, świadome i pozbawione nadziei na uwolnienie...

Świeca migocze i gaśnie.

Zwijam się w kłębek i próbuję zwalczyć panikę. Ciemność jest jak ściana napierająca na moją twarz.

Świeca zgasła, bo zapomniałem ją wymienić, to wszystko. Moja czołówka i latarka są pod ręką na legowisku obok.

Tyle tylko, że wcale ich tam nie ma, bo zapomniałem je tam położyć. Zupełnie o nich zapomniałem. Czy są w chlebaku? W plecaku? Równie dobrze mogą być na dnie przepaści. Nic nie zmusi mnie do szukania ich po omacku w tej ciemności.

Dostrzegam stłumiony blask przenikający przez otwór jamy. To nie może być jeszcze światło słoneczne, prawda? Może księżyc? Poświata odbita od śniegu? Nie wiem, która jest godzina, bo nie mam zegarka, chociaż nie przypominam sobie, abym go zdejmował.

Macając niszę, znajduję zapasową świecę. Wyjmuję z kieszeni pudełko zapalek i otwieram wieczko... Nagle upuszczam cholerne pudełko, rozsypując zapalki. Kiedy szukam ich po omacku, widzę, jak poświata wokół wejścia jamy na moment niknie. Zastygam jak uwięzione zwierzę. Coś właśnie przeszło tuż obok.

Wiatr zamarł. Cisza jest przerażająca. Mój umysł umyka starożytnymi, głęboko ukrytymi korytarzami myśli. Nie istnieje nic poza niebezpieczeństwem na zewnątrz.

Worek zasłaniający wejście do jamy łopocze zaskakująco głośno. Wyje wiatr. Już zniknął.

Zmuszam się, by w ciemnościach wymacać zapałkę. Wreszcie udaje mi się jedną znaleźć. Zapalam ją. Cienie pierzchają, kiedy błogosławiony płomień rozpala się do życia.

– Już dobrze – szepczę, ustawiając w niszy kosz ze świecą. – Dobrze.

W głębi jamy koszula oderwała się od „okna”, wpuszczając do środka chłodny powiew nicości. Pospiesznie upycham ją z powrotem.

„Okno” znika. Leżę na skraju przepaści, z góry spoziera na mnie skalna ściana. Coś bardzo złego stało się z moją nogą. W połowie uda jest jakieś dodatkowe zgięcie, jak u połamanej lalki. Daleko w górze dostrzegam towarzyszy wyglądających znad krawędzi urwiska. Teraz schodzi do mnie jakiś mężczyzna, pomagając sobie liną. Bogu dzięki. Znajdą sposób, by mnie uratować. Wszystko będzie dobrze.

– Dzięki Bogu – szepczę, gdy pochyła się nade mną.

Napotykam spojrzenie jego oczu zza okularów lodowcowych. Żadnych emocji. Jakbym patrzył na bryłę lodu. Unosi głowę i krzyczy do pozostałych:

– Nie żyje! Wracam na górę!

Co? O co mu chodzi? Niemożliwe... Niemożliwe, żeby zamierzał mnie tu zostawić. Wie, że żyję, słyszał, jak mówię. Patrzyliśmy sobie w oczy. Już wspina się z powrotem, jego buty ciskają mi w twarz lodowe odłamki. Na górze nikt się o mnie nie upomina, nikt nie krzyczy: „Jesteś pewien?!”. Próbuję krzyknąć – wrzasnąć lub wyc – ale dobywam z gardła tylko jęk. Dranie. Zostawiacie mnie na mrozie i w ciemności. Zostawiacie mnie na

śmierć...

Budzę się z krzykiem. Rękaw mojej koszuli zwisa bezwładnie znad „okna”. Powiew pustki odciska się zimnem na mojej twarzy. Próbuję o tym nie myśleć, ale umysł ciągle do tego wraca. Kręci mi się w głowie, mam mdłości. Nie mogę zasnąć. Nie ośmielę się.

Chryste, jak tu cicho. Brakuje mi fletu Nimy i bezdźwięcznych śpiewów Pasanga, wężącego wokół Cedrika, pogwizdującego Kitsa... Wszyscy odeszli. Nawet tamten górak mnie opuścił. Jakby to sobie zaplanowali.

Z kieszeni wyciągam szal Nimy. Pamiętam jego minę, kiedy mi go wręczał, współczucie w brązowych oczach. A może to były przeprosiny? Czy wiedział, że zostanę tu zupełnie sam? I dlaczego nie dał Lobsangowi plecaka, by tamten zniósł go do bazy? A może Lobsang odmówił? Czy raczej Nima tak martwił się Cotterellem, że zwyczajnie zapomniał? Czy też zostawił go tutaj umyślnie?

Jeśli Szerpowie zostawili mnie tutaj celowo, to chyba wiem dlaczego. Jeśli kogoś nawiedza duch, to jest to nie tylko zapowiedź czyjejś śmierci. Pech może zacząć się rozlewać jak plama. Człowiek nawiedzany jest zagrożeniem dla innych. Czy to dlatego Nima i Pasang odeszli? A Cedric?

Czy oni wszyscy wiedzieli?



ROZSMAROWYWANIE nadpalonego korka zajęło stulecia, ale warto zyskać jakieś narzędzie racjonalnego wnioskowania. Moje rękawiczki są teraz czarne od sadzy. Znalazłem też zegarek, był pod workiem z sago. Bóg raczy wiedzieć, jak się tam znalazł.

Każdy oddech jest walką w tym rozrzedzonym nieruchomym

powietrzu. Czuję każde uderzenie mojego strudzonego serca. Wysiłku wymaga choćby utrzymanie otwartych oczu, ale nie zamierzam się poddać. Leżę i obserwuję płomień tańczący w kloszu z miki. Przyciskam do piersi moje talizmany: pudełko z zapalnikami, zegarek i szal od Nimy.

Czas stał się elastyczny. Minuty ciągną się godzinami, godziny mijają w jednej chwili. Małe, fluorescencyjne wskazówki mojego zegarka dodają mi sił. Pokazują czas zgrabnie pocięty na równe kawałeczki.

Sufit jamy nie jest tak blisko mojej twarzy, jak myślałem. Prawdę mówiąc, nie ma sufitu. Leżę na szczycie urwiska, wpatrując się w czarne niebo, gęste od padającego śniegu. Nadal ściskam szal, ale mój zegarek zniknął. A gdzie pudełko z zapalnikami?

Jest tutaj. Nie mogę znów go upuścić.

Kilka metrów dalej leży na boku mężczyzna w staroświeckim kombinezonie wspinaczkowym. Jego kominiarka i ubranie pokryte są lodem. Coś jest nie tak z jego nogą.

Ja jestem tym człowiekiem. W sztywniejących palcach ściskam mocno pudełko z zapalnikami. Nie mogę go puścić.

Przymarły mi powieki i nie mogę nawet mrugnąć. Śnieg pokrywa moje oczy grubą warstwą tłuczonego szkła, ale nie mogę jej zetrzeć. Przez nogawkę kombinezonu przebił się wyszczerbiony kawałek kości. Muszę go wcisnąć na miejsce, ale nie mogę się ruszyć. Jestem uwięziony w lodowym pancerzu mojego zamarzniętego ubrania.

Śnieg na moment przestaje padać i w dole dostrzegam obóz. Widzę ludzi poruszających się w żółtawym świetle lamp. Świta nadzieja. Wołam o pomoc, mam jednak zbyt odrętwiałe usta, by mogły wydobyć się z nich słowa, a mój ochrypły krzyk rozwiewa wiatr.

Nade mną wirują gwiazdy. Księżyc i słońce suną po niebie –

wiatr i śnieg napierają bez ustanku. Niezdarnym, bolesnym ruchem, przy którym nadłamana kość wbija mi się w ciało, wsuwam pudełko z zapalnikami do ust i przesuwam je pod zębami, aby oznaczyć kolejny dzień. Ból rozsadza mi czaszkę. Ułamał mi się ząb. Krew zalewa mi usta i w mgnieniu oka zamarza.

Na dole w obozie człowiek wystawia głowę z namiotu. To Tennant. Rozpoznaję jego kask. Rusza teraz w stronę podnóża urwiska. Dostrzegł mnie! Przeciera rękawicą okulary lodowcowe. Unosi lornetkę. Próbuję krzyczeć. Walę pięścią o pięść. Pomocy!

Dostrzegł mnie. Gapi się prosto na mnie. Twarz ma nieruchomą, nie wydaje żadnego dźwięku. Powoli opuszcza lornetkę. Odwraca się, idzie w stronę namiotu i znika w środku.

Nie wychodzi ponownie. Chciał tylko popatrzeć. Nie jestem człowiekiem, jestem kawałem mięsa. Zostawił mnie samego na mrozie, w wyjącej ciemności. Na zawsze samego. Ze zranionego uda sączy się krew, nos i usta wypełnia mi śnieg, jest jak tłuczone szkło, kłuje mnie w oczy...

Budzę się, z trudem łapiąc oddech.

Ciemność jest nieprzenikniona. Świeca zgasła. Worek zasłaniający wejście łopocze na wietrze.

Leżę, dysząc, trzęsąc się i pragnąc, by ten koszmar dobiegł końca. Byłem uwięziony w tej lodowej skorupie, a jednak boleśnie żywy, boleśnie świadomy...

Powoli koszmar odpływa, a mój oddech zwalnia. Sweter, z którego zrobiłem poduszkę, drapie mnie w policzek. Wokół wejścia do jamy widzę bladą szarawą poświatę. Leżę i patrzę, jak wiatr porusza workiem. Wzdychając, obracam się i zagłębiam twarz w poduszce...

...to nie jest mój sweter. Moja twarz naciska na coś pogniecione i zimnego. Wdycham kwaśny zapach gnijącego

materiału. Odsuwam się z krzykiem i potykam o pustą pryczę. Plecak jest tu ze mną, w środku mojego śpiwora.

A drugie legowisko nie jest puste. Za plecami słyszę szelest sztywnej od mrozu kurtki. W szarym półmroku porusza się jakiś ciemny przygarbiony kształt. Strach wypełnia mi cały umysł: przez chwilę nic nie widzę ani nie słyszę. Chcę ruszyć do wyjścia z jamy, ale śpiwór mam owinięty wokół nóg, a stopy skrepowane szalem i termoforem. To coś wstaje i rusza za mną. Czołgam się w stronę wyjścia z jamy, odkopując krępujące mnie szal i śpiwór. Jedna stopa trafia na coś szeleszczącego, co owija się wokół mojej kostki. Z piskiem odkopuję to i drąc dłońmi lód, pełzną przed siebie – i wreszcie wypadam z jamy.

Wiatr dźga mnie w płuca jak nóż. Wstaję i sunę przed siebie w szarym półmroku. Wejście do jamy jest czarne, ale w każdej chwili przygarbiony kształt może stamtąd wyjść i ruszyć za mną.

Stoję teraz na skraju przepaści. Jak się tu dostałem?

Kołyszę się w przód i w tył, w rękę trzymam plecak.

– Dość – dyszę. – Już dość! – Z wrzaskiem ciskam plecak w przepaść. – Po wszystkim. Skończone. To już koniec.



ZA MNĄ z łoskotem lecą w przepaść bryły lodu.

Stoję przy Ołtarzu Szerpów, chociaż nie pamiętam, kiedy oddaliłem się od przepaści. Nie założyłem butów ani kurtki, na rękach mam wewnętrzne rękawiczki, ale nie łapawice. Stoję w samych skarpetkach. Nadal jednak ściskam szal i zegarek.

Jest za dwadzieścia piąta. Bogu dzięki. Niedaleko już do świtu.

Gdzieś nade mną rozlega się krzyk: „W dole!”.

Serce mi zamiera. Myślałem, że już po wszystkim. Myślałem, że wszystko się skończy, kiedy rzucę plecak w przepaść.

– W dole! – Krzyk niesie się echem od szczytu do szczytu.

W piersi uderza mnie śnieżka – w dole żlebu widzę Kitsa.

– Cześć, Partaczu! Wyszedełś nam na spotkanie?

Za nim stoją Garrard i Tenrit, Angdawa, Dorjit i Pasang. Śmieją się, schodząc ku mnie szlakiem tragarzy.

20.



– DOBRY BOŻE, Partaczu, gdzie twoje buty?

Kits się już nie śmieje, tak samo jak Garrard. Szerpowie gapią się na mnie z otwartymi ustami.

– Bo-bogu dzięki, jesteście – jąkam się, idąc w ich stronę. – Jeśli teraz wyjdziemy, damy radę dotrzeć do bazy...

– O czym ty mówisz?! – krzyczy Kits.

– Wezmę go do środka – mamrocze Garrard. – Trzeba go ogrzać.

– Posłuchajcie mnie...

– Chryste Panie, Partaczu, co to za bzdury?! Za godzinę będzie ciemno!

– Jak to?! Jest piąta rano. Właśnie świta!

Zapada cisza.

– Stephen – mówi Kits dziwnie zmienionym głosem. – Jest piąta po południu. A teraz zamknij się i włącz do jamy.



NIE WIEM, jak to się stało. Kiedy byłem w jamie, umknął mi cały dzień. Noc nadeszła i przeminęła, a ja nadal jestem w obozie trzecim.

Stanowczo odmówiłem powrotu do swojej jamy, więc Garrard zabrał mnie do siebie. Został ze mną, podczas gdy Pasang przyniósł moje rzeczy. Ogrzał mnie i zajął się stopami.

Jakiś czas później Cherma, który wrócił już do zdrowia, przyszedł z obozu drugiego z notatką od Cotterella, którą Garrard przeczytał na głos: *Wracam do zdrowia kilometrowymi skokami. Pełnia sił za dzień lub dwa.* Zupełnie o nim zapomniałem. Tak się przykładam do moich obowiązków lekarskich. A jednak nawet nie czuję się winny. Byłem zbyt oszołomiony.

Na obiad pochłonałem cztery kubki herbaty, paczkę ciasteczek imbirowych i całą patelnię tapioki w złocistym sosie. Powrót do normalności. Tyle tylko, że nie dla mnie. Powtarzałem sobie, że jestem bezpieczny wśród tych wszystkich ludzi; że odkąd plecak zniknął, nie mam się czego bać. To plecak go przyciągał, a teraz nie będzie już mógł mnie ścigać. Ale sam w to nie mogłem uwierzyć. Czułem się odcięty od pozostałych. Siedziałem przy tej uczcie jak jakiś duch. Ha, ha, ha...

Garrard był przygaszony, podczas gdy Kits, niezwykle ożywiony, perorował o potencjalnych drogach na szczyt i o tym, jak wspaniale było stać się pierwszym człowiekiem, który postawił stopę na Wielkiej Półce. Przy tych słowach rzucił mi pełne politowania spojrzenie. Młodszy braciszek, którego obleciał strach i stracił panowanie nad sobą.

Gdyby tylko Kits wiedział, jak już mi teraz zupełnie nie zależy na tym szczycie. Kiedy mówił, ja cały czas myślałem: o niczym nie wie. Żaden z nich nie wie.

Potem zorientowałem się, że Kits i Garrard snują plany

wyruszenia z powrotem do obozu czwartego następnego ranka.

– Nie możecie tego zrobić – powiedziałem cicho.

Wymienili spojrzenia.

– Nie potrafię wam tego teraz wytłumaczyć, a wy i tak byście mi nie uwierzyli, ale w tym miejscu jest coś bardzo złego. Musimy się wynosić w diabły z tej góry najszybciej, jak możemy, albo stanie się coś straszego.

Garrard szarpał się za nos, unikając mojego spojrzenia. Kits głośno wypuścił powietrze.

– Słuchaj, stary, to okropny pech, że zostałeś tutaj sam i miałeś kilka złych snów, ale już po wszystkim.

– Nie obchodzi mnie, co sobie pomyślisz, byle byśmy stąd poszli.

Jego spojrzenie skamieniało.

– Wiesz, w jakim stanie cię zastaliśmy?

– To nie ma...

– Byłeś umazany sadzą. Machałeś rękami jak szaleniec. Bez butów, bez kurtki...

– Nie jestem szalony – powiedziałem, zaciskając zęby.

– Nie powiedziałem, że jesteś. Ale nie zamierzam zrujnować tej wyprawy, tylko dlatego że ty tak sobie życzysz. Według Szerpów przed nami w najlepszym razie kilka dni dobrej pogody. Dlatego zeszliliśmy. Każdy, kto może, musi zająć się teraz noszeniem rzeczy do obozu czwartego, żebyśmy mogli zaatakować szczyt...

– Do diabła z tym! – wybuchnąłem.

Kits ciągnął, jakbym w ogóle się nie odezwał:

– A dopóki Cotterell nadal jest *hors de combat*, to ja jestem najstarszy stopniem. Wyruszamy o czwartej trzydzieści. A co do ciebie, Stephen, rób, na co masz ochotę.

Nie było z nim dyskusji. Wkrótce poszliśmy spać. Kits wcisnął się z Pasangiem do mojej jamy, ja zostałem z Garrardem. Tuż przed zdmuchnięciem świecy spytał mnie, co miałem na myśli,

mówiąc, że jest tu coś „złego”. Nie miałem jednak siły mówić o tym w ciemnościach, więc zbyłem go. Zdażyłem też już zażyć weronal, aby móc zasnąć.

Kiedy wróciła mi świadomość, była już czwarta piętnaście, a my zakładaliśmy raki. W jamie było głośno od naszych oddechów i szelestu kurtek.

Teraz jest szarówka tuż przed świtem. Tym razem to naprawdę świt. Jest straszliwie zimno, ale wiatr nie jest zbyt porywisty. Niebo ugina się pod ciężarem śniegu, a chmury mają zielonkawy połysk. Szerpowie czekają na nas w chmurze marznących oddechów.

Kiedy idziemy przez Płaskowyż, zaczyna padać śnieg. Czuję jego lekkie, podstępne bębnienie o mój kaptur. Z trudem dostrzegam trasery z czerwonymi chorągiewkami na szlaku tragarzy, znaczące drogę przez żleb, na prawo od lodowej ściany.

Światła naszych czołówek są jak żółte kropki w pochłaniającej wszystko ciemności. Kits prowadzi. Ja idę drugi, za mną Garrard i Szerpowie. Nie jesteśmy związani, a ja zaczynam się zastanawiać, czy to rozsądne. Nie będzie jednak stromo, dopóki nie dotrzemy do grani w kształcie wielorybiego ogona.

Muszę wspinać się z nimi do obozu czwartego, bo nie mam dość odwagi, aby zejść w pojedynkę do bazy. Właściwie wątpię, czy w ogóle uda mi się wymknąć z obozu trzeciego. Już wcześniej próbowałem, ale wszystko sprzysięgło się przeciw mnie, bym musiał tam wrócić. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

Mijamy Ołtarz Szerpów, a ja przystaję, by czekaniem usunąć śnieg z raków. Nie jest to łatwe, znowu bolą mnie dłonie. Nie czuję też stóp. Pewnie są odmrożone. Już mnie to nie obchodzi.

Słyszę kroki doganiającego mnie Garrarda. Jego broda jest biała od szronu. Zaciśniętą pięścią przeciera okulary

lodowcowe.

– Co miałeś na myśli wczoraj wieczorem, kiedy mówiłeś, że jest tu coś złego? – dyszy.

– Nie teraz, Dziobie.

– Myślisz... że coś tu jest? Coś niedobrego?

Coś niedobrego... W moim gardle rodzi się nerwowy śmiech. A potem, przez okulary lodowcowe, widzę prawdziwe przerażenie. Czuję, jakbym spadał.

– Ty też to widziałeś...

Dziób zerka przez ramię, by upewnić się, że Szerpowie są poza zasięgiem słuchu.

– Nie mów Kitsowi, bo pomyśli, że ja...

– Kiedy? Co widziałeś?

– Wczoraj. Na grani, zanim dotarliśmy do żlebu – mówi i oblizuje wargi. – Szedł za nami. W świetle dnia... Nie do opisanania.

– Szybciej, chłopaki! – krzyczy Kits z przodu.

– Nie mów mu – rzuca Garrard gniewnie.

Gapię się na Ołtarz Szerpów, a moje myśli wirują. Kilka dni, w tamto popołudnie, kiedy znaleziono plecak, siedzieliśmy w słońcu i gawędziliśmy. Czy to ja wniosłem go bezwiednie do mojej jamy? Musiałem. Musiał też być ubrudzony sadzą, kiedy rzucałem go w przepaść, ale nie mogę sobie tego przypomnieć.

Zresztą jakie to ma teraz znaczenie? Garrard widział to co ja. To już dotyczy nie tylko mnie.

Stopnie na szlaku tragarzy są śliskie i nierówne. Nie zaszliśmy zbyt wysoko, gdy zaczyna padać coraz gęstszy śnieg. W ciągu kilku chwil robi się zupełnie biało, a my nie widzimy jeden drugiego. Z trudem dostrzegam światło latarki Kitsa. Jestem uwięziony w śniegu, w uszach dzwoni mi własny ciężki oddech, kurtkę mam przysypaną śniegiem i sztywną.

Próbujemy iść dalej, ale to niemożliwe. Z dołu dobiega głos

Garrarda:

– To beznadziejne, musimy zawrócić!

Nade mną Kits niemal znika mi z oczu, nadal uparcie pnąc się w górę.

– Kits! – wrzeszczę. – Musimy zawrócić!

Światło jego latarki mruga. Po chwili słyszę, jak krzyczy:

– Zgoda! Wszyscy z powrotem do obozu!

– Do obozu! – wrzeszczę do Garrarda i Szerpów.

Tak kończy się moja druga próba ucieczki z obozu trzeciego.

Schodzenie żlebem jest trudne, bo nie widać stopni. Zeskakuję z ostatnich metrów i ląduję na Płaskowyżu. Zaryłem w śniegu po kolana, wokół mnie wirują białe plamy. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem.

Robię kilka kroków i tuż przed moimi oczami pojawia się Ołtarz Szerpów. Opieram się o niego. Widzę Garrarda przedzierającego się w stronę jam. Gdzieś nade mną rozlega się głos Kitsa:

– Stephen! Gdzie jesteś?!

– Przy Ołtarzu Szerpów! Zaczekam tu na ciebie!

– Dobra!

Kits się nie pojawia i zaczynam się martwić, kiedy dostrzegam go, jak badając drogę czekaniem, schodzi po ostatnich stopniach. Garrard znudził się czekaniem przy jamach i brnie w naszą stronę ze spuszczoną głową.

– Czekam na Kitsa! – mówię, gdy się do mnie zbliża. – Ty zostań przy Ołtarzu! Ja wyjdę mu naprzeciw...

To nie jest Garrard.

Cisza otacza mnie szczelnie niczym biały mur. Nie słychać chrzęstu kroków ani szelestu zamarzniętych kurtek. Na głowie ma kaptur, jest cały pokryty lodem, bez twarzy. Jego wściekłość rzuca mnie na kolana.

Wolno, jak we śnie, zrywam się do ucieczki. Kits woła mnie po

imieniu. Otwieram usta, ale nie mogę wydobyć głosu. Jest już niedaleko. Potykam się i upadam. Nie mogę wstać. Raki więzną w ubitym śniegu.

Jest tak blisko, że mógłbym go dotknąć. Jeśli zrobi jeszcze jeden krok w moją stronę, serce mi chyba pęknie. Z konwulsyjnym wysiłkiem rzucam się w bok. Przez ramię, poprzez padający śnieg, widzę, jak mnie mija. Na plecach ma plecak.

– Stephen, gdzie jesteś?! – wrzeszczy Garrard, prawdziwy Garrard, przedzierający się w moją stronę.

Raz jeszcze słyszę Kitsa:

– Dobra, Stephen, już cię widzę!

Ale ja nie widzę jego. Gdzie on jest?

Wirująca biel na moment się rozstępuje – i już go widzę. Minął bezwiednie Ołtarz Sierpów, nie dostrzegając go, a teraz, zamiast iść w stronę lodowych jam, rusza w przeciwną stronę, do owianej śniegiem postaci, która czeka nieruchomo. Otwieram usta, by krzyknąć ostrzegawczo, ale dobywam z siebie tylko jakiś koszmarny pisk. Garrardowi udaje się krzyknąć. Wydaje z siebie przerażający, zwierzęcy wrzask.

– Kits, zawracaj, idziesz w złą stronę! Tam jest przepaść!

Ale Kits go nie słyszy, a kiedy dociera do tej postaci, którą omyłkowo wziął za mnie, rozlega się ogłuszający huk. Szeroki lodowy gzyms zapada się pod nim...

...i już go nie ma.

Nie ma Kitsa.

21.



LUDZIE NIE KRZYCZĄ, kiedy spadają. Kits też nie krzyczał. Nie wydał żadnego dźwięku.

Stałem w śniegu łomoczącym o mój kaptur, walcząc z natłokiem myśli. Kto powie jego żonie? Bogu dzięki, że ciocia Ruth nigdy się nie dowie. Jak to możliwe, że już go nie ma?

Nagle Garrard znów zaczął krzyczeć i przedzierać się w stronę przepaści.

– Boże, Kits, nie, nie, nie!

Odciągałem go, on się wrywał, aż wreszcie nadeszli Szerpowie i zaciągnęli go do jamy. Musieliśmy go przywiązać, a ja dałem mu środek na uspokojenie i przytrzymałem, kiedy jego ciałem wstrząsały przerażające spazmy szlochu. Ja nie płakałem. Nie wtedy. Nie mogłem uwierzyć, że Kitsa już nie ma.

Później dowiedzieliśmy się, że McLellan obserwował wszystko przez lornetkę z bazy. Widział to, czego my nie mogliśmy dostrzec: krawędź Płaskowyżu była jednym wielkim, lodowym nawisem, który zarwał się, zabierając Kitsa.

McLellan nie chciał opowiedzieć mi w szczegółach tego, co

widział, ale wreszcie go zmusiłem.

– Wszystko działo się bardzo wolno – powiedział tamtej pierwszej nocy w bazie, kiedy kończyliśmy drugą butelkę szkockiej. – Nawis jakby się ułamał, nie jakoś gwałtownie, a Kits po prostu spadł. Niech Bóg mi wybaczy, ale nie odwróciłem wzroku. W połowie drogi w dół... uderzył o ścianę. Wyrzuciło go w powietrze, potem znów leciał z boczem. Zniknął mi z oczu... Potem zobaczyłem w dole coś ciemnego, ześlizgującego się coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie przestało.

Spytałem go, co ma na myśli, mówiąc „coś ciemnego”, ale nie chciał odpowiedzieć.

Pytałem też, co widział tuż przed upadkiem Kitsa. Nie wspominał o nikim innym nad przepaścią, więc jestem pewny, że widział tylko Kitsa. Co do Garrarda, nie wiem. Powiedział tylko, że tuż przed tym, jak łód się załamał, klęczałem, zamaryły z przerażenia, gapiąc się na Kitsa.

Niewiele pamiętam z tych pierwszych dni w bazie z wyjątkiem wycia Cedrika. Znalazł drogę powrotną i dotrzymywał towarzystwa McLellanowi. Ale po wypadku Szkot przywiązał psa, żeby przestał nas nękać. Wył całymi godzinami. Raz Cotterell przyprowadził go do mnie, ale pies się skulił i zaczął skomleć, więc trzeba go było zabrać. Więcej nie próbowaliśmy. Nie mogłem patrzeć na to biedne zwierzę w stanie takiego przerażenia. Lepiej mu z McLellanem.

Podobno w tamtym czasie byłem wyjątkowo opanowany i powtarzałem w kółko: „Nie możemy zostawić Kitsa, musimy go pochować”. Tak też się stało. McLellan widział, gdzie upadł. Nic mi nie mówiąc, McLellan, Cotterell i Nima wyruszyli, by go znaleźć. Przynieśli go w śpiworze. Cotterell zachował ponure milczenie. Przypuszczam, że w okopach przyzwyczał się do takich widoków. Nima był roztrzęsiony. Piegowata twarz McLellana poszarzała.

Próbowali ukryć przede mną prawdę, ale i tak się dowiedziałem: Kits nie był w jednym kawałku. Jak miałby być po uderzeniu o grań i zsuwaniu się po zboczu, po granicie i twardym himalajskim lodzie?

Próbowali zebrać, co się dało, ale za mało tego było, by wypełnić trumnę. Tylko małą skrzynkę. A może plecak.



GÓRSKIE HISTORIE cioci Ruth, które opowiadała nam, gdy byliśmy chłopcami, zawsze kończyły się na szczycie. Nigdy nie wspominała o tym, że potem trzeba jeszcze wrócić.

Mówiono mi, że w czasie drogi powrotnej „trzymałem się znakomicie”, ale prawda jest taka, że zwyczajnie nic nie czułem. Działiałem jak maszyna: troszczyłem się o Garrarda, pomagałem Cotterellowi i McLellanowi przygotować raporty dla Klubu Himalajskiego w Dardżyling i Klubu Alpejskiego w Londynie. Pamiętam jednak, jak szliśmy przez lodowiec obok grobu Yatesa, a ja z niedowierzeniem zdałem sobie sprawę, że wróciliśmy do świata, w którym panuje wiosna, skowronek wycina trele, trawa jest zielona, a himalajskie maki błękitne.

Następnego ranka wspiąłem się na morenę i pożegnałem z górą. Pomyślałem sobie, że ten kawał skał i lodu będzie tutaj, kiedy ludzka rasa przeminie i zostanie zmieciona przez fale czasu. Góra nigdy się nie dowie, jakie pragnienia i jakie lęki wzbudzała, jak śmiertelne pożądanie. Nie będzie wiedziała, co ją nawiedza.

Potem nadciągnęła szara, zimna kurtyna deszczu i przesłoniła cały widok. Zaczynała się pora monsunowa.

„Trzymałem się” aż do Dardżyling, gdzie się dość spektakularnie załamane. Pamiętam, jak siedziałem z Nimą

i Cotterellem w tondze przed domem Tennanta. A po chwili nachylałem się nad fotelem inwalidzkim starca i wrzeszczałem:

– Wiedziałaś o tym?! Wiedziałaś?!

Przypominam sobie, że potem mnie zaciągnięto z powrotem do tongi. Pamiętam morderczy deszcz, szarość przysłaniającą wszystko. Pamiętam, że płakałem w ramionach Nimy – tak jak nigdy wcześniej w życiu.

Dwa dni później Tennant zmarł na atak serca. Czy wiedział? Czy on i Lyell również byli nawiedzani w czasie ostatnich dni na górze?

Czytając ponownie ich wspomnienia, natknąłem się na dziwne zdanie, które może sugerować, że tak właśnie było. Ten fragment we wspomnieniach Tennanta, gdy pisze, że góra zabiła pięciu, ale złożyć na wieczny odpoczynek zdołali tylko czterech. A w *Skrwawionych, lecz niezłomnych* Lyell w pewnym miejscu wspomina o „złowrogiej ciszy”, o czymś „złym w powietrzu”. Chociaż może ja to nadinterpretuję. Tennant wspominał przecież, że Lyell nie przeżył ani chwili niepokoju.

Poza tym, nawet jeśli wiedzieli – nawet gdyby Tennant ostrzegł mnie tamtej nocy, nim wyruszyliśmy w góry – i tak bym mu nie uwierzył.



W CZASIE podróży do domu Cotterell był wspaniały. Garrarda traktował z ujmującą delikatnością, a mnie, kiedy nie mogłem zasnąć, czytał na głos *Wikarego z Wakefield*. A potem jeszcze trzy tomy *Barchester Chronicles* Trollope'a.

Ogromnie tęskniłem za Nimą. Pojechał z nami do Bombaju i był przy mnie, kiedy amputowano mi palce u stóp. Ku mojemu zawstydzeniu nie miałem żadnej innej sposobności

odwdzięczenia się poza daniem mu pieniędzy. Był tym jednak zachwycony. Powiedział, że po powrocie do wioski kupi sobie dużo jaków. Kiedy poprosiłem, by do mnie napisał, uśmiechnął i łagodnie powiedział, że nigdy się tego nie nauczył. Żegnaliśmy się więc na zawsze.

Przez długi czas obwinałem się o śmierć Kitsa, bo nie ostrzegłem go w porę. Wciąż się nad tym zastanawiam. Czy naprawdę byłem niezdolny do tego, by krzyknąć? Może powinienem był się bardziej postarać? Nigdy już tego nie rozstrzygnę. Trzymam się tego, że nigdy nie powiedziałem mu o tym, że wyrzuciłem plecak. Nie powiedziałem mu też nic o pamiętniku Tennanta. Umarł, wierząc, że Lyell i jego towarzysze byli bohaterami. Chociaż to mi się udało.

Wdowa po Kitsie też mnie obwiniła w czasie naszego jedyne go spotkania. Nie mogła zrozumieć, dlaczego go nie ostrzegłem, a ja nie potrafiłem jej tego wyjaśnić. Garrard, który był tam ze mną, zapewnił ją, że i tak nic by to nie dało, bo Kits był już na krawędzi przepaści. Nie uwierzyła mu. Kiedy wychodziliśmy, spojrzała mi prosto w oczy i rzuciła twardo:

– Zawsze chciałeś go pokonać. No to teraz ci się udało.

W głębi serca sama pewnie w to nie wierzy. W jakim niby sensie go pokonałem? Całe szczęście, że nie dostałem w spadku po nim ani pensa, wszystko odziedziczyli chłopcy.

Przez kilka tygodni po śmierci Kitsa miałem nadzieję, że odwiedzi mnie we śnie i powie, że u niego w porządku. Nigdy tego nie zrobił. Czy to dobry omen? Czy to znaczy, że dla niego śmierć była końcem? Boże, mam nadzieję, że tak.

Pewnego razu w Bombaju Nima próbował wytłumaczyć mi, dlaczego nie boi się śmierci. Powiedział, że to tylko przejście do innej formy egzystencji. Nie wiedziałem, jak mu powiedzieć, że po tym, co stało się na górze, to właśnie inna forma egzystencji jest tym, czego obawiam się najbardziej.

Rozmawiałem z paroma osobami, które przeżyły upadek w czasie wspinaczki. Wszyscy zapewniali mnie, że nie czuje się wtedy bólu ani strachu, nie ma na to czasu. Mam nadzieję – chociaż słowo „nadzieja” nie oddaje, jak bardzo pragnę, aby to było prawdą – że tak stało się w przypadku Kitsa. I mam też nadzieję, że nie wiedział, co na niego czeka na krawędzi przepaści, że widział tylko wirującą biel, a potem już nic, ciemność, kres. Żadnej świadomości, która trwa wśród dzikich lodów, żadnych zjaw.



MINEŁY trzy lata, a ja nadal koresponduję z McLellanem. Został w Indiach, chociaż wie, że wkrótce całe te Indie Brytyjskie pójdą w diabły. Powiedziałem mu, że w czasie kolejnego urlopu musi mnie odwiedzić, ale jak dotąd się nie pokazał. Podejrzewam, że nie chce zostawić Cedrika, chociaż nigdy by tego nie przyznał.

Pewien wydawca zaproponował mi znaczną sumę za spisanie mojego świadectwa tragedii, a kiedy odmówiłem, swoją historię napisał Garrard, jako pomnik Kitsa. Nie wspomniał ani słowem o tym, co widział w górach, ani w jakim stanie byłem w obozie trzecim. Nigdy też o tym nie rozmawialiśmy. Jego książka stała się bestsellerem. Zawsze tak jest, gdy ktoś umrze. Za honorarium Garrard kupił sobie dom w Marrakeszu i nie miałem już od niego wieści.

Wydawcy naciskają, abym napisał swoją wersję wydarzeń – ale kto by w nią uwierzył? A pisząc, przeżywałbym to wszystko na nowo, a tego bym nie zniósł.

Poza tym myślałem dużo o łańcuchu wydarzeń, które zawiodły mnie i Kitsa na Kanczendzongę. Zaczęło się w przedszkolu od Szklanej Góry, potem była lektura

Skrwawionych, lecz niezłomnych, gdy byliśmy chłopcami. To jest prawdziwy powód, dla którego nigdy niczego nie napiszę. Nie mógłbym znieść myśli, że moja książka skłoniłaby kogokolwiek do wyruszenia tam, do przejścia przez to, przez co ja przeszedłem.

Oczywiście moje marzenie o praktykowaniu medycyny w Sikkimie nigdy się nie spełniło. Trzymam się wąskich, zatłoczonych uliczek Londynu. Ojciec Clare porzucił swoją prawniczą krucjatę – powiedział, że zostałem już wystarczająco ukarany – mogłem więc pozwolić sobie na skromny gabinet w South Kensington. Nieźle sobie radzę. Myślę, że ludzie do mnie przychodzą, bo są ciekawi albo mi współczują.

Cotterell nie dał po sobie znać, ale bardzo przeżył śmierć Kitsa. Wyraźnie się postarzał, a ja odwiedzam go często w jego małej posiadłości w Sussex. Nie mogę zająć w jego sercu miejsca Kitsa i nawet nie próbuję, ale się lubimy. Często rozmawiamy o Kitsie, a ponieważ Cotterell mieszka blisko naszych rodzinnych stron, często odwiedzamy jego grób na miejscowym cmentarzu.

Sprowadzenie ciała to kolejna rzecz, która mi się udała. Kiedy byliśmy na lodowcu, trzymałem jego szczątki w lodzie. Gdy dotarliśmy do moreny, zapakowałem je do pojemnika z solą. Pomagał mi w tym Nima – kolejny urzekający gest, za który nigdy nie zdołałam mu się odwdziaczyć.

Oczywiście nie wierzę, że w tym biednym, zmasakrowanym ciele przetrwał jakikolwiek ślad tego, kim był Kits, ale nie mogłem tak po prostu go zostawić. Nie mogłem pochować obok Yatesa na morenie. Przywiozłem go więc do domu. A w każdym razie to, co z niego zostało. Natomiast nie przyjmuję, stanowczo nie przyjmuję do wiadomości, że jakikolwiek jego ślad mógłby zostać na górze z tamtą zjawą.

Żałoba to wyboista ścieżka. Czasem jestem zły na Kitsa, że był

taki bezmyślny, tak pozbawiony wyobraźni, tak irytujący. Kurwa mać, Kits, nie musiałeś umierać. Dobra, dość! *Pax*.

Gdyby się dowiedział o soli, to dopiero by się śmiał.

– Chryste Panie, Partaczu, zrobiłeś ze mnie pikle!

To jest najgorsze – że nie możemy się już razem pośmiać. Chociaż nie – wciąż odkrywam rzeczy, które są jeszcze gorsze. Zupełnie jakbym próbował dotrzeć do dna, ale opadał zbyt powoli.

Może dla Garrarda to było jeszcze gorsze. Pewnego razu w Bombaju, gdy byliśmy sami, powiedział:

– Był moim najlepszym przyjacielem. Najlepszym i jedynym przyjacielem.

– Wiem – powiedziałem.

Spojrzał na mnie z nieoczekiwaną nienawiścią.

– A ty go nawet nie lubiłeś, prawda?

Wahałem się przez chwilę.

– Nie. Niespecjalnie. On mnie też nie lubił. Za bardzo się różniliśmy.

– Po co więc udawać żalobę?

– Nie udaję.

Garrard był zakłopotany, a ja nie potrafiłem mu tego wyjaśnić. Jest jedynakiem. Jak mógłby zrozumieć? Kits i ja nie lubiliśmy się, ale byliśmy braćmi. Tkwiliśmy w dziwacznej plątanie miłości i nienawiści, okrucieństwa i winy, oświetlanej od czasu do czasu promykiem sympatii – jak wtedy w obozie trzecim, gdy wykuwaliśmy w lodzie jamy i wszystko było w porządku. Teraz tę plątaninę przecięto, a ja zostałem sam. Nie ma już nikogo, kto by pamiętał, jak ciocia Ruth czytała nam na głos *Wspinaczki alpejskie*. Albo wypchaną sowę na półpiętrze. I nikt już nie nazwie mnie Partaczem.

Tamta sowa. Kiedy byliśmy chłopcami, Kits specjalizował się w żartach o różnym stopniu podłości. Ale nieważne, jak często

budziłem go po jakimś koszmarze i prosiłem, by przeprowadził mnie przez półpiętro, obok tej przeklętej sowy, nigdy się z tego nie śmiał. I nigdy mi nie odmówił.



CHOCIAŻ było piękne lato, marzłem jeszcze przez kilka miesięcy po powrocie do Anglii. Nawet dziś, w słoneczne majowe popołudnie, kiedy na wiązach ćwierkają wróble, a ludzie w lekkich ubraniach spacerują za moim oknem, ja siedzę przy kominku z nogami przykrytymi kocem. Góra nadal jest we mnie. Noszę ją w środku. Zawsze ją będę nieść.

Wczoraj w księgarni Hatchards widziałem jej zdjęcie, typowy widok z Dardżyling. Wszystko natychmiast wróciło. Zimno, cisza. Przeważenie. Było tak silne, że wytoczyłem się na dwór i zwymiotowałem do rynsztoka. Przechodnie myśleli, że jestem pijany.

Tego samego doświadczyłem w zeszłym roku, kiedy po raz ostatni przeczytałem wspomnienie Tennanta przed oddaniem go Klubowi Alpejskiemu. W odpowiedzi na moje ostatnie zapytania dowiedziałem się, że jeszcze nie zdecydowali, czy je upubliczniać. Nie obchodzi mnie, co zrobią. Nie mam złudzeń, że wyjawienie prawdy uspokoi ducha. Jego nic nie uspokoi. Nadal tam jest. Widziałem go dziś rano.

Sen był straszniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Zawsze nachodzi mnie przed świtem, w szarym stłumionym świetle. Budzę się i znów jestem tam, na śniegu, na chwilę przed upadkiem Kitsa. Ale tym razem krzyczę, a on odwraca się i rusza w moją stronę, oddalając się od przepaści. A wtedy zdaję sobie sprawę, że to coś nie jest przy nim, ale przy mnie. Otacza mnie cisza, a tamto się zbliża, nie mogę tego znieść, serce zaraz

wyskoczy mi z piersi...

Wtedy zawsze się budzę, zaciskając szal od Nimy. Ale dziś rano zdałem sobie sprawę w straszliwym olśnieniu, że wszystko, co wydarzyło się po śmierci Kitsa – droga powrotna, rejs, Londyn, wszystko – było tylko snem. Nigdy nie opuściłem tej góry. To ja spadłem. Jestem tam teraz, uwięziony z tamtą istotą, w ciszy, której nic nigdy nie przerwie...

Potem naprawdę się obudziłem.

Pod moim oknem przejeżdża na rowerze sprzedawca lodów. Wróble tłoczą się wokół okruchów, które wysypałem dla nich na parapecie. Te ptaszki pomogły mi bardziej niż cokolwiek innego. Wróble, mój mały ogródek i czaple na stawie Serpentine. McLellan miał rację, zatrzymując Cedrika. Lubię myśleć, że któregoś dnia ja też będę mógł mieć psa. Miałbym towarzystwo. O ile pies by się mnie nie bał.

Może właśnie dlatego Charles Tennant trzymał te wszystkie spaniele. Ostatnio dużo o nim myślałem. Biedny, zgorzkniały, przytłoczony winą staruszek. I rozumiem teraz nieco lepiej, jak on się czuł, bo ja teraz czuję się mniej więcej tak samo.

Każdej nocy – czy można to zrozumieć? – każdej nocy ich widzę: tamto coś stojące na krawędzi przepaści i Kitsa uparcie sunącego w jego stronę.

Tak. Już zawsze będę ich widział.

Od autorki



TAK JAK STEPHEN, gdy pierwszy raz zobaczyłam Kanczendzongę, przeżyłam szok. Byłam właśnie w Dardżyling, a poprzedniego dnia wstałam o wpół do czwartej i wyruszyłam do punktu widokowego na Wzgórzu Tygrysim w nadziei, że o świcie uda mi się dojrzeć górę. Zobaczyłam jedynie chmury. Następnego ranka odsunęłam zasłony w moim pokoju hotelowym i ujrzałam ją tuż przed sobą: rozległą, boleśnie czystą, wypełniającą całe okno. Kanczendzonga sama wybrała czas, w którym zechciała mi się pokazać.

Było to w kwietniu 2014 roku, kiedy w ramach researchu przed napisaniem *Thin Air*, wraz z grupką nieustraszonych wędrowców, jeszcze bardziej nieustraszonych tragarzy i stadem dzo (krzyżówka jaka i krowy), przemierzałam wzgórze wokół Kanczendzongi. Szliśmy tym samym szlakiem, którym w kwietniu 1930 roku szli Frank Smythe i G. O. Dyhrenfurth i który w książce miała wybrać również ekspedycja Cotterella: samochodami z Dardżyling do wioski Yuksom w Sikkimie, następnie pieszo przez dżunglę aż na wyżynę Dzungri.

Obozowaliśmy tam przez kilka dni, a potem eksplorowaliśmy okolice, wędrując na pobliską przełęcz i do świętego jeziora Lakshmi Pokari (oficjalnie nazywanego Jeziorem Kabur Lam), ciesząc się niesamowitymi widokami Kanczendzongi i doświadczając w czasie jednej niezapomnianej nocy najstraszliwszej burzy, jaką kiedykolwiek widziałam.

Wymyśliłam wyprawy Lyella i Cotterella, jak również wszystkich ich uczestników, jednak pozostali wspinacze wspomniani w książce, tacy jak Bauer, Smythe oraz oczywiście Mallory i Irvine, to postacie historyczne. Wszyscy oni wspinali się w Himalajach i/lub próbowali zdobyć szczyt Kanczendzongi – czasami płacąc za to życiem, tak jak Alexis Pache, którego grób znajduje się u stóp góry.

Aby przywołać tamte czasy, sięgałam po odpowiedni język. Światopogląd moich bohaterów również jest właściwy dla tamtej epoki, a jednym z jego elementów jest rasizm, który odnaleźć można w wielu, chociaż nie we wszystkich, relacjach spisanych w tamtych czasach (à propos: Crowley wspomniany w książce to niejaki Aleister Crowley, odstręczający fantasta samochwała, który swoich tragarzy traktował w przerażający sposób).

Aby wymyślić wyprawy Lyella i Cotterella, wiele czerpałam z ówczesnych relacji i byłam nieskończenie zdumiona wytrzymałością i odwagą pionierów himalaizmu. Paul Bauer naprawdę wyrąbywał wielkie lodowe jamy wysoko na północno-zachodniej ścianie Kanczendzongi, a jego pies Wastl wspinał się z nim na wysokość około siedmiu tysięcy trzystu metrów.

Nie wymyśliłam również alpinistki, która miała się przyjaźnić z ciocią Ruth. Na początku XX wieku Amerykanka Fanny Bullock Workman rozwinęła wysoko w Karakorum transparent domagający się praw wyborczych dla kobiet, a na jednym ze szczytów zostawiła swój bilet wizytowy w szklanym słoju.

Droga wyprawy Cotterella przez południowo-zachodnie zbocze

w dużej mierze pokrywa się z tą obroną przez brytyjski zespół pod kierownictwem Charlesa Evansa, który jako pierwszy dotarł na szczyt w roku 1955. Dla większej jasności uprościłam jednak zarówno przebieg drogi, jak i topografię góry, pomijając elementy nieistotne dla historii, równocześnie zachowując tak ważne miejsca, jak Wielka Półka, Górny i Dolny Lodospad czy Garb.

W roku 1955, tak jak i w 1935, Kanczendzonga był świętą górą, a dla wielu ludzi pozostaje taką do dzisiaj. O sile jej oddziaływania wiele mówi fakt, że Charles Evans musiał obiecać władzom Sikkimu, że członkowie ekspedycji nie zbezczeszczą góry, stając na samym jej szczycie. Dotrzymali słowa. Kiedy 25 maja 1955 George Band i Joe Brown dotarli do szczytu, powstrzymali się przed pokonaniem kilku ostatnich metrów. Tak samo zrobili Norman Hardie i Tony Streater, którzy weszli tam następnego dnia. Podobnie zachował się major Prem Ghand oraz Szerpa Naik Nima Dorje z ekspedycji hinduskiej w roku 1977. Tak samo Doug Scott, Peter Boardman i Joe Tasker, którzy dotarli na szczyt bez tlenu w roku 1979 (jeden z nich powiedział wówczas, że nie chcieli rozgniewać tego, co tam mogło żyć). Kanczendzonga pozostała szczytem, na którym „nie stanęła ludzka stopa” aż do roku 1980, kiedy zdobyła go ekspedycja japońska.

Jeśli chodzi o historię wspinaczki w tamtym regionie, szczególnie dużo zawdzięczam następującym książkom: *Climbing and Exploration in the Karakoram-Himalayas* (W. M. Conway, Londyn 1894); *Climbing on the Himalaya and Other Mountain Ranges* (J. N. Collie, Edynburg 1902); *Round Kangchenjunga* (D. W. Freshfield, Londyn 1903); *Mountain Craft* (G. W. Young, 1920); *The Kangchenjunga Adventure* (F. S. Smythe, Londyn 1932); *The Naked Mountain* (E. Knowlton, Nowy Jork 1933); *Annapurna* (M. Herzog, Londyn 1952^[2]);

Kangchenjunga Challenge (P. Bauer, Londyn 1955); *Kangchenjunga* (J. Tucker, Londyn 1955); *Kangchenjunga the Untrodden Peak* (C. Evans, Londyn 1956); *The Boardman Tasker Omnibus* (P. Boardman, J. Tasker, Londyn 1996); *Nanda Devi Exploration and Ascent* (E. Shipton, H. W. Tilman, kompilacja, Londyn 1999); *Fallen Giants: A History of Himalayan Mountaineering from the Age of Empire to the Age of Extremes* (M. Isserman, S. Weaver, Yae 2008).

W kwestii choroby wysokościowej i psychiatrii w latach 1900–1930 szczególnie pomocne były następujące pozycje: *High Life: A History of High-Altitude Physiology and Medicine* (J. West, Nowy Jork 1998); *High Altitude, Illness and Wellness: the Prevention of a Killer* (C. S. Houston, Connecticut 1998); *Psychology and Psychotherapy* (W. Brown, Londyn 1934); *Instinct and the Unconscious* (W. H. Rivers, Londyn 1922).

Jestem również ogromnie wdzięczna Janowi Faullovi i Robowi Turnockowi za cykl Brytyjskiego Instytutu Filmowego *Ekstremalne szczyty*, pokazywany w National Film Theatre jesienią 2013. Niezwykle szczęśliwym trafem było móc obejrzeć na dużym ekranie oryginalne filmy z wczesnych ekspedycji himalajskich, szczególnie zaś filmy ze wspinaczki na Mount Everest Johna Noela z lat 1922 i 1924; film Franka Smythe'a z roku 1931 z jego wejścia na Kamet; *Wings over Everest* (1934) w reżyserii Ivora Montagu i Geoffery'a Barkasa; oraz film Charlesa Evansa z wyprawy w 1955 roku, pokazywanego wówczas publicznie po raz pierwszy.

Chciałabym wreszcie podziękować kilku osobom. Po pierwsze Nawangowi Ldorbie Lehowi z World Expeditions w Indiach. Nawang był głównym przewodnikiem w czasie mojej wyprawy na Dzungri. Ma ponad dwadzieścia lat doświadczenia w wędrowniach i wspinaczkach w Sikkimie, Himachalu, Ladakhu i wielu innych miejscach. Jestem mu głęboko

wdzięczna za jego wiedzę, dobry humor i cierpliwość, z jaką odpowiadał na moje niekończące się pytania. Dziękuję i za to, że zechciał zaprowadzić mnie do świętego jeziora.

Wyrazy wdzięczności zechce również przyjąć Om Bhadhur Chattri („Jatha”), który przez wiele lat przeszedł szlak z Yuksom na Dzongri ponad dwieście pięćdziesiąt razy i który w czasie naszej wyprawy nieustrudzenie pokazywał nam rośliny i zwierzęta tej wyjątkowej okolicy.

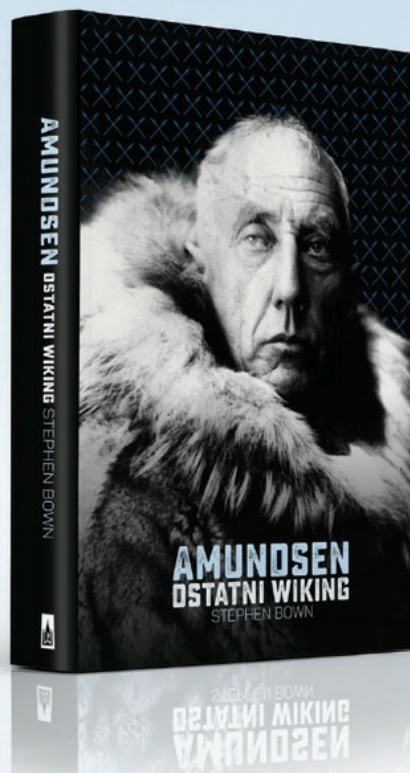
Chciałam również podziękować Jonowi Woodowi, redaktorowi z Orion Publishing Group, za jego bezgraniczny entuzjazm dla tego projektu i znakomite uwagi redakcyjne, a także Jemimie Forrester i Bethanowi Jonesowi za pomocne i kreatywne sugestie w czasie redakcji. Wreszcie, jak zawsze, dziękuję mojemu cudownemu agentowi, Peterowi Coxowi, za to, że niezachwianie wspierał tę historię, odkąd jej pierwsze promyki ujrzały światło dzienne zimą 2012.

MICHELLE PAVER
Londyn 2015

[2] Polskie wydanie w przekładzie Rafała Unruga, Iskry, Warszawa 1960, oraz wznowienie: Marginesy, Warszawa 2018 (przyp. red.).



MICHELLE PAVER jest autorką bestsellerowej serii *Bogowie i wojownicy* oraz hipnotyzującej, arktycznie mroźnej opowieści o duchach *Cienie w mroku* (2010). Jej najnowsza powieść zrodziła się z wieloletniej miłości do gór, która zaprowadziła autorkę m.in. do Norwegii, w Góry Skaliste, Andy i Himalaje.



To prawdziwa historia przygodowa z gatunku tych, które wyczarowują skrzypienie nart na cienkim lodzie, dreptanie setki psów i zapach tytoniu po długim dniu na szlaku.

„Wall Street Journal”

Dzień dobry, drogi Lindstrømie. Przygotowałeś dla nas jakąś kawę? Tymi słowami miał przywitać Roald Amundsen zaskoczonego kucharza po trzech miesiącach wyczerpującej wyprawy (1300 km!) rankiem 26 stycznia 1912 roku. Wyprawy, której efektem było pierwsze zdobycie bieguna południowego. Amundsen, ambitny Norweg, o włos wygrał wyścig z tragiczną ekspedycją brytyjską dowodzoną przez porucznika Roberta Falcona Scotta.

„Amundsen. Ostatni wiking” ukazuje życie człowieka, który bił na głowę tych, którzy ścigali się, by nanieść na mapę świata ostatnie nieznane zakątki: Przejście Południowo-Zachodnie, Przejście Południowo-Wschodnie i biegun południowy. Prawdziwy północny wojownik, który już za życia stał się legendą. Ścigany przez wierzycieli. Uwielbiany przez kobiety. Należał do epoki wypraw badawczych, która niebawem miała dobiec końca za sprawą technologii, handlu i reklamy. Dziś jego nazwisko nosi część Oceanu Spokojnego, lodowiec i stacja badawcza Amundsen-Scott na Antarktydzie.

„Amundsen. Ostatni wiking” to zarówno ekscytująca biografia literacka, jak i wspaniała opowieść.

Spis treści



1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[Od autorki](#)

[Michelle Paver](#)

[Polecamy również](#)